SUBIEKTYWNE SPOSTRZEŻENIA

Jan Pospieszalski o swoim zachorowaniu na COVID-19

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 48/453 29 LISTOPADA–5 GRUDNIA 2021

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Wygraliśmy bitwę z Mińskiem – wiceminister Maciej Wąsik o próbie sił z Białorusią

UCZNIOWSKA SKROMNOŚĆ, CZYLI REWIA SZKOLNEJ MODY

Granica w ogniu – jak Sowieci nękali Polskę w czasach II RP

DRUGI NARÓD

Polacy kontra unijczycy polskiego pochodzenia

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 48 >

Nakład: 55 600 egzemplarzy

SPECJALNY DODATEK HISTORYCZNY

JUŻ W GRUDNIU W TYGODNIKU „DO RZECZY”

40-LECIE WPROWADZENIA STANU WOJENNEGO W POLSCE

MECENASI:

PARTNERZY GŁÓWNI:

PARTNERZY:

eprasa.pl b04ffff7fd

W RZECZY SAMEJ

Nasi przyjaciele walczą z prowokacją

PAWEŁ LISICKI

Wydarzenia na granicy z Białorusią zepchnęły nieco w cień to, co się dzieje w relacjach Polski z Unią. W czasie, kiedy polski rząd zmaga się z kryzysem na granicy, broniąc jej przed kolejnymi falami imigrantów nasyłanych masowo przez prezydenta Alaksandra Łukaszenkę, Komisja Europejska nie odpuszcza. Jak donosi tygodnik „Der Spiegel", jest „wysoce nieprawdopodobne", by Polska i Węgry jeszcze w tym roku dostały część pieniędzy z unijnego Funduszu Odbudowy. Dziwnym trafem do listów w sprawie praworządności wysłanych przez KE do Polski i Węgier jako pierwsze dotarły niemieckie media. „Der Spiegel" pisze, że „czyta się je jak akty oskarżenia". „Na dziesięciu ciasno zadrukowanych stronach Komisja podsumowuje zarzuty przeciwko Polsce. Chodzi przede wszystkim o to, że podkopana została niezawisłość sądownictwa" – pisze „Spiegel", streszczając to, pod czym podpisał się dyrektor generalny ds. budżetu Jan Koopman. Znowu mamy zabawę w kotka i myszkę. Niby listy nie są formalnie wszczęciem procedury o ochronę praworządności przeciw Polsce, ale pozwalają odwlekać decyzję.

W sprawie Węgier Jan Koopman „potrzebował jedenastu stron" i koncentruje się przede wszystkim na „korupcji i nepotyzmie, a także niezdolności sądów, by skutecznie z tym walczyć". Jeśli informacje „Spiegla" są prawdziwe, to żadne pieniądze do Polski (i Węgier) w tym roku nie popłyną. A w przyszłym? Nie wiem. Taka wymiana listów może trwać przecież w nieskończoność. Oznacza to tylko jedno: Bruksela próbuje zwiększyć presję na Polskę. Przecież jeszcze niedawno, bo w lipcu, te same niemieckie media donosiły, że polski Krajowy Plan Odbudowy zostanie przez Komisję Europejską przyjęty do jesieni tego roku. Widać zatem wyraźnie, że Komisja Europejska korzysta z obecnej sytuacji, w której znalazła się Warszawa, i używa bez skrupułów instrumentu, który brukselscy urzędnicy dostali do ręku w zeszłym roku 2020. Kolejny to przykład, jak dramatycznym błędem była wówczas zgoda polskiego rządu na mechanizm „pieniądze za praworządność". Mimo że określenie „praworządność" miało pierwotnie chronić fundusze przed korupcją, stało się instrumentem, za pomocą którego Unia będzie karcić i szantażować Polskę. Bruksela może spokojnie czekać, przeciągać, sprawdzać, dopytywać się, badać. A czas leci.

Nie mam wątpliwości, że w przypadku Węgier chodzi o doprowadzenie do zmiany politycznej na wiosnę, podczas wyborów parlamentarnych. Wstrzymując pieniądze, Bruksela wyraźnie wspiera zjednoczoną, antyorbanowską opozycję. Czy w przypadku Polski jest inaczej? Nie sądzę. Unijni politycy też doskonale widzą sondaże i dostrzegają spadek poparcia dla PiS. Odwlekanie w nieskończoność aprobaty Krajowego Planu Odbudowy stało się dla nich skutecznym środkiem osłabienia rządu PiS.

Znowu – inaczej, niż to wydaje się wielu polskim politykom – narastający konflikt Warszawy z Mińskiem, wspieranym przez Moskwę, nie jest dla brukselskich polityków okazją do wycofania się z zarzutów wobec Polski i złagodzenia retoryki; przeciwnie – właśnie ten moment wybrali na dokręcenie śruby. Tak samo zachował się Parlament Europejski, który na wszelki wypadek nie pozwolił na występy premiera Mateusza Morawieckiego. Jest to niestety mechanizm stary jak świat: kiedy twój oponent jest w trudnej sytuacji, wykorzystaj to, jeszcze bardziej go osłabiając.

Zastanawiam się zresztą, w jakim stopniu ciągła presja wywierana na Polskę przez Brukselę, a także Berlin nie stała się zachętą dla Łukaszenki i Putina do przeprowadzenia operacji z wysyłką migrantów. Obawiam się, że ani białoruski dyktator, ani jego promotor z Moskwy nie pomylili się w rachubach: Bruksela ani myśli ustępować i zmieniać przekazu w stosunku do Polski. Jak to zgrabnie ujął „Spiegel": „Technicznie wypłaty nie mają wprawdzie nic wspólnego z mechanizmem praworządności, ale politycznie są bardzo powiązane. W obliczu stałych prowokacji z Warszawy i Budapesztu uważa się, że byłoby nie do pomyślenia, by Komisja otworzyła drogę do wypłaty miliardów z Funduszu Odbudowy". Te „stałe prowokacje" to choćby, jak rozumiem, wyrok Trybunału Konstytucyjnego stwierdzający wyższość polskiej konstytucji nad prawem unijnym w zakresie, w którym Warszawa takich kompetencji Unii nie przekazała.

Pozostaje jedna niejasność. Jeśli w przypadku Orbána Unia liczy na jego przegraną w wyborach, to na co liczy odnośnie do Warszawy? Na przyspieszone wybory? Nie można tego wykluczyć. A może jeszcze na jakieś inne rozwiązanie? ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIE-POLACY
Rozpuszczanie narodowości

22 JAN FIEDORCZUK
IMPERIUM I BARBARZYŃCY

KRAJ

24 ROZMOWA Z MACIEJEM WĄSIKIEM
WYGRALIŚMY BITWĘ Z MIŃSKIEM
Merkel popełniła błąd

28 PIOTR SEMKA
KRES PIĘCIU ZŁUDZEŃ

30 KAMILA BARANOWSKA
POMOC ZA WSZELKĄ CENĘ

32 TOMASZ ROWIŃSKI
DALEJ JEST ATAK

34 ZUZANNA DĄBROWSKA
SZKOLNA SKROMNOŚĆ

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
WYPADEK TO ZAWSZE PRZYPADEK?

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NA RATUNEK STOLARZOM

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
TRON PO MARTINIE
Ekranizacja bestsellerowej serii Roberta Jordana

42 ROZMOWA Z WITOLDEM LUDWIGIEM
NAJPIĘKNIEJSZY CZŁOWIEK SWOICH CZASÓW

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 ROZMOWA Z MARCINEM WARCHOŁEM
SĄDY BĘDĄ BLIŻEJ LUDZI
Berlin i Bruksela chcą tu namiestnika

52 ŁUKASZ WARZECHA
DOKOPAĆ „FOLIARZOM"

56 JACEK BARTOSIAK
CIEKAWIE DOPIERO BĘDZIE

HISTORIA

58 MACIEJ ROSALAK
GRANICA II RP W OGNIU
Sowiecka dywersja

ŚWIAT

64 ROZMOWA Z ÁKOSEM ENGELMAYEREM
TO JEST WOJNA
Laureat nagrody Strażnik Wartości: Nie o taką Unię walczyłem

68 DOMINIKA ĆOSIĆ
PODZIAŁ GRANICZNY

70 PIOTR WŁOCZYK
NIEWINNY, ALE WINNY

EKONOMIA

74 ROZMOWA Z GRZEGORZEM PUDĄ
MY WALCZYMY O POLSKĘ, A TOTALNA OPOZYCJA – Z POLSKĄ
Pieniądze z UE nam się należą

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (62), PRZYBYLSKI (72), GABRYEL, WARZECHA (82), KOMUDA (86), KARWELIS, POSPIESZALSKI (87), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (88), SIEDLECKA (89), CEJROWSKI (90)

eprasa.pl b04ffff7fd

Z Facebookiem Europejczycy budują społeczności.

Ponad 200 mln Europejczyków należy do aktywnych grup na Facebooku. Takich jak Te Lo Regalo Milano we Włoszech. Około 1 na 10 mieszkańców Mediolanu wykorzystuje tę grupę, aby oddawać niechciane rzeczy, takie jak odzież czy sprzęt AGD. Rosario, założyciel grupy, przekazuje je zainteresowanym.

„Czasami ludzie piszą o dostępności zupełnie nowych rzeczy, np. kuchni z całym wyposażeniem AGD!" – mówi Rosario. Te Lo Regalo Milano to także miejsce, gdzie spotykają się wolontariusze, którzy odgrywają kluczową rolę w działaniach grupy: „Jeśli napiszę post o nagłej potrzebie lub z prośbą o wolontariuszy, wiem, że swoją gotowość zgłosi od 200 do 250 osób, nawet jeśli nie znam ich osobiście".

Te Lo Regalo Milano nie tylko wspólnie działa na rzecz ograniczania ilości odpadów i wspierania potrzebujących, lecz także dba o społeczność, w której działa poprzez organizację wydarzeń na żywo dla mieszkańców miasta.

Z Facebookiem Europejczycy budują społeczności.

Dowiedz się więcej na stronie about.fb.com/pl/europe

FACEBOOK

eprasa.pl b04ffff7fd

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 55 600 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

List do Pana Marszałka Marka Jurka

Szanowny Panie Marszałku,
piszę do Pana w związku z moim do Pana szacunkiem i moim kibicowaniem Pana wypowiedziom. Czytuję z zainteresowaniem Pana teksty w piśmie „Do Rzeczy". Przeczytałam też Pana książkę „100 godzin samotności". W Pana postawie szanuję zarówno Pana konsekwentne poglądy konserwatywne, jak i krytycyzm wobec polityki Jarosława Kaczyńskiego i Pana odwagę w sprzeciwianiu się jej. Rozumiem Pana stanowisko w sprawie „cywilizacji życia" i oparcia prawa stanowionego na chrześcijaństwie. Rozumiem wytykanie zarówno Jarosławowi Kaczyńskiemu (w Pana książce), jak i premierowi Morawieckiemu w „Do Rzeczy" (nr 44/2021) – tekst pt. „Pomylone zakończenie" – zdezerterowania z obrony życia poczętego.

Tę część tekstu „Pomylone zakończenie" rozumiem i podzielam. Jednak nie podzielam pierwszej części tego tekstu, w której chwali Pan premiera Morawieckiego za obronę polskiej suwerenności i polskiej konstytucji. W moim odczuciu stanowisko Unii Europejskiej w sprawie praworządności nie jest stanięciem przeciwko państwu polskiemu i polskiej konstytucji, ale jest stanięciem po stronie polskiej konstytucji przeciwko władzy Zjednoczonej Prawicy. Moim zdaniem prezentowanie stanowiska Unii Europejskiej jako supremacji prawa unijnego nad prawem polskim jest fałszywym przedstawianiem tej sprawy. Dla mnie to stanowisko jest poparciem supremacji prawa unijnego wraz z polską konstytucją nad władzą Zjednoczonej Prawicy. Moim zdaniem konstytucja została złamana przez Zjednoczoną Prawicę, począwszy od nieopublikowania wyroku Trybunału Konstytucyjnego pod kierunkiem Andrzeja Rzeplińskiego w 2015 r. i potem wielokrotnie. Słuchałam wtedy Pana wypowiedzi. Z ogromnym zadowoleniem przyjmowałam Pana stwierdzenie: „Po co ta awantura?". W swojej książce powtarza Pan ten pogląd, jednocześnie wskazując, jak zniszczenie przez Zjednoczoną Prawicę autorytetu Trybunału Konstytucyjnego obniża wagę i siłę oddziaływania w społeczeństwie jego ostatniego orzeczenia na temat aborcji eugenicznej. Co więcej, ta walka Zjednoczonej Prawicy w 2015 r. z ówczesnym Trybunałem Konstytucyjnym była moim zdaniem (i, jak rozumiem, Pana zdaniem) zupełnie niepotrzebna i bezsensowna, bo przecież i tak kończyły się kadencje, więc i tak Zjednoczona Prawica wkrótce miałaby możliwość obsadzenia Trybunału Konstytucyjnego swoimi ludźmi. Moim zdaniem należy rozdzielić kwestię obrony przez Unię Europejską praworządności w Polsce od kwestii ataku Unii Europejskiej na prawo do życia. To są przecież dwie różne sprawy. W pierwszej sprawie Unia Europejska ma moim zdaniem rację, w drugiej nie. Myślę, że rozdzielenie tych dwóch spraw służyłoby sprawie drugiej.

Mnie leży na sercu zarówno przywrócenie praworządności w Polsce, jak i kształtowanie powszechnej wrażliwości społeczeństwa w sprawie prawa do życia i ochrony życia poczętego. W związku z moim szacunkiem do Pana pozwoliłam sobie wejść w polemikę z tekstem „Pomylone zakończenie".

Z wyrazami szacunku
Zofia Adamowicz (profesor matematyki, członek zwyczajny Towarzystwa Naukowego Warszawskiego)

Od autora

Szanowna Pani Profesor,
bardzo dziękuję za Pani ważny list i za słowa solidarności. Cieszę się, że łączy nas zarówno zaangażowanie na rzecz cywilizacji życia, jak i podobne poglądy na temat wolności i odpowiedzialności politycznej, w tym – negatywna ocena rozpętania konfliktu wokół Trybunału Konstytucyjnego. Zdecydowanie jednak uważam, że nie może to usprawiedliwiać systemowego naruszania praw Polski i prawa w ogóle przez władze Unii Europejskiej.

Proszę spojrzeć na naszych sąsiadów. Pamiętam debatę na temat zagrożeń demokracji w Czechach ze względu na zarzuty o sprzeniewierzenie środków unijnych przez premiera Babiša oraz ryzyko, jakie dla wolności politycznej niesie przejęcie władzy przez właściciela największego koncernu medialnego. Otóż posłowie prawicowej opozycji z Czech zgodnie w debacie powtarzali, że, owszem, mają problem, ale mają też narzędzie, żeby go rozwiązać – wolne wybory. Za ingerencję Brukseli uprzejmie, ale stanowczo, dziękowali.

Rządy prawa (i podział władz jako ich część) zakładają, że każda instytucja

eprasa.pl b04ffff7fd

działa w ramach powierzonych jej w prawie kompetencji. W sprawie wolności obywatelskich obowiązuje domniemanie kompetencji (co nie jest zakazane – widocznie jest dozwolone). W sprawie władzy publicznej odwrotnie – domniemanie niekompetencji, władzy nie wolno wykraczać poza wyraźne prawne upoważnienia. I władze nie mogą się samowolnie zastępować.

Owszem, rząd powinien szanować autonomię sądownictwa. Ale Komisja Europejska i Parlament Europejski nie mogą wchodzić w kompetencje Rady Europejskiej i zastępować mechanizmu międzyrządowego. A już żadna instytucja unijna nie może ingerować w sprawy, które w ogóle do Unii nie należą.

Musimy też pamiętać ostatnie trzy wieki historii. Polskę nieraz atakowano „w obronie praw": innowierców, zniewolonych chłopów, mniejszości narodowych. Zarzuty odnosiły się do realnych problemów, ale były tylko pretekstem. Suwerenność Ojczyzny jest najpierwszą z wolności i tego bronię.

Z serdecznymi wyrazami szacunku
Marek Jurek

„Prześladowanie Rodowiczów", Jerzy Dąbrowski, „DRz" 46/2021

W artykule o prześladowaniu Rodowiczów („Do Rzeczy" 46/2021) znalazła się informacja, że po aresztowaniu męża Stanisława pozostającej bez pracy z trojgiem małych dzieci Krystynie Rodowicz pomagał 75-letni ojciec, który dzięki redaktorowi Wernicowi umieszczał swoje artykuły w „Tygodniku Powszechnym". To oczywisty błąd, ponieważ mjr Leon Wernic (1897–1969) – peowiak, legionista, żołnierz lat 1920 i 1939, kawaler Orderu Virtuti Militari, czterokrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych – był od 1947 r. dziennikarzem „Słowa Powszechnego", m.in. pierwszym sekretarzem redakcji, a od 1952 r. aż do śmierci prowadził dodatek do gazety pt. „Słowo na Warmii i Mazurach".

Andrzej W. Kaczorowski, Warszawa

Od autora

Dziękuję Panu Andrzejowi W. Kaczorowskiemu za poprawienie mojej pomyłki. Przy okazji dowiedziałem się, że Pani Małgorzata Rodowicz jest w szpitalu. Chciałbym życzyć Jej powrotu do zdrowia, jak również pogodnych świąt Bożego Narodzenia w rodzinnym gronie.

Z poważaniem
Jerzy Dąbrowski

„Sto lat człowieczeństwa", Piotr Semka, „DRz" 45/2021

Szanowni Państwo,
chciałbym podziękować za piękny i mądry tekst redaktora Piotra Semki o dr Wandzie Półtawskiej. Proszę przekazać Autorowi gratulacje oraz życzenia zdrowia.

Z wyrazami szacunku

REKLAMA

AKTIVIST
polki.pl
novela.pl
wprost
FILMWEB

TYLKO W KINACH OD 3.12

eprasa.pl b04ffff7fd

NA PIERWSZY OGIEŃ

„Experimente! Experimente!”

PIOTR SEMKA

Po wojnie niemiecka chadecja pod wodzą Konrada Adenauera zaskakująco szybko odbudowała siłę gospodarczą RFN. CDU wylansowała wtedy hasło: „Keine Experimente!” – „Żadnych eksperymentów!”. Była to aluzja do haseł socjaldemokratów, którzy głosili, że czas na równiejsze podzielenie budżetowego bochenka. Wyborcy odrzucili pomysły SPD, która doszła do władzy dopiero w 1966 r., kiedy przekonała Niemców, że nie będzie majstrować przy gospodarce rynkowej.

Teraz nowy socjaldemokratyczny kanclerz Olaf Scholz staje na czele koalicji SPD-Zieloni-FDP z programem licznych reform. Nowa koalicja aż kipi zapałem do zmian. Odejście od atomu do 2022 r., od węgla do 2030 r. i od gazu na rzecz wodoru do 2040 r. Dalej – kontrolowana legalizacja marihuany i prawo do głosowania od 16. roku życia. Formalne zniesienie zakazu aborcji i zgoda na reklamowanie usług aborcyjnych. Wreszcie zapowiedź wspierania budowy nowej federalnej Europy. Tyle oficjalne zapewnienia. Ale Niemcy z dobrą pamięcią wskazują na zapowiedzi Zielonych z kampanii wyborczej – redukcji populacji zwierząt hodowlanych i produkcji mięsa, zapowiedzi likwidacji lotów krajowych i deklaracje Olafa Scholza, że Niemcy zachowają politykę migracyjną „otwartych drzwi”.

Ogólnie rzecz biorąc, SPD w nowej koalicji ma zająć się socjalem i obronnością, Zieloni zmianami klimatycznymi i kulturą, a FDP ma być polityczną przyzwoitką, która dopilnuje, by kasa się zgadzała, i będzie stopowała zbytnie lewicowe szaleństwo. W kwestii obronności mało kto wierzy, by nowa ekipa miała serce do realnego wzmocnienia Bundeswehry, co jeszcze bardziej osłabi pozycję RFN jako członka NATO. Umowa koalicyjna pozbawiona jest zapisów o Nord Stream 2, jednak jest postulat współpracy we wprowadzeniu wodoru jako głównego paliwa energetycznego razem z Rosją, a wodór nie dotrze inaczej do Niemiec jak poprzez bałtycką rurę. W polityce zagranicznej rusofilię SPD ma równoważyć wyczulenie Zielonych na prawa człowieka. Problem w tym, że ani kanclerz Scholz, ani przyszła „zielona” szefowa dyplomacji Annalena Baerbock nie mają zbyt wiele doświadczenia w dyplomacji. W umowie koalicyjnej znalazł się zapis o potrzebie egzekwowania kar za naruszanie zasad praworządności w krajach unijnych.

Pytanie: Kto będzie decydował o ostatecznej linii nowego rządu? Czy będzie to kanclerz Olaf Scholz, czy też „Ampelkoalition” potykać się będzie o ciągłe spory między trzema partiami? Ten zapał do eksperymentów przypada na okres coraz silniejszej destabilizacji sytuacji w Europie. Jak zachowa się nowa koalicja w razie agresji Rosji na Ukrainę? I jak wobec ewentualnych kryzysów będzie wyglądać energetyczne bezpieczeństwo Niemiec? Ilu jeszcze uchodźców jest w stanie wchłonąć RFN? A całe to wahnięcie w lewo może oburzyć przy okazji chadecję zastygłą w drzemce epoki Angeli Merkel. Deputowani chadecji już pytają nową koalicję, dlaczego zakazana jest reklama tytoniu jako produktu szkodliwego dla zdrowia, a zalegalizowana ma być zabójcza dla dzieci nienarodzonych aborcja. Takich pytań w najbliższym czasie może pojawiać się znacznie więcej. ©℗

FOT. SEBASTIAN WIDMANN/GETTY IMAGES

LEWANDOWSKI NAJLEPSZYM PIŁKARZEM ROKU

Międzynarodowa Federacja Historyków i Statystyków Futbolu (IFFHS) uznała Roberta Lewandowskiego za najlepszego piłkarza 2021 r. na całym świecie. Kapitan reprezentacji Polski w najnowszej edycji rankingu wyprzedził między innymi Leo Messiego i Cristiano Ronaldo. Lewandowski nie spoczywa jednak na laurach. Podczas meczu Bayernu Monachium z Dynamo Kijów Polak strzelił pięknego gola z przewrotki. Była to jego 82. bramka w Lidze Mistrzów. ©℗ ***(jap)***

eprasa.pl b04ffff7fd

Jak motyl
Odczarować mity

Rak jajnika jest jednym z najczęściej występujących nowotworów złośliwych u kobiet.[1]

Owiany mitami, które trzeba odczarować.

Nikt nie zrobi tego lepiej niż one – „Niebieskie Motyle".

Poznaj historię siedmiu delikatnych, ale zarazem silnych i walecznych kobiet, które w książce „Jak motyl. Odczarować mity" dzielą się swoimi historiami o życiu z rakiem jajnika i nadziei. Towarzyszą im opowieści lekarzy, którzy wspierają je w walce z chorobą.

Wydawca:

gsk

Patronat:

STOWARZYSZENIE NIEBIESKI MOTYL

POLSKIE TOWARZYSTWO GINEKOLOGII ONKOLOGICZNEJ

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZE DLA ZDROWIA

1. Didkowska J., Nowotwory złośliwe w Polsce w 2017 roku.

NP-PL-OCU-ADVT-210001, 04.2021

eprasa.pl b04ffff7fd

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

„Dziadek się śmiał…”

Redakcja „Gazety Wyborczej” ogłosiła, że „straciła zaufanie” do swojego wydawcy, spółki Agora, i nie przyjmuje do wiadomości dyscyplinarnego zwolnienia dyrektora wydawniczego gazety. Odwołała się przy tym do czytelników, oznajmiając, że to oni, a nie wydawca są „prawdziwymi właścicielami gazety”. W jaki sposób czytelnicy, jako „prawdziwi” właściciele, mają płacić teraz pensję dyrektorowi, skoro właściciel figurujący w rejestrach sądowych płacić mu nie chce (a może i całej redakcji?), wiedzą jedynie Adam Michnik i Jarosław Kurski, którzy sygnowali ogłoszony manifest „utraty zaufania”.

Przyznam, że jest wielkim wyzwaniem skomentować ten, nie bójmy się użyć adekwatnego słowa, cyrk, który urządza od dłuższego już czasu redakcja „Wyborczej”, bez narzucających się złośliwości. Mam jeszcze w pamięci oklaski czołowych publicystów „Wyborczej” dla Grzegorza Hajdarowicza, gdy – jako narzędzie w ręku ekipy Tuska – niszczył „Rzeczpospolitą” i tygodnik „Uważam Rze”. Pamiętam ich przemądrzałe pouczenia o „świętym prawie własności”, które przysługuje prywatnemu wydawcy tytułu, ich szyderstwa z „nieudaczników”, którzy „nie poradzili sobie na wolnym rynku” i usiłują odgrywać ofiary politycznych prześladowań.

Zresztą, pomijając już osobiste urazy, mam też w pamięci wszystkie peany, które na cześć wolnego rynku – w jego kulawej, pomagdalenkowej wersji – wypisywali w „Wyborczej” Michnik i inni balcerowiczowscy neofici. Chyba zresztą szczerze, skoro sami postanowili swą gazetę wprowadzić na giełdę. Nachapali się przy tym na założycielskich akcjach wręcz epicko, jak wie całe środowisko – ale sprzedaż to sprzedaż. Można było przewidzieć, biorąc kasę od zagranicznych funduszy inwestycyjnych, że będą one oczekiwały zysków, a nie etosu – zwłaszcza tak skiepszczonego jak ostatnio – i autopromocyjnego picu.

Cóż, choć nasza sytuacja w istocie nic wspólnego z wolnym rynkiem nie miała, to jednak właśnie dzięki niemu, bez wielkich pieniędzy na start i promocję, w obliczu powstałej nagle i suto zaopatrzonej konkurencji, daliśmy sobie radę. Bierzcie przykład, jeśli umiecie. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Przebijając dno

Gdy rok temu PO w Parlamencie Europejskim poparła antypolską rezolucję aborcyjną, wydawało się, że gorzej być nie może, że jej polityka sięgnęła dna. Jak bowiem można od haseł o „praworządności” przejść do negacji orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego z 28 maja RP (!) 1997 r.? I jak głosząc rządy prawa, więc zobowiązujący charakter publicznie uznanych norm, ich prymat nad polityką, wbrew własnej Deklaracji Ideowej, głoszącej Europie, że „prawo winno ochraniać życie ludzkie, tak jak czyni to obowiązujące dziś w Polsce ustawodawstwo” – można głosować za proklamacją, że „dostęp do aborcji stanowi prawo człowieka”? Wtedy jednak ich głosowanie tłumaczył konformizm, wartość w metodzie politycznej Donalda Tuska bodaj najważniejsza. PO głosowała bowiem jesienią ubiegłego roku tak jak zdecydowana większość Europejskiej Partii Ludowej.

W nowej antypolskiej rezolucji aborcyjnej (pisałem o niej tydzień temu) odbyło się już tylko jedno imienne głosowanie, nad poprawką, by „zapewniać polskim kobietom dostęp do bezpłatnej i bezpiecznej aborcji w ramach [zagranicznych] systemów opieki zdrowotnej”. To przejście od abstrakcyjnej deklaracji o nowym „prawie człowieka” do konkretnego eksportu aborcyjnej rewolucji (i importu aborcyjnej przestępczości) okazało się za trudne, przynajmniej na tym etapie, nawet dla europejskiej postchadecji. Zdecydowana większość posłów EPP głosowała przeciw, wśród nich Antonio Tajani, były przewodniczący PE, Roberta Metsola, prawdopodobna przyszła przewodnicząca Parlamentu, kandydat EPP na przewodniczącego Komisji Europejskiej Manfred Weber i Janina Ochojska.

Natomiast Polacy z PO (i poseł Hetman z PSL) stanowili większość wśród najbardziej aborcyjnej mniejszości EPP. Kiedyś PO sytuowała się na prawym skrzydle Europejskiej Partii Ludowej, dziś jest na jej skrajnej lewicy. Idzie to tak szybko, że strach myśleć, za czym PO może głosować jesienią przyszłego roku. ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

NARODOWY BANK POLSKI

Departament Edukacji i Wydawnictw NBP edukuje:

Inflacja to wzrost ogólnego poziomu cen w gospodarce. Umiarkowany wzrost cen jest normalnym zjawiskiem w rozwijającej się gospodarce. Za optymalny poziom inflacji w Polsce przyjmuje się roczne tempo wzrostu cen między 1,5 – 3,5 proc. (2,5 proc. plus/minus 1 punkt procentowy).

Wzrost cen w gospodarce może mieć przyczyny:

- popytowe,
- podażowe (kosztowe).

Z punktu widzenia banku centralnego kluczowe jest rozróżnienie pomiędzy krajowymi i zewnętrznymi (potencjalnie globalnymi) źródłami zmian cen.

W październiku 2021 r. inflacja w Polsce wyniosła 6,8 proc. w ujęciu rocznym, zatem kształtowała się na podwyższonym poziomie. Oznacza to, że przeciętnie koszt koszyka towarów i usług konsumpcyjnych dla gospodarstw domowych wzrósł właśnie o 6,8 proc. w porównaniu do analogicznego okresu 2020 r.

Analizy dotyczące cen poszczególnych towarów i usług kupowanych przez polskich konsumentów wskazują, że **w październiku 2021 r. zmiany cen towarów i usług administrowanych oraz paliw (obejmujących około 21 proc. całego koszyka towarów i usług konsumenta) odpowiadały za około 46 proc. rocznego wzrostu cen konsumpcyjnych. Zatem wzrost inflacji w ostatnim czasie wynikał z czynników podażowych (kosztowych) i zewnętrznych, na które polityka pieniężna prowadzona przez Narodowy Bank Polski nie ma żadnego wpływu.**

Podwyższona inflacja jest obecnie zjawiskiem globalnym, występuje nie tylko w Polsce, ale we wszystkich krajach i jest to związane ze skutkami kryzysu pandemicznego. Zjawisko to ma charakter przejściowy. Inflacja będzie się obniżać wraz z wygasaniem czynników kosztowych, a **Narodowy Bank Polski nie dopuści do utrwalenia się w Polsce inflacji na podwyższonym poziomie.**

NARODOWY BANK POLSKI

eprasa.pl b04ffff7fd

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O egoizmie i głupocie

W północnych Włoszech młodzi ludzie organizują COVID party, żeby się zarazić koronawirusem. Po co? Żeby się nie szczepić, ale otrzymać green pass, który w Italii jest przepustką do w miarę normalnego życia w czasach zarazy.

Bez green passu nie można pracować poza domem, wejść do miejsca pracy, kina, teatru, dyskoteki, muzeum, galerii sztuki, pociągu, samolotu czy restauracji. Dokument wydawany jest zaszczepionym i posiadaczom negatywnego wyniku testu z ostatnich 48 godzin. Ci ostatni muszą się więc testować co drugi dzień, co związane jest ze sporym wydatkiem. Co więcej, wszystko wskazuje na to, że już niebawem negatywny wynik testu pozwoli jedynie pójść do pracy.

Trzecia kategoria ludzi, którzy otrzymują przepustki, to ci, którzy są uodpornieni, bo przeszli chorobę. I właśnie ten sposób na otrzymanie green passu wybiera wielu młodych ludzi w Dolinie Aosty i Bolzano, którzy za nic nie chcą się szczepić. Organizują COVID party, na które zapraszają zakażonych, i w miłej atmosferze, przy piwie i winie, zarażają się koronawirusem. Są przekonani, że wiele nie ryzykują, bo większość młodych ludzi przechodzi chorobę lekko lub bezobjawowo.

Ale pal diabli gówniarzy. Chodzi o to, że zarażają innych w domu, w szkole i gdziekolwiek się znajdą, podsycając rozwój pandemii. Zupełnie nie obchodzi ich, że dla niezaszczepionych starszych ludzi (w całej włoskiej populacji niezaszczepieni to ponad 7 mln) zakażenie koronawirusem może być wyrokiem śmierci albo powodem dotkliwych cierpień. Porażają skrajny egoizm i kompletny zanik instynktu społecznego.

Gdy piszę te słowa, media informują, że w Mediolanie policja zatrzymała młodego organizatora demonstracji przeciw szczepieniom i przepustce covidowej. Jak się okazało, młodzieniec o zdolnościach hakerskich ściągnął, skąd trzeba, i rozesłał gratis ponad tysiąc green passów swoim niezaszczepionym współwyznawcom.

Najwyraźniej skutkiem ubocznym zarazy jest również wysyp sfanatyzowanych idiotów. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl b04ffff7fd

VI Europejski Kongres Samorządów

6 – 7 grudnia 2021 – Hotel Gołębiewski, Mikołajki

EUROPA PO PANDEMII: JAK ODBUDOWAĆ LOKALNĄ GOSPODARKĘ?

EUROPEJSKI KONGRES SAMORZĄDÓW

Najważniejsze spotkanie przedstawicieli władz regionalnych i lokalnych z krajów Europy z przedstawicielami polskich władz centralnych oraz Unii Europejskiej

Blisko 140 wydarzeń – paneli, bloków programowych, wykładów, warsztatów – podzielonych na 10 ścieżek tematycznych

Miejsce spotkań blisko tysiąca liderów samorządów z biznesem, organizacjami samorządowymi i pozarządowymi oraz przedstawicielami ministerstw i agend rządowych

www.forum-ekonomiczne.pl

Główny partner Kongresu

WARMIA MAZURY

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. PAWEŁ GROMADA

O JAK ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Zrozpaczona zamieszaniem, które wywołały jej bluzgi pod adresem Straży Granicznej, Barbara Kurdej-Szatan próbuje ratować swój wizerunek. Oraz show-biznesowe kontrakty. Udzieliła więc wywiadu „Gazecie Wyborczej", gdzie wyznała, że „użyła jednego słowa za dużo", a wulgaryzmy były błędem. Choć sama treść już nie, dziś tylko napisałaby to „bardziej rozważnymi słowami". Przypomnijmy: celebrytka nazwała Straż Graniczną „mordercami, maszynami bez serca, bez mózgu i bez niczego", za co doceniła ją nawet białoruska telewizja. Na koniec dodała jeszcze, że jej dziadek był żołnierzem, więc na pewno służb mundurowych obrażać nie chciała. Tak, widzieliśmy wszyscy, jak nie chciała – przeprosiła dopiero wtedy, gdy zaczął się jej palić grunt pod nogami, czyli po informacji o zakończeniu współpracy z TVP. – Wygrały emocje – przyznaje Barbara, by na koniec oświadczyć, że kocha Polskę! Tylko okazało się, że Polska nie kocha już jej. I tak uprzykrzyła życie kontrahentom Kurdej-Szatan, że ci zaczęli się od niej odcinać. Pudelek podał, że duża sieć komórkowa, której celebrytka była twarzą i która przyniosła jej popularność, nie przedłuży jej kontraktu. Kurdej-Szatan narzeka, że wobec niej rozpętano kampanię hejtu i nienawiści. A może to po prostu kampania odpowiedzialności za słowo? Ku przestrodze wszystkim nagrzanym celebrytom, którzy najpierw piszą, a potem myślą.

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

MIEĆ MAMĘ W UNII WOLNOŚCI

Prawie nam umknęło, że Kurdej-Szatan udzieliła jeszcze wywiadu swojej koleżance Magdzie Mołek. Tym razem była też wizja. Basia wyglądała bardzo skromnie. W białej bluzce, niezrobionych włosach, bez makijażu, ze zbolałą miną opowiadała, jak jej ciężko i jak niesprawiedliwie się wokół niej dzieje. W pewnym momencie pojawiły się nawet łzy. Musiały przecież, inaczej ten wywiad nie miałby sensu. Tak więc, zgodnie z planem, od razu pojawiły się nagłówki „Kurdej-Szatan popłakała się podczas wywiadu". Niewiele to jednak dało. W komentarzach pod jej wywiadem widać, że narodu nie przekonała. Wyciągnęła nawet broń ostateczną i wyznała, że ikrę do aktywności społecznej odziedziczyła po mamie, która była wieloletnią działaczką Unii Wolności. No jeśli ten fakt miał przynieść jej sympatię, to się znów przeliczyła. Niech już lepiej nic więcej nie mówi. Dla własnego dobra.

PO NAZWISKU

Monika Richardson poinformowała świat, że w związku z rozwodem postanowiła na zawsze pozbyć się nazwiska „Zamachowska". – Zrezygnowałam definitywnie z nazwiska „Zamachowska". W papierach mam już Richardson. Musiałam udać się do urzędu i na piśmie wyjaśnić, dlaczego chcę zmienić nazwisko – powiedziała „Faktowi". Tłumaczyła, że nie chce już używać nazwiska męża, ponieważ „niestety nie kojarzy się jej najlepiej i chce rozpocząć nowe życie". Zdecydowała się na powrót do dawnego nazwiska. – Nazwisko „Richardson" kojarzy mi się bardzo dobrze. Pod tym nazwiskiem prowadziłam program „Europa da się lubić", który przyniósł mi wielką popularność. Na odpowiedź czekałam tydzień. Muszę przyznać, że nawet się trochę stresowałam, czy moja prośba zostanie pozytywnie rozpatrzona. Ale udało się. Jestem bardzo wdzięczna urzędnikowi USC – podkreśliła. Nie bardziej niż pan Zbyszek! To więcej niż pewne.

DOM Z BASENEM

Tymczasem magazyn plotkarski „Party" informuje, że Michał Wiśniewski chce odbić się od dna po tym, gdy został bankrutem i ogłosił upadłość, i chciałby wziąć udział w nowym reality show. Chciałby wcielić się w rolę budowlańca i pokazywać Polakom, jak od podstaw buduje sobie i rodzinie dom. – W końcu muszę wziąć się do roboty i zbudować dla nas obiecany dom. Przygotowuję 22-odcinkowy projekt programu, w którym pokażę, jak to zrobić od podstaw, ale mam wielu partnerów, którzy mi w tym w pomogą – zapowiedział Wiśniewski. Dodał, że w programie będzie także trochę psychologiem i facetem, który po upadku stanął na nogi. – Będzie też trochę prywaty, bo pracujemy nad tym programem całą rodziną. Czuję się wolny i ta wolność powoduje, że chce mi się wszystkiego z podwójną siłą. W tym roku urodził się Falco, duma moja i całej naszej rodziny. Cieszę się, że moje dzieci znów widzą mnie szczęśliwego. Skończyła się moja upadłość, co jest dla mnie ważne, bo tłumaczenie się z tego, że jesteś bankrutem, jest megasłabe – dodał lider Ich Troje.

Wróżymy sukces i zachwyty fanów. Wszak każdy bankrut w Polsce zaczyna odbijać się od dna, budując sobie dom. Oby tylko o basenie Michał nie zapomniał! ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, wiecie, kto ma w Polsce w tym momencie najgorzej? Jakie mniejszości są najbardziej uciskane, dyskryminowane, prześladowane i sekowane z przestrzeni publicznej?

Otósh są to dziennikarze i aktorzy. O ile dobrze łapiemy sytuację, to dziennikarze nie mogą jechać na granicę, ale by chcieli, ale ich tam chyba nikt nie chce. Z kolei aktorzy tam i tak jadą, chociaż nikt ich tam nie chce. Mamy pewną zagwozdkę, co by było w sytuacji, kiedy dziennikarz byłby jednocześnie aktorem.

W dodatku aktorzy, którzy nie mogą milczeć wobec skali, hm, zdarzeń na granicy i piszą rozpaczliwe posty w mediach społecznościowych, są następnie prześladowani. A tematów to mają już tyle, że trudno im ogarnąć, o kim już pisali, o kim nie, jakich epitetów użyli wobec kogo i jakich użyć kolejnym razem, żeby się nie powtarzać.

To naprawdę źle, iż ten kraj nie szanuje swoich elit artystycznych i kulturalnych. A potem się dziwią, że żołnierze przeklinają.

Gdybyście, kochani, chcieli kiedyś się przekonać, jak funkcjonuje idealny lewicowy rząd w idealnym lewicowym, progresywnym, wolnym społeczeństwie, to zachęcamy, iżbyście zerknęli w kierunku Hiszpanii.

Właśnie wchodzi tam w życie prawo, według którego płatności gotówką na kwotę przekraczającą 1000 euro będą podlegały karze ze strony tamtejszego urzędu skarbowego. Jest to świetny przykład wdrażania nowoczesności pomimo społecznych wątpliwości co do zasadności proponowanego rozwiązania. Czasem po prostu trzeba siły, iżby udowodnić ludziom, co jest dla nich dobre i właściwe.

Marzy nam się po cichu, iżby podobne rozwiązania przenieść na jałowy grunt tego kraju, chociaż mamy oczywiście świadomość, że na tym gruncie lepiej rosną cebula i ziemniaki niż nowoczesne idee.

My jednak karalibyśmy w ogóle za używanie gotówki. Po pierwsze, te wszystkie babcie nie miałyby jak dawać księdzu na tacę xD. Po drugie, pokazalibyśmy, iż jesteśmy w prawdziwej awangardzie postępu, że wystarczy nam wskazać kierunek, a my tam pobiegniemy szybciej, niż ktokolwiek by oczekiwał, i może wtedy nas wreszcie by ktoś docenił.

Zastanawiamy się kochani, jaka jest najmniej prawdopodobna historia, w którą są w stanie uwierzyć zaaferowane losem osób uchodźczych osoby lokalne. Ostatnio szczególnie urzekła nas narracja o fallusoosobniku, który płynął przez sześć dni rzeką, a wieczorem wychodził na brzeg, a przy tym nie jadł i nie pił.

Naszym zdaniem ta historia byłaby ciekawsza, gdyby ją wzbogacić o kilka elementów narracyjnych. Na przykład: płynął, ale na jego plecach przez cały ten czas siedział kot. Płynął, ale pod wodą (nie pytajcie o kota). Przypłynął z Afganistanu razem z ciężarnymi żonami, które w drodze (tak się mówi, kiedy ktoś płynie?) urodziły dzieci, a one dalej płynęły razem z nimi.

Brzmi nieźle, prawda? Jak materiał na strony główne największych portali.

A tymczasem okazuje się, iż osoba, która sprzedała mediom niusa o płynącym wpław sześć dni uchodźcy, przyznaje teraz, iż być może był to skrót myślowy, bo jednak człowiek nie jest w stanie spędzić w listopadzie sześciu dni w rzece.

Z zainteresowaniem czekamy na kolejne relacje. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Premia za służbę

Ty, Marek, zobacz, ale ten Donald to ma pod górę.

Wiesz, Jacek, to jest tak, jak mówił świętej pamięci Oleksy: jak nie idzie, to nie idzie.

Ja to akurat wiem, że ta łapanka zawsze tam stoi, w tym samym miejscu. Mnie już pięć razy łapali.

I co?

No a co ma być? Za pierwszym razem miałem sto dwadzieścia. Pytają: „Gdzie się pan tak spieszy?". A ja mówię: „Na rząd, wicepremierem jestem". Obśmiali się najpierw, ale potem, jak zaczęli sprawdzać, to im miny zrzedły.

I co zrobiłeś?

No co miałem zrobić? Zapisałem sobie nazwiska i poprosiłem Mariusza, żeby tam zadbał, żeby odpowiednie premie chłopaki dostali. Za dobrą służbę.

I dostali?

No musi, że dostali, bo za drugim razem to tylko zajrzeli przez okno i machnęli ręką. A potem to już tylko salutowali.

A ile miałeś ostatnio?

Nie, no wiesz, ja nie szaleję. Raptem ze sto pięćdziesiąt. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jeździectwo powinno zniknąć".

SYLWIA SPUREK, *europosłanka, w rozmowie z Interią*

eprasa.pl b04ffff7fd

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Joachim Brudziński, zwany też Achimem, zwany też Jojo, gwałtownie dementuje, jakoby miał zostać premierem. Wierzymy tylko w zdementowane informacje.

Chwalimy prezydenta Andrzeja Sebastiana. Bo on chwalił poznaniaków. Kiedy przyjechał do stolicy Wielkopolski, by podpisać akt ustanawiający nowe święto (Narodowy Dzień Zwycięskiego Powstania Wielkopolskiego), powiedział, że docenia fakt, iż pracowici poznaniacy nie zażądali, by święto było dniem wolnym od pracy.

Co ciekawe, podczas uroczystego podpisywania prym wiodła Jadzia Emilewicz, a nie lokalne nababy z PiS. Chociaż wróć, nie! Przyuważono, jak Szynkowski vel Sęk raczył się całkiem wykwintnym deserem. Donosimy też, że Poznań jest stolicą polskiego sanitaryzmu. Ze względu na zagrożenie epidemiologiczne na uroczystości nie było reporterów i fotografów „Wyborczej".

Apropos „Wyborczej" – jak wiecie, bohaterscy dziennikarze są tam uciskani przez wielki kapitał, to znaczy właściciela, który chce (o dziwo!) mieć wpływ na to, kto w firmie pracuje, ile zarabia i na co idą jego, właściciela, pieniądze. W związku z tym Adam Michnik i Jarosław Kurski rozpoczęli otwartą wojnę z kapitalistami. Podsuwamy przydatne hasło: „Precz z plutokracją z Wall Street!". Będę też kłopoty, hm, etniczne. W końcu Agora to międzynarodowy kapitał, a wiadomo, jakie ma on korzenie.

Pani z Malty, której nazwiska nikt nie pamięta, została kandydatką Europejskiej Partii Ludowej na szefa europarlamentu. Zapowiadaliśmy to już od paru tygodni. Przypomnijmy: wedle Eine Totalopposition kandydatką miała być Ewka Kopacz. Albo kłamali, albo mieliśmy w Polsce premiera z Malty.

Źli ludzie opowiadają, że wiceminister Mejza Łukasz żerował na cierpieniu. A teraz to nie żeruje? Przecież Zjednoczona Prawica cierpi. Na brak głosów w parlamencie.

Jest zabawnie, bo potężną tyradę antymejzową wygłosił dziennikarz Szymon Jadczak na łamach portalu Lubuskie.pl. To portal samorządu lubuskiego. A było już tak pięknie – kiedy Mejza przyniósł kasę na stadion piłkarski w Zielonej Górze, inicjatywę wsparli wszyscy: prezydent miasta, wojewoda, no i oczywiście rządzący w postaci Mejzy.

Po samochodowym rajdzie Złego Donalda z Sopotu zakończonym odebraniem mu prawa jazdy musimy zmienić jego ksywkę. „Szybki i Wściekły"? Za długie. No to skracamy. „SiW-y"? Lepiej. W każdym razie rajd pokazuje w innym świetle na popularne zdanie: „Donald się wściekł".

Nawet nie macie pojęcia, jak szerokim echem odbił się w świecie rajd Tuska. Jedna z wiewiórek przysłała nam gazetę z Maroka, gdzie rzecz opisywana jest po arabsku i po francusku. SiW-y Donald jest tam opisywany jako „Le chef de l'opposition polonaise et ancien président du Conseil européen". Widzicie, pętaki opozycyjne, Budki, Trzaskowskie, Hołownie, Czarzaste i inne Tygryski? Wyraźnie napisane: „Le chef de l'opposition polonaise"! Nawet w Maroku to wiedzą.

Uwaga, przewidujemy przyszłe działania opozycji! Otóż jeden z czołowych ekspertów obecnego rządu jest gejem. Nic w tym dziwnego, rzecz niewiele ma wspólnego z poglądami politycznymi. Tu problem jest poważniejszy, gdyż ekspert ów namiętnie lansuje swojego młodego kochanka w sposób taki, że ich relacja jest już widoczna niemal gołym okiem. Jak twierdzą nasze wiewiórki, prężne środowiska LGBT już się szykują do wyoutowania owego eksperta. Nigdzie nie ma tylu homofobów, co wśród ludzi, którzy ukradli nam kawałek alfabetu.

Obiecaliśmy, że jako pierwsi podamy nazwisko przyszłego polskiego ambasadora w Berlinie. Miała być kobieta, ale to już nieaktualne. Dziś najbardziej gorącym nazwiskiem na giełdzie jest przedstawiciel frakcji profesorskiej. Chodzi o Grzegorza Kucharczyka z PAN. Popieramy. To jeden z najlepszych w Polsce znawców Prus. Ktoś powie: „Co to za kwalifikacje? Przecież Prusy od dawna nie istnieją". Owszem. Ale Prusacy, widzicie, nie wymarli.

Profesora Kucharczyka widzieliśmy może ze dwa razy w życiu. Postanowiliśmy więc uzupełnić o nim wiedzę od naszych wiewiórek. I się zdziwiliśmy. Byliśmy przekonani, że człowiek, który mocno utożsamia się z Kościołem katolickim, nie będzie się cieszył sympatią naszych rozmówców. Tymczasem wręcz przeciwnie. Wszyscy wyrażali się o nim w superlatywach.

Przy okazji musimy zaprotestować: Jak mamy robić „Do Rzeczy", kiedy nam Rzeczpospolita Polska wszystkich zabiera? Założyciel Magierowski poszedł w ambasadory, publicysta Czaputowicz – w ministry, a teraz znów Kucharczyk do Berlina… W każdym razie my dwaj obiecujemy, że nie damy się tak łatwo.

Z mediów. „ABW zatrzymała Radosława S. pod zarzutem pomocy rosyjskiemu szpiegowi". Z ręką na sercu – też pomyśleliście w pierwszej chwili, że to o Wielkim Sknerusie, aktualnie w europarlamencie, znanym też jako mąż swojej żony?

Z mediów 2. „Agresywni migranci w ośrodku w Wędrzynie. Niszczą ogrodzenie, wybili szyby, chcą do Niemiec". Z ręką na sercu – też pomyśleliście w pierwszej chwili, że to o Macieju Stuhrze i Marii Peszek?

Z mediów 3. Zdaniem Janiny Ochojskiej, europosłanki PeŁo, migranci „rzucają kamieniami, bo są zdenerwowani". Z ręką na sercu – następnym razem, jak was ktoś łupnie brukowcem, to nie miejcie pretensji. Normalna sprawa. Zdenerwowany był. I nerwy miał skołatane. ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

Nowy las od PZU!

Grupa PZU bardzo poważnie podchodzi do kwestii klimatycznych i liczenia śladu węglowego. Największy ubezpieczyciel w Polsce ogranicza własne emisje, zużycie paliw i innych zasobów, wspiera rozwój odnawialnych źródeł energii i realizuje projekty ekologiczne chroniące środowisko naturalne. Jednym z nich jest odtworzenie niemal 100 ha lasu w okolicach Borów Tucholskich, powierzchni zniszczonej przez nawałnicę w 2017 r.

Dla neutralności klimatycznej nie ma już alternatywy. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę PZU, które jest już gotowe na przełomowy zwrot. – Podjęliśmy w ramach nowej strategii Grupy PZU wiele działań pomagających chronić środowisko naturalne. Mocno ograniczamy emisje własne, a tę ich część, której wyeliminować się nie da, odpowiednio rekompensujemy – zaznaczyła Dorota Macieja, członek zarządu PZU Życie. W jaki sposób?

ODNOWIENIE LASU

W tym roku największy ubezpieczyciel w Polsce zakupił od Lasów Państwowych Jednostki Dwutlenku Węgla równoważące niemal 17 tys. ton CO_2. Zgodnie ze wskazaniem PZU za pieniądze otrzymane od spółki leśnicy odnowią prawie 100 ha lasu w okolicach Borów Tucholskich, zniszczonych przez nawałnicę sprzed blisko czterech lat. Najbardziej ucierpiał Rytel dotknięty przez „huragan 100-lecia". Wówczas PZU zaangażował się w pomoc mieszkańcom odbudowującym po kataklizmie swoje domy. Dziś chce wesprzeć odtwarzanie leśnego krajobrazu, z którego region jest znany. Zakupione JDW i wykonane nasadzenia pozwolą zrekompensować emisje spółki za rok 2020.

Pierwsze sadzenie, w którym wzięło udział kilkudziesięciu pracowników, odbyło się 16 listopada. Sami wolontariusze spółki posadzili 3000 sadzonek. Do nasadzeń wybrano sosny, które charakteryzują się dużym zakresem tolerancji na warunki środowiska i temperatury, co ma znaczenie na ubogich glebach w Borach Tucholskich. Dodatkowo sosny są też jednym z najlepszych absorbentów CO_2, a jedno 60-letnie drzewo tego gatunku produkuje tlen potrzebny do życia trzem osobom.

– Nowo posadzony las ma być utrzymywany przez leśników do wieku ok. 100 lat, zgodnie z zasadami gospodarki leśnej prowadzonej przez Lasy Państwowe. Będzie w tym czasie absorbował znaczną ilość dwutlenku węgla. Kolejne sadzenie w tym miejscu odbędzie się wiosną przyszłego roku – powiedziała dr Agnieszka Koryś-Matusiak, pełnomocnik zarządu ds. ochrony środowiska w Grupie PZU.

AMBITNY CEL KLIMATYCZNY

Zaangażowanie PZU w ograniczanie emisji CO_2 i równocześnie sadzenie lasu, zwiększające potencjał pochłaniania, jest ściśle związane ze strategią Grupy PZU na lata 2021–2024 w obszarze ESG. W rezultacie wszystkich działań spółka po raz pierwszy w historii osiągnęła neutralność klimatyczną. A to dopiero początek!

Plany ubezpieczyciela sięgają bowiem znacznie dalej. PZU stawia sobie za cel, by do roku 2040 neutralni klimatycznie stali się również jej kooperanci i partnerzy biznesowi, a do roku 2050 także klienci ubezpieczeniowi i inwestycyjni. Spółka pracuje też nad rozwojem portfela w branżach niskoemisyjnych i zrównoważonych oraz nad ofertą ubezpieczeniową wspierającą dekarbonizację i proces zmiany miksu energetycznego.

Dokonania ubezpieczyciela w tym obszarze są dostrzegane i pozytywnie oceniane. Grupa PZU zdobyła tytuł Spółki Świadomej Klimatycznie w tegorocznym badaniu CCA i znalazła się w ścisłej czołówce najbardziej świadomych klimatycznie spółek notowanych na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych.

– Stawiamy przed sobą ambitne cele i będziemy konsekwentnie je realizować. Już dziś staramy się kupować jak najwięcej energii pochodzącej z odnawialnych źródeł energii, wprowadzamy nowe produkty chroniące klientów korzystających z OZE i inwestujemy w farmy wiatrowe. Wszystkim naszym działaniom przyświeca jeden cel: wsparcie polskiej gospodarki w zielonej transformacji – podsumowała Joanna Gorczyca, dyrektor Biura Zrównoważonego Rozwoju PZU.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl b04ffff7fd

Rafał A. Ziemkiewicz

Nienawiść do PiS jest tylko skutkiem tego, że opowiada się on za kultywowaniem polskiej suwerenności i odmienności, że symbolizuje w oczach „oświeconych" wszystko to, czym gardzą

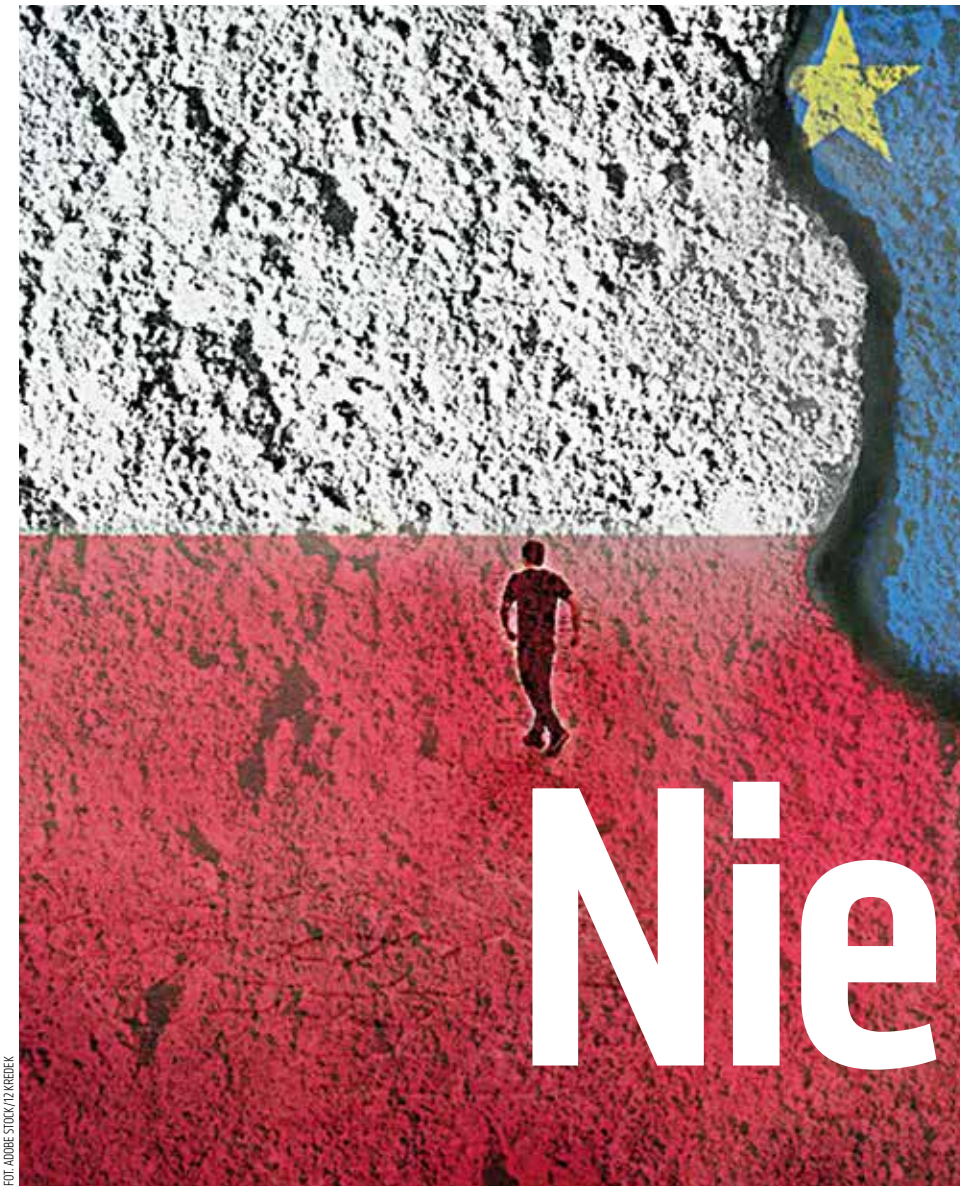

FOT. ADOBE STOCK/12KREDEK

Nadzieją na to, że państwa narodowe »rozpłyną się« w większej wspólnocie, była Unia. Nie jest to jeszcze nadzieja płonna. Mimo wielkiej pracy propagandowej PiS ciągle mamy w Polsce wielu euroentuzjastów, którzy widzą państwo w kategoriach prawa, nowoczesności i postępu, i mniejszą grupę eurosceptyków, która jest za ochroną narodowej tradycji i jej gadżetów [...]. Kierunek naszego rozwoju jest więc prosty: odnarodowić państwo, a potem odpaństwowić wspólnoty, wtedy uniwersalne idee człowieczeństwa i jego praw będą miały przestrzeń do rozwoju".

Chyba nie da się wyłożyć ideowych pryncypiów lewicowo-liberalnej opozycji i jej „europejskiego programu" jaśniej, niż zrobiła to prof. Magdalena Środa w cytowanych wyżej refleksjach nad Świętem Niepodległości (!) na łamach „Gazety Wyborczej". Można tylko podziękować i gazecie, i samej pani profesor, że ta ideowa deklaracja została wreszcie sformułowana jasno i wyraźnie, bez dotychczasowych krętactw, jakoby pookrągłostołowe elity szukały tylko dla patriotyzmu jakiejś innej, nowoczesnej formuły, ale nie odrzucały go. „Patriotyzm dotyczyć może małych wspólnot lokalnych" – limituje zezwolenie na patriotyzm Środa, co i tak brzmi lepiej niż typowe dla dyskursu salonów sprowadzanie patriotyzmu do „zbierania kup po psie".

ODRZUCENIE POLSKOŚCI

Jeśli ktoś chciałby twierdzić, że słowa Magdaleny Środy to tylko jej pogląd, to zwróćmy uwagę, jak doskonale teza sformułowana tu otwarcie, pasuje implicite do praktycznie całego „kontentu" wspomnianej gazety i podobnie zorientowanych mediów. Każda praktycznie wypowiedź – czy to redaktorów, czy zapraszanych do pouczania społeczeństwa „autorytetów" – od wielu już lat wiedzie nieuchronnie do tego samego wniosku: „uniwersalne idee" zrealizować możemy tylko wtedy, gdy „rozpłyniemy się" w wyższej rangi, europejskiej wspólnocie, urządzonej i rządzonej przez mądrzejszych i bardziej cywilizowanych. Innymi słowy – polskość, suwerenność państwowa, jest przeszkodą w przejściu na „wyższy poziom rozwoju".

Już przed laty oznajmił to zapomniany dziś, ale wtedy jeszcze odnoszący sukcesy Janusz Palikot. „Nie ukrywajmy tego, że żeby stać się prawdziwymi Europejczykami, musimy się oczyścić z polskości" – mówił polityczny celebryta, lawirujący między prowokacyjną dosadnością i agresją a pozowaniem na intelektualistę, który na partyjnym wiecu przemawia z książką postępowego filozofa w ręku. Wtedy Palikota skarcił Aleksander Kwaśniewski, ale tylko za „nie ukrywajmy tego", za przekonanie (widoczne także u Środy), że tych Polaków, którzy chcą jak najszybciej się swojej polskości wyrzec, jest już zdecydowana większość. „Polacy jeszcze do takich tez nie dojrzeli" – pouczył etatowego skandalistę były prezydent, samej tezy o wyższości „europejskości" nad polskością nie negując.

Dziś można już znaleźć ogromną liczbę przykładów, i codziennie dokładać nowe, że odrzucenie polskości tkwi głęboko w myśleniu liderów opinii, światka uczelnianego i artystycznego. Także związanych z opozycją samorządowców, z zajadłością starających się usuwać z przestrzeni publicznej polskich bohaterów – czy to broniąc starych, komunistycznych patronów ulic, czy, tak jak w Warszawie, zastępując

eprasa.pl b04ffff7fd

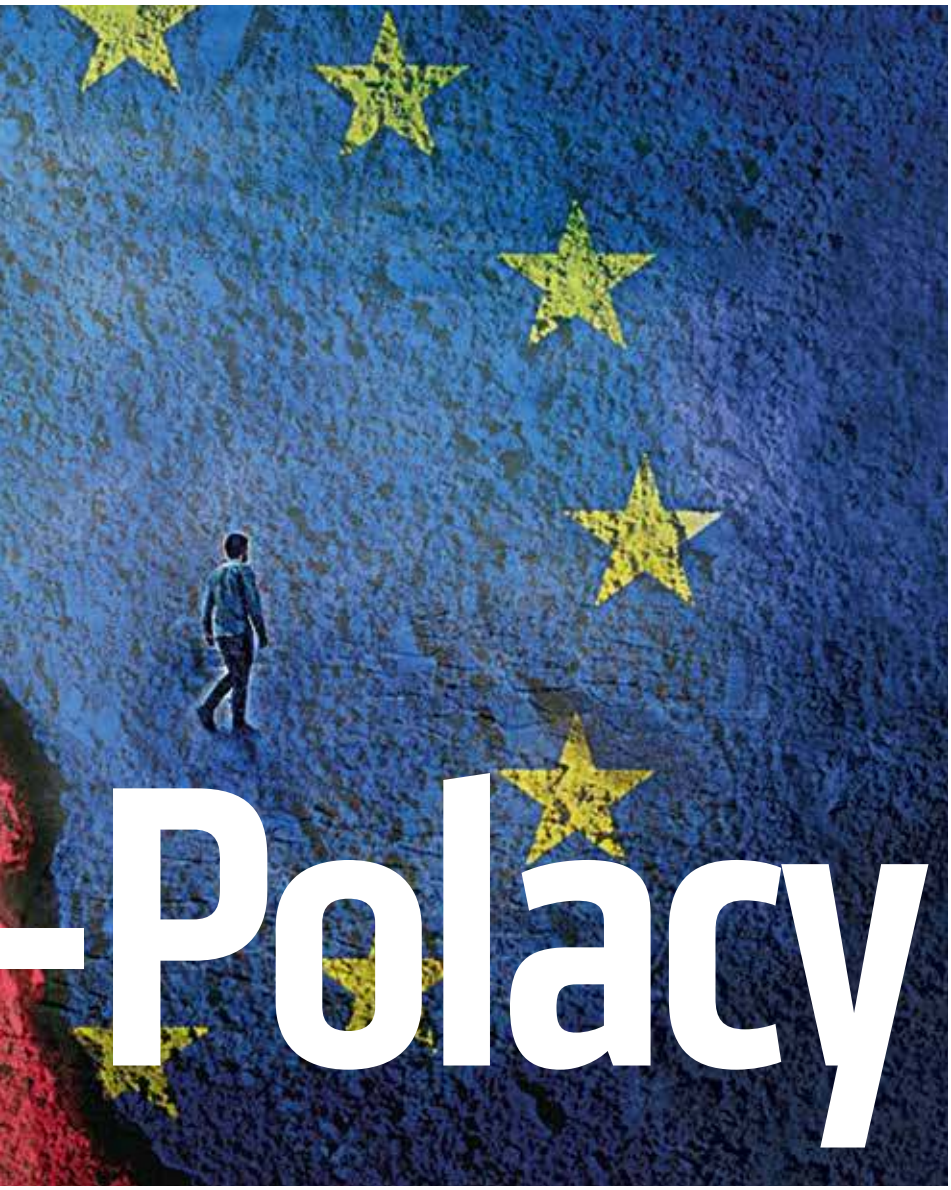

-Polacy

żołnierzy wyklętych „Czterdziestolatkiem", a Romana Dmowskiego „prawami kobiet".

Ujawnia się ono także w spontanicznych, na pewno nieuzgadnianych, a mimo to jednobrzmiących reakcjach na wydarzenia w mediach społecznościowych. Gdy np. jeden z portali przyniósł informację o nowej wersji aplikacji Pola, dzięki której można sprawdzić po kodzie kreskowym, czy dostępny w sklepie produkt jest produkcji polskiej, celebryci lewicowo-liberalnej opozycji natychmiast zaczęli go wykpiwać, i to niemal jednobrzmiąco, szydząc z testowania polskości kawy (Radosław Sikorski) czy bananów (Bartłomiej Sienkiewicz). Widać z tych szyderstw, że nie chciało im się nawet przeczytać wyśmiewanej informacji – aplikacja działa bowiem nie zero-jedynkowo, ale „wycenia", na ile dany produkt związany jest z Polską, w procentach.

Nie ma przecież nic absurdalnego w sprawdzaniu, czy importer kawy (palarnie kawy zresztą niekoniecznie mieszczą się w kraju plantacji, ziarno można przewozić) albo bananów to firma polska, tu płacąca podatki i tu zatrudniająca pracowników – bo to właśnie „sprawdza" aplikacja. Obu byłych ministrów i wielu pomniejszych hejterów lewicowo-liberalnego salonu poderwała do żywiołowego sprzeciwu sama myśl, że można namawiać Polaków, by preferowali polskie produkty zamiast obcych.

To ciekawe o tyle, że rząd PO-PSL, w którym obaj uczestniczyli, przy różnych okazjach składał na użytek wyborców deklaracje „patriotyzmu gospodarczego". Wygląda jednak na to, że prawdziwe poglądy stojących za tym rządem środowisk lepiej wyraził Bronisław Komorowski, któremu w czasie kampanii wyborczej „wyrwało się", że lepiej kupować helikoptery dla armii we Francji, niż zamówić je w Świdniku, bo muszą być dobre. A dlaczego te wyprodukowane w Polsce byłyby niedobre (mimo że mówimy o produkcji w amerykańskiej technologii)? Po prostu – wszystko, co polskie, jest gorsze.

WOJEWÓDZTWO UE

Dlatego drogą do ucywilizowania Polski jest poddanie jej protektoratowi krajów „cywilizowanych". I tak właśnie rozumiana jest przez pookrągłostołowe „elity" Unia Europejska. Wprawdzie przez wiele lat, dla celów taktycznych, zapewniały one Polaków, że Unia jest organizacją niepodległych państw, w której nasze kulturowa odmienność i interesy będą zawsze szanowane – ale była to tylko „mądrość etapu". „Oświeceni" liderzy mogli sobie pozwolić na podobne zapewnienia, bo najgłębsze przekonanie mówiło im, że interesem Polski jest to, co dobre dla naszych zachodnich opiekunów, a „kulturowa odmienność" Polski to po prostu zacofanie, które z czasem zniknie, i nikt się nie będzie o nic upominał.

Jak naprawdę widzi liberalna lewica polskie miejsce w Unii, pokazują nie publiczne deklaracje, ale to, co wyrywa się „na gorąco" w mediach społecznościowych. Przypomnijmy choćby głośny swego czasu tweet Tomasza Lisa, w którym redaktor naczelny „Newsweeka" i współtwórca linii programowej całego koncernu RASP wyraził oburzenie na niepodporządkowywanie się przez Polskę zarządzeniom TSUE porównaniem, że to tak, jakby jedno z polskich województw odmawiało uznania Konstytucji RP.

Wizja Polski jako „województwa w UE" daje się zauważyć w każdej praktycznie wypowiedzi polityków i celebrytów lewicowo-liberalnej opozycji. Jednym z najnowszych przykładów jest wmawianie sobie i swojej „bańce", wbrew najoczywistszym faktom, że „kryzys na granicy ukazał katastrofę państwa PiS. Rząd Morawieckiego okazał się niezdolny do zażegnania kryzysu, a polskie problemy rozwiązywali kanclerz Niemiec, prezydent Francji i przewodnicząca KE". Ta narracja, powtarzana wielokrotnie i przez wielu (ten akurat cytat pochodzi ze wstępniaka Pawła Wrońskiego w „Gazecie Wyborczej"), ma już znamiona wypierania

eprasa.pl b04ffff7fd

rzeczywistości. Po pierwsze, problem nie został rozwiązany. Po drugie, tym, co zmusiło Łukaszenkę do złagodzenia agresji, była użyta wreszcie przez rząd groźba zablokowania przejścia granicznego, co byłoby dla reżimu bardzo bolesne. Po trzecie, telefon kończącej swe rządy kanclerz Niemiec do Władimira Putina (nawiasem mówiąc, nieskonsultowany z żadnymi unijnymi organami, co samo w sobie jest dowodem, że UE nie istnieje jako podmiot polityki międzynarodowej) oraz przyznanie Łukaszence kilkuset tysięcy euro teoretycznie „humanitarnej" pomocy, w istocie do dowolnego wykorzystania, miały skutek dokładnie odwrotny do przypisywanego przez opozycję, rozzuchwalając agresora.

Cóż, kto nienawidzi Żydów, będzie uparcie wierzył w cztery tysiące „ostrzeżonych", którzy nie przyszli do pracy w WTC, kto nienawidzi Trumpa, w „Russian Collusion", a kto o. Rydzyka – w maybacha. „Fakty mówią co innego? Tym gorzej dla faktów!". Nie jest żadnym odkryciem, że jedyną konstytutywną cechą lewicowo-liberalnej elity, na której zbudowane są wszelkie jej pomysły, tożsamość i poczucie wyższości, jest nienawiść do PiS. Jest to zresztą głoszone zupełnie otwarcie, zerknijmy choćby w wywiad Donalda Tuska udzielony Wirtualnej Polsce rankiem tego samego dnia, gdy został zatrzymany przez drogówkę. To drugie zdarzenie całkowicie przykryło w mediach pierwsze, a, mówiąc szczerze, jako lidera opozycji bardziej kompromituje Tuska właśnie wspomniany wywiad niż jazda z nadmierną prędkością – bo zupełnie otwarcie mówi w nim, że jedynym celem, programem, wizją i ideą, dla której działa, jest „odsunąć PiS od władzy", i niczego więcej niż odsunięcia go Polska nie potrzebuje.

Logicznie – ale w „elitach" euklidesowa logika nie obowiązuje – wynikałoby z tego, że w rządzeniu Polską nie ma żadnych zasadniczych błędów, działania rządu są dobre i nie mamy jako kraj innego problemu niż personalny. Coś w tym w istocie jest: luminarze opozycji nawet nie próbują ukryć przekonania, że władza im się po prostu należy jako tym lepszym. I sam fakt, że od sześciu lat nie oni ją sprawują, nie oni pouczają, wyznaczają i nakazują, tylko jacyś PiS-owcy, stanowi oburzające naruszenie porządku świata.

Gdy jednak dopytywać się mocniej, dlaczego konkretnie PiS trzeba odsunąć, pada w zasadzie jedna odpowiedź: „Wyprowadzają nas z Europy". Czyli, mówiąc inaczej: nie chcą słuchać płynących stamtąd poleceń. A ich słuchanie jest rzeczą zasadniczą, najważniejszą, podstawową: tak przed laty zaplanowano „historyczną transformację", żeby wprowadzić Polskę do wspólnoty realizującej „uniwersalne idee człowieczeństwa i jego praw" – a PiS swym nieposłuszeństwem wobec KE, PE i TSUE, swym upieraniem się przy wyższości prawa krajowego nad unijnym (gdy upierają się przy tym narody „cywilizowane", to inna sprawa, im wolno) szkodzi naszemu „byciu w Europie".

Dla „oświeconych" Polska przestała być wartością, jest obiektem niechęci, przeszkodą w realizacji marzeń o byciu „prawdziwymi Europejczykami"

Ukuto na to propagandowe określenie, które jest kolejną krzyczącą bzdurą w opozycyjnym dyskursie: „Wrócić do głównego nurtu polityki europejskiej". Jeśli „bycie w głównym nurcie" przyjąć za wartość, to przez pół wieku przed Okrągłym Stołem Polska była u szczytu swej historycznej potęgi, „przemawiając jednym głosem" z mocarstwem, które rządziło połową świata.

Ale, jako się rzekło, dyskurs salonów odrzuca logikę – oparty jest na emocjach, a konkretnie na jednej emocji, tej, którą Roger Scruton nazwał kiedyś „oikofobią", i która płynie z kompleksu pochodzenia, z poczucia niższości wszystkiego, co swojskie, rodzime, miejscowe. Nie do końca jest tak, jak czasem się wydaje, że opozycja aż tak nienawidzi PiS, iż z tej nienawiści posuwa się do działań szkodliwych dla Polski, niejako składając ja na ołtarzu bieżącej politycznej walki. Wiele wypowiedzi każe upatrywać w jej działaniach odwrotnego porządku: nienawiść do PiS jest w dużym stopniu skutkiem tego, że opowiada się on (przynajmniej werbalnie) za kultywowaniem polskiej suwerenności i odmienności, że symbolizuje w oczach „oświeconych" wszystko to, czym te gardzą, czego się wstydzą i co uważają za ciężar trzymający nas w zacofaniu i gorszości.

Przynajmniej na to wskazywałoby przybierające skrajne formy wymówienie lojalności wobec państwa polskiego. Aby sięgnąć po przykład z samej góry: oto marszałek Senatu, jedyny wysokiej rangi urzędnik państwowy, jakiego ma dziś w swych szeregach opozycja, według konstytucji trzecia osoba w państwie, co sam z właściwą sobie bufonadą podkreśla na każdym kroku, podczas wizyty w Danii udziela miejscowym mediom wywiadu w takim duchu, jakby był w Polsce ukrywającym się przed policją szefem partyzantki. „Mamy autorytarny rząd" – oznajmia Duńczykom, „walczymy z autorytarnym reżimem… wybory prezydenckie nie były równe i uczciwe, wiele głosów zniknęło bez śladu, więc nie znamy prawdziwych wyników. To się może powtórzyć" (przypomina się tu wygłoszony przed tymi wyborami apel mecenasa Giertycha, by od razu zaskarżyć je jako sfałszowane – chyba że oczywiście wygra Trzaskowski).

Trudno sobie wyobrazić, by podobne brednie wygadywać mógł zajmujący porównywalnie wysoki urząd polityk innego kraju. Ale przecież słowa Grodzkiego doskonale pasują do delegitymizującej i wręcz delegalizującej państwo polskie retoryki „oświeconych" mediów: „Trybunał magister Przyłębskiej", „państwo PiS" etc. Bardzo zabawne jest dziś przypomnieć sobie, jaką histerią zareagowały za swych rządów PO i całe jej zaplecze na słowa Jarosława Kaczyńskiego o „kondominium", zanosząc się oburzeniem na „rokosz" i „odmawianie legitymizacji państwu". Ale wtedy delegitymizowane było państwo, które służyć miało bezbolesnemu wprowadzeniu Polaków do Europy i rozpuszczeniu w niej – a nie kultywowaniu – znienawidzonej polskiej osobności.

CZY W OGÓLE POLSKA?

Nieżyjący już premier Olszewski dramatycznie definiował kiedyś istotę sporu politycznego III RP pytaniem: „Czyja Polska?". Wydaje się jednak, że dziś toczy się on raczej o to, czy w ogóle Polska. Dla „oświeconych" przestała ona być wartością, jest obiektem niechęci, przeszkodą w realizacji marzeń o byciu „prawdziwymi Europejczykami". Oni po prostu nie chcą być Polakami. Kim w takim razie chcą być – bo przecież żadnego „narodu europejskiego" nie ma? Nie potrafią odpowiedzieć na tak zadane pytanie. Po prostu: nie-Polakami, kim innym.

Ćwiczyliśmy to już w naszej historii niejeden raz. „Nasz naród jak lawa – z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa, lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi. Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi" – pisał Mickiewicz 200 lat temu. Właśnie obserwujemy to samo co on: odrywanie się elity i jej zastygania w nikomu niepotrzebną „skorupę".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

Nawet dziecko wie...

#DobryKierowca nigdy nie jeździ po alkoholu

Miko Marczyk
kierowca rajdowy

Miko Marczyk

Dowiedz się więcej na www.orlen.pl

eprasa.pl b04fffff7ld

Imperium i barbarzyńcy

FOT. ADOBE STOCK

Jan Fiedorczuk

Tak zwana obrona praworządności, ekologiczna krucjata czy rewolucja LGBT – to wszystko są jedynie narzędzia wykorzystywane przez unijne elity do budowy nowoczesnego imperium i cywilizowania „barbarzyńskich" narodów Europy

Gdyby któreś z naszych województw zadeklarowało, że polskie prawo w nim nie obowiązuje, to państwo polskie musiałoby zareagować stanowczo. Podobnie z UE. Musi ostro zareagować, nie na złość, ale dla ocalenia całej instytucji i projektu" – tymi słowami Tomasz Lis skomentował konflikt na linii Bruksela – Warszawa.

Gdy kilka miesięcy temu w „Do Rzeczy" pisałem o „Unijczykach polskiego pochodzenia", miałem na myśli dokładnie tę postawę, którą powyżej w skondensowanej formie zaprezentował naczelny „Newsweeka". Unia Europejska zostaje uznana za podstawowy punkt odniesienia i główny obiekt lojalności, podczas gdy Polska staje się tym, co Niemcy określają mianem „Heimatu" – lokalnej „małej ojczyzny". Gdy dochodzi do konfliktu między Unią a Polską, to dla „unijczyków" wybór jest oczywisty.

W ich wizji Europa ma przemienić się w zunifikowany organizm polityczny, a państwa narodowe zostać zdegradowane do roli unijnych województw. Podobne idee towarzyszyły procesowi europejskiej integracji od samego jej początku, jednak do tej pory nie spotykały się ze szczególnym entuzjazmem samych Europejczyków. Kazus „konstytucji europejskiej", która została odrzucona w referendum przez Francuzów i Holendrów, jest tutaj wymowny. „Unijczycy" zrozumieli, że jeżeli Unia ma się zmienić w ujednolicony organizm, to trzeba obejść demokrację oraz dokonać przewrotu bez udziału obywateli Europy, którzy najwyraźniej nie dorośli do wizji brukselskiej arystokracji.

UCYWILIZOWAĆ „BARBARZYŃCÓW"

Profesor Andrew Tettenborn w artykule zamieszczonym na portalu Wszystko Co Najważniejsze wskazywał niedawno, że urzędnicy brukselscy „zachowują się jak legiony rzymskie, które otrzymywały w Rzymie rozkaz podporządkowania kolejnych prowincji". To porównanie jest wyjątkowo trafne, gdyż „unijczycy" dążą do proklamowania nie tyle federacji, ile właśnie nowoczesnego imperium. Różnica między tymi formami jest subtelna, acz znacząca. Idea imperium była wielokrotnie analizowana przez filozofów i politologów, którzy wskazują na jej diametralną odmienność względem nowożytnego, scentralizowanego państwa narodowego. Na przykład państwo federalne to po prostu obszerny organizm polityczny złożony z części obdarzonych sporą autonomią. Model imperialny jest tymczasem oparty na ideologii, która nadaje mu sens istnienia. Ta forma polityczna różni się od po prostu „dużego państwa" dwoma podstawowymi aspektami: po pierwsze nie ma stałych granic, a po drugie posiada uniwersalistyczne aspiracje, przez co jest anarodowa – przekracza podziały historyczne i kulturowe, wchłaniając kolejne społeczności. Mówiąc wprost, model imperialny jest owładnięty ideologią i potrzebą nieustannej ekspansji w celu cywilizowania barbarzyńców znajdujących się poza jego umownymi „limes".

Nie ma potrzeby odwoływać się tu do konserwatystów, gdy możemy sięgnąć do samych zwolenników nowoczesnego imperializmu. Przykładem jest choćby gwiazda zachodnich demoliberalnych salonów Yuvala Noaha Harariego, który w swoich pracach nie kryje fascynacji tą formą polityczną. Izraelski historyk (określany przez Onet „ostatnim autorytetem na Ziemi") wskazuje, że imperia cechują się „zmiennymi granicami i potencjalnie nienasyconym apetytem", co z kolei nadaje takim tworom „wiodącą rolę w historii". Harari to obecnie obok Klausa Schwaba najbardziej rozpoznawalny ideolog świata przyszłości, ale oczywiście nie jest jedynym roztaczającym podobne wizje. De facto w ten sam sposób piszą słynni neomarksiści – Antonio Negri i Michael Hardt – w głośnej pracy „Imperium", wskazując, że „podstawową cechą imperium jest brak limesu: jego władza nie zna granic". W podobnym tonie nauczają również słynni teoretycy globalizacji – Ulrich Beck i Edgar Grande – roztaczający wizję

eprasa.pl b04ffff7fd

postnowoczesnej „Europy kosmopolitycznej", w której państwa narodowe zostaną „zniesione".

To właśnie imperializm tłumaczy ideologiczne zafiksowanie „unijczyków", którzy z pozycji moralnej wyższości patrzą na konserwatywnych „barbarzyńców", widząc w nich jedynie materiał do ucywilizowania. Jednak aby nieść kaganek oświaty, Europa potrzebuje wielkich koncepcji – i tutaj przechodzimy do problemów Polski.

Pierwszym filarem powstającego imperium jest rewolucja kulturowa, w której najważniejszą rolę odgrywa obecnie tematyka LGBT. Same mniejszości seksualne są instrumentalnie wykorzystywane do budowy jednolitego obszaru prawnego w Europie. Doskonałym zobrazowaniem tego są kwestia tzw. stref wolnych od LGBT i finansowy szantaż wobec polskich samorządów, które przyjęły słynną deklarację w obronie rodziny. Unijni dygnitarze, na czele z wiceszefową KE Věrą Jourovą, zapewniali, że nie przekażą żadnych środków gminom dyskryminującym środowiska LBGT. Jeszcze dobitniej wybrzmiały słowa samej von der Leyen, która podczas zeszłorocznego orędzia o stanie UE wprost atakowała Polskę, przekonując, że „strefy wolne od LGBT to strefy wolne od ludzkości" i że nie ma dla nich miejsca w Europie. To wtedy też zapowiedziała ujednolicenie unijnego prawodawstwa, aby „dzieci par jednopłciowych" były uznawane na terenie całej UE. To logiczne – Europa ma znieść wszelkie podziały i różnice. „United in diversity", motto Unii, jest jednym z największych kłamstw naszych czasów – autentyczna różnorodność to największy wróg postępowych imperialistów. Samo LGBT ma stanowić taran do zglajchszaltowania całej Europy, dlatego kwestia przyszłego prawodawstwa (paradoksalnie na nieszczęście dla samych mniejszości) przestaje być sprawą wyłącznie legislacji, stając się probierzem suwerenności państw, które do tej pory nie uległy tęczowemu szantażowi.

Samo LGBT to oczywiście jedynie pewien sztandar wojny kulturowej, ale można tutaj też wymienić równie często podnoszoną kwestię aborcji. – To oburzające, jak pański rząd odmawia kobietom prawa samostanowienia wobec własnego ciała. To już nie jest katolickie średniowiecze, gdzie nakładano pasy cnoty – mówił niemiecki europoseł Martin Schirdewan podczas przesłuchania premiera Morawieckiego (gdyż ciężko to wydarzenie nazwać debatą). Ten arogancko-obcesowy ton wypowiedzi był charakterystyczny dla większości europosłów sztorcujących polski rząd. Elity europejskiego projektu potrzebują „zacofanych" elementów, gdyż tylko dzięki nim mogą potwierdzić swoją własną wyższość. Doskonałą egzemplifikacją tej zależności było niedawne wystąpienie Adama Bodnara podczas odebrania nagrody DIALOG-Preis przyznawanej przez Federalny Związek Towarzystw Niemiecko-Polskich. Były RPO (nawiązując do prozy de Saint-Exupéry'ego) porównał wówczas Polskę do zwierzęcia, które Niemcy udomowili i za które winni wziąć odpowiedzialność. Pan nie istnieje bez niewolnika, a człowiek cywilizowany bez barbarzyńcy. Cywilizowana arystokracja potrzebuje barbarzyńskich peryferii, aby prowadzić swoją dziejową misję.

Kolejnym filarem brukselskiego imperializmu stała się ekologiczna krucjata. W narracji eurokratów globalne ocieplenie urasta do miana głównego zagrożenia planety. Tak jak w przypadku LGBT wewnętrzne uwarunkowania poszczególnych państw muszą zostać przezwyciężone, a narodom trzeba narzucić odgórne rozwiązanie o niemal eschatologicznym wymiarze. Bo tak właśnie jest prezentowana walka ze zmianami klimatu. Fakt, że Zielony Ład może okazać się morderczy dla gospodarek państw członkowskich (szczególnie tych zależnych od węgla), nie ma znaczenia. Liczy się krucjata. Dlatego też Frans Timmermans z moralnych wyżyn rozlicza już nie tylko „barbarzyńskie" peryferia Europy, lecz także Chiny czy USA.

OMINĄĆ DEMOKRACJĘ

Unijne elity odrobiły lekcję z nieudanej próby wprowadzenia konstytucji dla Europy z 2005 r. Jeżeli UE ma się przeistoczyć w paneuropejskie imperium, to nie może swego losu składać w ręce nieprzewidywalnych mas wyborców. Imperium musi być ustanowione dla dobra Europejczyków wbrew ich woli. Z demokracji dobrze się poucza peryferie, jednak trudniej samemu zaakceptować jej werdykt. Współczesnych „barbarzyńców" należy wyłapać i ucywilizować. Dlatego też w zeszłym roku zdecydowano się wykorzystać moment politycznego przesilenia związany z koronakryzysem i – przy okazji zaciągnięcia wspólnego długu – narzucić państwom członkowskim tzw. mechanizm warunkowości. Tak zwana praworządność to kolejny filar „nowej, wspaniałej Europy". Wszak cała procedura, określana szumnie „momentem hamiltonowskim UE", została przeprowadzona bez choćby jednego referendum. To punkt zwrotny, który służy zbudowaniu Europy jako jednolitego prawnie obszaru, a takie kwestie jak LGBT czy aborcja mają posłużyć do dalszej unifikacji systemów prawnych, a tym samym osłabienia suwerenności państw członkowskich. Z tymże jakiekolwiek ustępstwa w tym wymiarze będą prowadzić do kolejnych i kolejnych żądań – po kapitulacji w sprawie aborcji i „homomałżeństw" Bruksela po prostu zażąda jednolitego podejścia do homoadopcji albo eutanazji. Ten proces będzie trwał, aż „praworządność" nie zapanuje w całej Europie.

Wizja Unii jako jednolitego prawnie i politycznie organizmu dominuje dzisiaj w Parlamencie Europejskim, czego przykład widzieliśmy podczas głośnej debaty na temat Polski. Wówczas deputowani nie tylko atakowali premiera Morawieckiego, lecz także, co ciekawsze, otwarcie krytykowali Ursulę von der Leyen za zbyt spolegliwy stosunek względem Polski. – To, co robi polski rząd, jest atakiem na samo istnienie Unii Europejskiej [...]. Gdy państwo członkowskie w sposób tak oczywisty kwestionuje traktaty, Komisja musi działać zdecydowanie – pouczała (!) szefową Komisji Europejskiej niemiecka europoseł Ska Keller. Nie była zresztą jedyna. Nie powinno zatem dziwić, że w połowie października Parlament Europejski postanowił pozwać Komisję Europejską za opieszałość w stosowaniu mechanizmu warunkowości. To prawdziwie bezprecedensowe wydarzenie, aczkolwiek na swój sposób logiczne. Wszak wiceszefowa KE Věra Jourová stwierdziła, że „Unia zacznie się rozpadać, jeśli nie zakwestionuje orzeczenia polskiego TK".

Oczywiście „barbarzyńcami" nie są jedynie Polacy czy Węgrzy broniący swojej suwerenności. Byli nimi również Irlandczycy, gdy nie chcieli zgodzić się na ratyfikację traktatu lizbońskiego (więc referendum musiało zostać powtórzone), albo Włosi, gdy demokratycznie zdecydowali się powierzyć kraj Silvio Berlusconiemu. „Barbarzyńcami" byli Brytyjczycy, gdy zdecydowali się w końcu wystąpić z UE, ale mogą nimi zostać również Francuzi, jeżeli już za kilka miesięcy wybiorą prawicowego, eurosceptycznego prezydenta. Dla „unijczyków", zwolenników brukselskiego imperializmu, sama demokracja zdaje się być wykwitem barbarzyństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

Z Maciejem Wąsikiem, wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji
rozmawia Maciej Pieczyński

Wygraliśmy bitwę z Mińskiem

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Odetnijcie się od Frasyniuka, odetnijcie się od słów Lisa. [...] Wówczas uwierzymy, że stoicie za polskim mundurem" – apelował pan do posłów KO i Lewicy podczas sejmowej debaty. Dlaczego opozycja nie chce się odciąć od ataków na polski mundur?

MACIEJ WĄSIK: Dlatego, że w dużej mierze podziela poglądy Frasyniuka, który polskich żołnierzy, strzegących naszej granicy, nazwał „śmieciami". Oczywiście wyrażanie takich „opinii" jest politycznie co najmniej ryzykowne. Dlatego partie opozycyjne, zamiast otwarcie zaatakować pod własnym szyldem, do plucia na polski mundur używają zaprawionych w boju pojedynczych harcowników. Niestety, ale Koalicja Obywatelska i Lewica wychodzą z założenia, że im gorzej dla Polski, tym lepiej dla nich. Uparcie wierzą, że w takiej sytuacji mają większą szansę na polityczny łup. Cieszą się z niepowodzeń własnego kraju. To jakiś rodzaj wynaturzonej do granic możliwości kalkulacji politycznej.

Mam bowiem nieodparte wrażenie, że działacze tych ugrupowań są wręcz niezadowoleni z tego, że nasze służby tak świetnie radzą sobie z ochroną polskiej granicy, nawet w bardzo ekstremalnych sytuacjach. W ubiegłym tygodniu doszło przecież do szturmu nielegalnych migrantów na przejście graniczne. Byliśmy m.in. zmuszeni sięgnąć po takie środki jak armatki wodne. Tylko dzięki pełnemu profesjonalizmowi funkcjonariuszy i żołnierzy udało się opanować sytuację. Ale dla opozycji to pewnie źle, bo nie ma paliwa na kolejne nienawistne konferencje.

Różnica tkwi już w definicji problemu. Według rządu i – szerzej – prawicy mamy do czynienia z kryzysem granicznym i wojną hybrydową. Lewicowo-liberalna część opozycji przekonuje natomiast, że problemem jest kryzys humanitarny.

Według mnie tak naprawdę najważniejsza oś politycznego konfliktu przebiega jeszcze gdzie indziej. Mianowicie: trwa spór o to, czy przyjmować migrantów ekonomicznych czy też nie. Wszystkie inne kwestie, związane z obecnym kryzysem, wynikają właśnie

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. ZOFIA BICHNIEWICZ/PAP

z tego sporu. Politycy lewego skrzydła opozycji próbują de facto wymusić na rządzie decyzję o przyjęciu wszystkich, którzy „pukają" do polskich granic. Nie pytają, skąd są ci ludzie, jaką mają przeszłość, jakie zamiary… A to wszystko jest niezmiernie ważne z punktu widzenia bezpieczeństwa nas wszystkich.

Jestem zwolennikiem przyjmowania uchodźców – osób, które rzeczywiście uciekają przed wojną lub prześladowaniami i potrzebują naszej pomocy. I państwo polskie takich ludzi przyjmuje. Są to Ukraińcy z Donbasu czy białoruscy opozycjoniści, a ostatnio – Afgańczycy, którzy współpracowali z Polskim Kontyngentem Wojskowym i po przejęciu władzy przez talibów byli zmuszeni uciekać ze swojego kraju. Do tego zobowiązuje nas konwencja genewska i my te zobowiązania realizujemy. Natomiast jestem przeciwnikiem nielegalnej migracji socjalnej. Oczywiście w niektórych krajach siła nabywcza średniej pensji jest mniejsza niż siła nabywcza zasiłków w Niemczech. Ale to nie usprawiedliwia siłowego wdzierania się na terytorium innego państwa. Polska nie da się w ten sposób szantażować. Bo jak inaczej niż szantażem i próbą wymuszenia określonego działania nazwać sytuację, w której państwo polskie ma ultimatum: albo nas wpuścicie, albo wejdziemy siłą?

Może młodzi posłowie Platformy, tacy jak Franek Sterczewski czy Klaudia Jachira, naprawdę wierzą, że trzeba tym ludziom pomóc?

Nie przeczę, że wielu polityków opozycji po prostu naiwnie wierzy, że swoimi działaniami komuś pomagają. Tacy ludzie stają się mimowolnymi narzędziami w rękach służb Łukaszenki. Przede wszystkim jednak opozycją kierują cynizm i polityczna kalkulacja. Przecież wszyscy mamy świadomość, że w każdym kraju uchodźcy czy też migranci ekonomiczni głosują nie na partie chadeckie czy narodowe, ale właśnie na lewicę. Dlatego ich przyjęcie jest w dobrze pojętym interesie politycznym lewicowo-liberalnej części naszej opozycji.

Niestety, cieszy się ona sporym poparciem części mediów, które promują pewien rodzaj histerii. Dobry przykład to niedawno wyemitowany na antenie telewizji TVN24 program „Czarno na białym". Jedna z bohaterek reportażu opowiada historię migranta, który podobno przez sześć dni płynął rzeką, nic nie jadł i nie pił, w nocy wypływał na brzeg, by zdrzemnąć się na godzinę, a potem płynął dalej. Przecież to jest oczywista bajka. A jednak rzekomo poważna telewizja tę bzdurę promuje. Mnóstwo jest w przestrzeni medialnej tego typu niestworzonych opowieści, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Powstają one w czyjejś bujnej wyobraźni i dla każdego rozsądnego człowieka brzmią nieprawdopodobnie, a jednak trafiają do odbiorców.

Chcę bardzo mocno podkreślić: wszystkim osobom, które nielegalnie przekraczają granicę, ale potrzebują pomocy, taka pomoc jest udzielana. Dostają suche ubrania, gorące napoje, w razie potrzeby również opiekę medyczną. Jeśli ktoś chce złożyć wniosek o objęcie ochroną międzynarodową, to takie wnioski są również przyjmowane. Jeśli nie – to zgodnie z polskim prawem otrzymuje postanowienie o opuszczeniu terytorium RP z zakazem wjazdu do strefy Schengen na okres trzech lat.

Sierpniowe rozporządzenie MSWiA pozwoliło na natychmiastowe odsyłanie migrantów za granicę. Wrześniowa nowelizacja ustawy o cudzoziemcach umożliwiła wydawanie zakazów wjazdu i karanie za niszczenie infrastruktury granicznej. Według opozycji te akty prawne legalizują push-backi i łamią konwencję genewską…

Konwencja genewska dotyczy uchodźców, a nie migrantów, którzy wykupili wizy turystyczne i przyjechali legalnie na Białoruś. Teraz ci ludzie łamią prawo i zagrażają naszemu bezpieczeństwu, przedzierając się siłowo przez naszą granicę, atakując naszych funkcjonariuszy i niszcząc instalację graniczną. Powtarzam – to nie są uchodźcy. O ile się orientuję, Irak, będący ojczyzną większości z nich, nie prowadzi aktualnie wojny z Białorusią… Nawet gdyby ci ludzie uciekali przed wojną, to w momencie, gdy dzięki wizom turystycznym znaleźli się już na terytorium Białorusi, gdzie żaden konflikt, wymierzony w ich kraj, się nie toczy, ich życiu przestaje zagrażać niebezpieczeństwo.

Podczas gdy młodzi platformersi twardo stanęli ramię w ramię z Lewicą przeciwko polskim służbom, Donald Tusk kluczył. Raz był za uszczelnieniem granic, raz nie do końca. W pewnym momencie mówił nawet z panem jednym głosem – obaj, niezależnie od siebie, proponowaliście wdrożenie art. 4 NATO.

Celem Tuska nie jest rozwiązanie kryzysu migracyjnego, tylko wyciągnięcie z tej sytuacji możliwie największych korzyści politycznych. W przeciwnym wypadku zdecydowanie poparłby obronę polskiej granicy. Proszę zwrócić uwagę na uderzający fakt – niezależnie od poglądów prawie wszyscy przywódcy partii, również tych opozycyjnych, wyrazili przynajmniej w sposób deklaratywny poparcie dla naszych służb mundurowych. Tymczasem z ust Tuska nie usłyszałem ani jednego słowa takiego poparcia.

A co z samym artykułem 4?

Musimy działać adekwatnie do rozwoju sytuacji. Po tym, jak służbom reżimu Łukaszenki nie udało się przepchnąć do Polski większych, zorganizowanych grup

eprasa.pl b04ffff7fd

nielegalnych migrantów, widać symptomy deeskalacji. Zwijane są obozy przy granicy, część Irakijczyków wróciła do kraju. W tej sytuacji wdrażanie nowych środków mogłoby tylko zaognić sytuację i dać Łukaszence pretekst do „odpowiedzi". Powiem krótko: działamy racjonalnie, odpowiednio do aktualnej sytuacji.

Według opozycji i sprzyjających jej publicystów ta deeskalacja to zasługa Angeli Merkel, która zadzwoniła do białoruskiego dyktatora.

Inicjatywę pani Merkel uważam za błąd. Oczywiście umiędzynarodowienie naszej sprawy jest bardzo istotne. Nie chodzi jednak o to, by rozmawiać z dyktatorem, ale o to, by zabiegać o wspólny front przeciwko niemu. I to się udaje. Premier Morawiecki rozmawia z naszymi sojusznikami w UE i NATO, a my na poziomie ministerstwa otrzymaliśmy mnóstwo głosów wsparcia ze strony przedstawicieli resortów spraw wewnętrznych z innych krajów UE, a także z Ukrainy. Słyszymy od naszych odpowiedników – ministrów i wiceministrów – że są oni pod wrażeniem postawy naszych służb. To wsparcie dyplomatyczne, które mamy, jest ważne. Jednak trzeba jasno powiedzieć, że główną przyczyną deeskalacji napięcia nie były żadne zabiegi dyplomatyczne, tylko twarda postawa Policji, Straży Granicznej i Wojska Polskiego w obronie granicy.

Mówi pan o deeskalacji. Ale to, że udało się odeprzeć zmasowany szturm, nie oznacza, że kryzys się zakończył. Codziennie słyszymy o kolejnych próbach siłowego przekroczenia granicy.

Łukaszenka będzie tak silny, jak bardzo my będziemy słabi. I na odwrót. Musimy stawiać tamę zakusom białoruskiego dyktatora. Również w sensie dosłownym. Tylko budowa solidnej zapory na granicy ostatecznie zakończy ten kryzys. Dlatego trzeba ją jak najszybciej zbudować. Jak zapewnia minister Mariusz Kamiński, zapora powinna być ukończona w pierwszej połowie 2022 r. Oczywiście nie możemy wykluczyć, że po uszczelnieniu granicy z Białorusią atak hybrydowy przeniesie się na inny odcinek. Analizujemy różne scenariusze. Jestem pewien, że w tym wyścigu zawsze będziemy szybsi od Łukaszenki.

Na razie jedyną poważną bronią hybrydową Łukaszenki przeciwko Polsce jest nielegalna migracja. Zapora powinna zatem ją zatrzymać. Tylko czy nie trzeba będzie jej wydłużyć o granicę z Ukrainą?

Najpierw nielegalni migranci musieliby dostać się na Ukrainę. A to nie będzie łatwe. Granica białorusko-ukraińska jest zresztą o wiele trudniejsza do pokonania niż granica polsko-białoruska. Migranci muszą sforsować naturalne przeszkody w postaci bagien i rozlewiska Prypeci. Jednak nawet jeśli jakimś cudem uda im się przedrzeć na Ukrainę, to będą musieli jeszcze przekroczyć granicę z Polską. Służby ukraińskie są po naszej stronie, bo Kijów dąży do integracji z Zachodem. Zatrzymanie nielegalnej migracji jest w ich interesie. Na razie radzą sobie doskonale.

Wciąż jeszcze nawet granica z Białorusią nie jest w pełni szczelna. Według niektórych szacunków w ostatnim czasie na teren Niemiec przedostało się 10 tys. migrantów. Ilu z nich mogło przejść przez teren Polski? Ilu nielegalnych migrantów może jeszcze na naszym terenie przebywać?

Jestem przekonany o tym, że na terenie Polski przebywają nieliczne jednostki. Pojedynczym osobom udaje się przedostać do Niemiec, ale z każdym dniem jest to coraz trudniejsze. Przypomnę, że na granicy już teraz działa tymczasowa zapora, która znacząco utrudnia przepływ migrantów. Niemniej, jeśli rzeczywiście do Niemiec dotarło w ostatnim czasie 10 tys. migrantów, to przybyli oni z różnych kierunków: oprócz Polski, przez Litwę, Słowację, Czechy, Bałkany… Na samych Węgrzech rocznie notuje się ok. 70 tys. prób przekroczenia tamtejszej zapory na granicy z Serbią.

Jednym z celów Łukaszenki było wywołanie małego konfliktu granicznego, w którym to Polska byłaby oskarżona o agresję. Jakim cudem funkcjonariuszom naszych służb udało się jak dotąd nie ulec licznym prowokacjom? Nie obawia się pan, że w końcu komuś z naszych puszczą nerwy i padnie strzał?

Polskie służby są bardzo dobrze wyszkolone. Świadomość poszczególnych funkcjonariuszy jest bardzo wysoka. Oni zdają sobie sprawę z tego, że ich rolą jest nie tylko ochrona granicy, lecz także nieuleganie prowokacjom. Wywiązują się z tych zadań na medal. Naprawdę jestem pod ogromnym wrażeniem pracy zarówno policjantów, jak i strażników granicznych czy żołnierzy. Myślę, że kluczem do sukcesu było wyjątkowo wysokie morale w polskich służbach. Dobrym przykładem jest policjant, który podczas starcia pod Kuźnicą dostał w twarz kamieniem rzuconym przez migranta. Pomimo ciężkich obrażeń sam domagał się jak najszybszego wyjścia ze szpitala. Po to, by móc jak najszybciej wrócić do służby, do swojego oddziału, i dalej bronić polskiej granicy. Nasi funkcjonariusze i żołnierze mają bardzo duże poczucie obowiązku, którym jest obrona swojej ojczyzny i obywateli, w tym rodziny i bliskich.

Przez parlament przechodzi właśnie nowelizacja ustawy o ochronie granicy. Przewiduje ona między innymi zakaz przebywania w strefie nadgranicznej. Czy to oznacza, że znaleźliście sposób na faktyczne przedłużenie stanu wyjątkowego bez łamania konstytucji?

Nowe przepisy nie zakładają tak daleko posuniętych obostrzeń, jak to ma miejsce w przypadku stanu wyjątkowego. Nie będzie zatem np. zakazu zgromadzeń publicznych. Będzie za to zakaz przebywania w strefie nadgranicznej osób, które na jej terenie nie mieszkają ani nie pracują, poza pewnymi wyjątkami. My jednak musimy zapewnić bezpieczeństwo budowniczym zapory oraz ostatecznie uszczelnić granicę. Nie da się tego zrobić bez zakazu przebywania na tym terenie osób nieupoważnionych.

W określonych przypadkach będzie za to możliwe przebywanie dziennikarzy na granicy.

Tak, ale dostęp mediów do strefy nadgranicznej nie będzie nieograniczony. Przewidujemy, że akredytacje będą otrzymywały duże redakcje. Prawa wstępu do strefy nadgranicznej nie dostaną dziennikarze, którzy wcześniej złamali przepisy o stanie wyjątkowym.

Nie żałuje pan, że wcześniej nie dopuściliście mediów do granicy? Nawet jeśli część z nich mogłaby rezonować przekaz Łukaszenki, pozostałe opisywałyby sytuację w miarę obiektywnie albo przychylnie dla was.

Cieszę się, że to pan pierwszy powiedział o dziennikarzach rezonujących propagandę Mińska. Niestety, część dziennikarzy relacjonowała wydarzenia w Usnarzu tak, jakby pracowali dla Łukaszenki. Bezrefleksyjnie powielali przekaz reżimu, negując informacje płynące ze sprawdzonych polskich źródeł. Spotkaliśmy się nawet z jasnymi stwierdzeniami typu: „Nie pozwalacie nam wjechać do strefy, to podamy informacje reżimu". Przecież to jest niepoważne. Uważam, że tę pierwszą bitwę w wojnie hybrydowej z Mińskiem wygraliśmy między innymi dlatego, że wprowadziliśmy stan wyjątkowy i nie wpuściliśmy na granicę osób postronnych. Polskie służby mogły w spokoju skupić się na swoim głównym zadaniu, czyli ochronie granicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

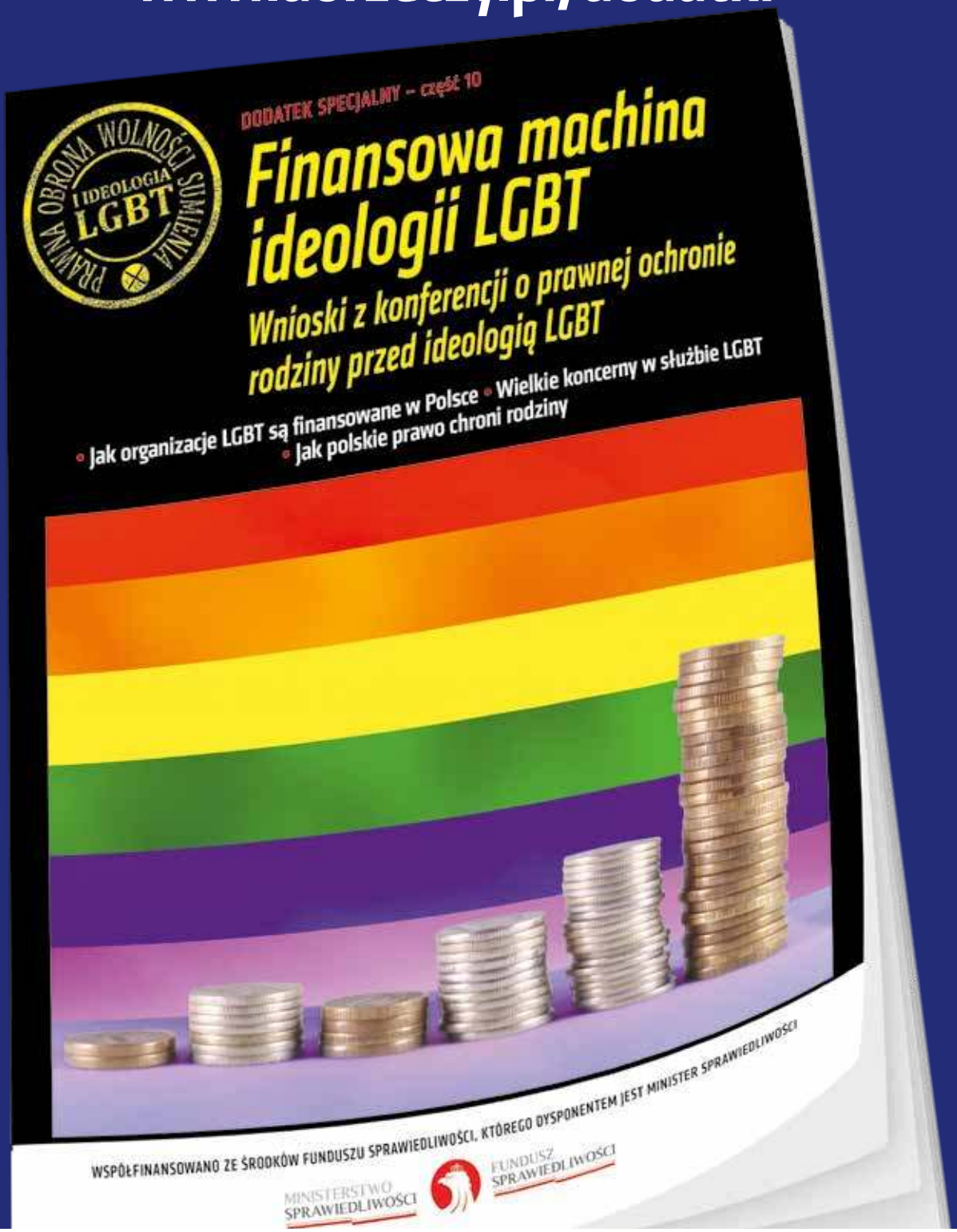

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl b04ffff7fd

Kres pięciu złudzeń

Piotr Semka

Już nie tylko zwolennicy PiS, lecz także nawet politycy opozycji i sympatyzujące z PO media nie wahają się mówić wprost o słabości Donalda Tuska. Jakie mity rozwiały się od czasu objęcia Platformy przez jej dawnego sternika?

FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

Z Donaldem Tuskiem jest jak z dużym okrętem, wyłaniającym się z mgły w wizjerze peryskopu. Ostateczne zarysy jego politycznego powrotu można dokładniej ocenić dopiero z czasem. Ostatni okres przyniósł kolejną serię wpadek kandydata do roli zbawcy opozycji. Ten proces wyostrzania się widoku politycznych słabości gdańskiego liberała przebiega powoli, ale trwale. Zarówno politycy opozycji, jak i nawet sprzyjające Platformie media nie wahają się mówić wprost o słabości lidera PO. Postarajmy się usystematyzować wnioski dotyczące szefa Platformy.

KRES NADZIEI NA POWAGĘ

Największą słabością Borysa Budki, poprzednika Tuska, był brak powagi. Wynikało to zarówno z ograniczeń intelektualnych śląskiego polityka, jego aparycji, jak i jego braku pomysłu na ciekawą i świeżą ofertę Platformy dla Polaków. Powrót Tuska miał to wszystko zmienić. Ambitny gdańszczanin miał mieć „parcie na bramkę", międzynarodowe obycie i być mistrzem PR. Nic z tego nie wyszło. Notowania Platformy stanęły w miejscu.

Zatrzymanie prawa jazdy pod zarzutem rażącego przekroczenia prędkości na terenie zabudowanym zadało wizerunkowi Tuska bardzo dotkliwy cios. Jeśli dodać do tego takie szczególiki jak to, że Tusk pędził służbowym samochodem, i to, że nie zdobył się nawet na przeprosiny po tym wstydliwym incydencie, to można mówić o porażce. I oczywiście fakt, że wielu kierowcom zdarzają się podobne wykroczenia, niewiele tutaj zmienia. Takie właśnie drobne wpadki polityków szkodzą im bardziej niż poważne afery.

Na Tusku mszczą się jednak też wybory z przeszłości. Bardzo wielu polityków PO zwróciło uwagę, że wcześniej decyzję o zawieszeniu wiceszefa partii Borysa Budki tłumaczył wizytą swojego zastępcy na urodzinach dziennikarza Roberta Mazurka. Tusk ogłosił, że Budka naraził partię na straty wizerunkowe. Logicznie myśląc, po swoim pirackim wyczynie w Wiśniewie koło Mławy Tusk powinien teraz wyciągnąć konsekwencje wobec siebie. Tak nie będzie, gdyż Tusk trzyma partię w garści wystarczająco mocno, by zablokować wszelką dyskusję na temat swojego występku. Problem jest jednak szerszy. W jego otoczeniu nie było nikogo, kto uświadomiłby mu, że trzeba przeprosić.

Jego najbliżsi współpracownicy ciągle nie rozumieją zmiany nastrojów społecznych. Bartłomiej Sienkiewicz, podobno jeden z najważniejszych doradców Tuska, nie widział niczego złego w wyszydzaniu aplikacji Pola do sprawdzania, czy dany towar jest produkcji polskiej. Tymczasem hasło patriotyzmu gospodarczego powinno być na zdrowy rozum bliskie Platformie jako partii przedstawiającej się w charakterze obrońcy polskiego biznesu.

Donald Tusk nie potrafił też wymyślić przekonującej reakcji na kryzys migracyjny na granicy. W kluczowych dniach najcięższych zajść na przejściu w Kuźnicy nie miał nic ciekawego do powiedzenia i unikał spotkań z dziennikarzami. Gdy wreszcie zdobył się na wywiad dla Wirtualnej Polski, zachowywał się jak rozkapryszona gwiazda i rugał prowadzącego program jak rozgniewany nauczyciel ucznia.

Jednocześnie nadal nie potrafi powstrzymać Radka Sikorskiego od agresywnego języka na Twitterze ani skłonić

eprasa.pl b04ffff7fd

Klaudii Jachiry, by przestała błaznować na sejmowej trybunie. A równocześnie wprowadza bardzo silną kontrolę wszelkich wypowiedzi polityków PO. Co charakterystyczne, gdy sam otrzymał mandat, natychmiast jego podopieczny, rzecznik PO Jan Grabiec, zaczął rozsyłać SMS-y z żądaniem uzgadniania wypowiedzi z rzecznikiem partii.

KRES NADZIEI NA SILNIEJSZĄ POZYCJĘ W EUROPIE

Wszelkie nadzieje na to, że Donald Tusk będzie kimś, kto telefonuje do tuzów światowej polityki od Waszyngtonu do Turcji, wyraźnie zbladły. Od ponownego zdobycia stanowiska szefa PO w lipcu Tusk nie był w stanie pochwalić się ani jednym zdjęciem ze spotkania w cztery oczy z żadnym z zagranicznych liderów. Nawet Angela Merkel w czasie swojej pożegnalnej wizyty we wrześniu tego roku w Warszawie nie zdecydowała się na oficjalne spotkanie ze swoim ulubieńcem.

Tusk dwa razy otarł się wręcz o śmieszność. Kiedy w drugiej połowie października ważyły się losy ewentualnych sankcji dla Polski, lider PO sugerował dziennikarzom, że konferował w Brukseli z czołowymi postaciami europejskiej polityki. Tymczasem był jedynie na szczycie Europejskiej Partii Ludowej, który odbywał się w stolicy Belgii równolegle do szczytu unijnego. Nawet w tym wypadku Tusk nie był w stanie pochwalić się zdjęciem ze spotkania „w cztery oczy": czy to z niemiecką kanclerz, czy też z Ursulą von der Leyen. Owszem, rozmawiał z nimi, ale tylko przy kawowych stolikach kuluarów szczytu EPP.

Kolejny raz Tusk zaskoczył wszystkich swoją wizytą w Berlinie w czasie szczytu ataków na polską granicę. Deklarował wtedy, że spotykał się z „samą górą" niemieckiej polityki. Jednak w czasie jego wizyty nad Szprewą żadne rejestry nie odnotowały oficjalnych spotkań Tuska z liderami niemieckiej polityki. Wyjaśnienia mogły być dwa: albo Tusk zmyślił sobie spotkania, albo czołowi politycy niemieccy unikali upubliczniania spotkań z gościem z Warszawy. Ta druga możliwość byłaby dla Tuska jeszcze bardziej upokarzająca.

Lider PO tuż po powrocie próbował tworzyć kontrast. Z jednej strony PiS-owcy ignorowani przez Europę, nieznający języków i nieumiejący poruszać się po europejskich stolicach, a z drugiej strony on – znający wszystkich ważnych po imieniu i mogący ratować Polskę nawet w sytuacji porażek rządu Mateusza Morawieckiego. Jednak kolejne miesiące pokazały, że to obecny premier przyjmowany jest przez Angelę Merkel, Emmanuela Macrona czy Borisa Johnsona.

KRES NADZIEI NA TUSKA INTEGRATORA

Tusk przed powrotem do kraju był przekonany, że opozycja wyjdzie z dołka, jeśli tylko będzie miała silnego lidera. I uznał, że on sam jest najlepszym kandydatem do tej roli. Jednak szybko cały efekt triumfalnego powrotu zaczął blednąć. Donald Tusk założył, że będzie twarzą opozycyjnego aliansu Platformy z Szymonem Hołownią i PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza. Hołownię zlekceważył jako politycznego trampkarza, a w wypadku lidera PSL był przekonany, że potrafi go całkowicie zdominować jak w koalicji z lat 2007–2015. Z poczucia swej siły zdecydował się na ostentacyjne lekceważenie lewicy.

Plan był atrakcyjny, ale się nie sprawdził. Hołownia odbił się w sondażach po krótkim okresie spadków, a lider ludowców okazał się zaskakująco hardy. Zlekceważona lewica mści się kpinami z nadęcia Tuska. Gdy niedawno jeden ze zwolenników Platformy, Zbigniew Mach, oburzał się, że deliberowanie o odebraniu prawa jazdy to wynik zazdrości wobec klasy lidera PO, Anna Maria Żukowska z Lewicy zripostowała krótko: „Popłacz się dla efektu".

KRES MITU KONSERWATYSTY

Zdumiewający jest brak konsekwencji w politycznych planach Tuska. Tuż po powrocie liberał z Gdańska kokietował zwolenników laickości, zapowiadając, że symbole religijne winny zniknąć ze ścian instytucji publicznych. Potem na słynnej konwencji w Płońsku zaprezentował się jako człowiek głęboko wierzący. Wspominał jak matka kreśliła nożem znak krzyża na chlebie. Jeśli ktoś sądził, że jego płońskie wystąpienie będzie początkiem jakiejś trasy po miastach i wsiach Małopolski, Lubelszczyzny czy Świętokrzyskiego, to się mylił. Tusk nie zrobił nic, aby kontynuować ofensywę w celu zdobycia elektoratu Polski powiatowej. Nie wykonał też żadnego gestu wobec Kościoła, nawet gdy ten zaangażował się z czasem w akcję pomocy imigrantom. Jak żartem stwierdził jeden z polityków PO, „nie można prowadzić sprawnej polityki, gdy ktoś ciągle kieruje się niepewnością, czy jakiś polityczny gest bardziej zaszkodzi czy pomoże".

Jednak takie opinie to jedynie narzekania kuluarowe. Sama partia nie ma już żadnej przestrzeni do dyskutowania na temat przyszłej linii. Obawa przed mściwością Tuska knebluje usta i przyczynia się do wyjałowienia Platformy. A w partii Tusk nie ma żadnego poważnego rywala. Trzaskowski jest nadal bierny. Czeka jedynie, aż Tusk sam się potknie.

KRES NADZIEI NA SKUTECZNOŚĆ

Publicyści obozu czekającego na koniec PiS coraz częściej zaczynają półgębkiem przyznawać, że Tusk przestał już być nadzieją na wygraną. Mariusz Janicki w „Polityce" próbował pisać, dlaczego poparcie dla PiS nie chce spadać. Co charakterystyczne, Tuskowi nie poświęcił prawie w ogóle miejsca. Ograniczył się jedynie do melancholijnego zdania: „Donald Tusk wydaje się trochę zaskoczony zmianami, które zaszły w ostatnich latach w percepcji społecznej. Polityka wymaga dzisiaj piekielnie ciężkiej pracy wieloosobowego zespołu, który wcześnie się budzi i ogarnia wszystko do późnej nocy. Buduje komunikaty i rozdziela zadania. [...] Jeśli Platforma i inne opozycyjne formacje nie zdobędą się na taki organizacyjny i finansowy wysiłek, to najbliższe wybory mogą wygrać tylko przez przypadek".

Janicki subtelnie zwrócił uwagę czytelnikom „Polityki", że Tusk jest bierny i nie dysponuje skutecznym zespołem doradczym. Co z tego, że Igor Ostachowicz osiem lat temu był świetny, skoro dziś nie błysnął jak dotąd żadnym genialnym pomysłem? A sympatycy z obozu antypisizmu zaczynają powoli niepokoić się o wynik przyszłych wyborów do Sejmu. Wyborczyni Platformy z Ameryki Jolanta Sacewicz w liście wydrukowanym na łamach „Gazety Wyborczej" opowiada, jak w 2015 r. przejechała 900 km, aby oddać głos na PO w Konsulacie RP. Teraz wyjaśnia, że drugi raz może się już nie dać nabrać, i ostrzega: „Do Donalda Tuska: Jeśli pójdziecie do wyborów w kilku koalicjach – to my zostaniemy w domu i będziemy oglądać seriale na Netflixie".

Zawsze unikałem włączania się w chór wyśmiewający lenistwo znanego gdańszczanina. Ale jak inaczej wyjaśnić trwającą od lipca złą passę Tuska?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

Europosłanka Janina Ochojska podczas protestu przeciw wprowadzeniu stanu wyjątkowego przy granicy z Białorusią, 6 września, Warszawa FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Pomoc za wszelką cenę

Kamila Baranowska

Janina Ochojska, wchodząc do polityki, była jedną z niewielu osób cieszących się szacunkiem po obu stronach barykady. Dziś niewiele z tego zostało

Nigdy nie chciałam być politykiem – przekonywała Janina Ochojska, znana działaczka społeczna, założycielka i wieloletnia prezes Polskiej Akcji Humanitarnej, przemawiając w 2019 r. podczas Rady Krajowej Platformy Obywatelskiej i tłumacząc, dlaczego zdecydowała się kandydować do Parlamentu Europejskiego. – Zawsze kierowała mną chęć służby drugiemu człowiekowi [...]. Chcę też przywrócić prawdziwe znaczenie słowa „polityka" – podkreślała, tłumacząc, że dzisiaj powiedzenie, że ktoś idzie do polityki, jest odbierane negatywnie.

Wtedy te słowa nie wzbudziły u nikogo nawet cienia zdziwienia. W powszechnym przekonaniu rzeczywiście funkcjonował i nadal funkcjonuje mit, że polityka to coś złego, od czego trzeba trzymać się z daleka i czym porządni ludzie parać się nie chcą. Toteż wiadomo, że ceniona działaczka społeczna, jeśli idzie do polityki, to nie po to, żeby się polityką zajmować, lecz po to, by kontynuować to, co potrafi robić najlepiej, czyli pomagać, tylko przenieść tę pomoc na nieco inny poziom.

I być może to jest największy problem, jeśli spojrzeć na dzisiejszą aktywność Janiny Ochojskiej jako europosłanki. Ona nadal patrzy na świat przez pryzmat szefowej PAH, a nie zawodowego polityka, czego efektem jest wysyp jej komentarzy dotyczących kryzysu na granicy, który postrzega bardzo zero-jedynkowo. Są tu biedni, zziębnięci migranci, których konsekwentnie nazywa „uchodźcami", którzy chcą jedynie poprosić Polskę o azyl. I są źli, bezduszni żołnierze broniący granic i jeszcze gorszy rząd, który wydał im takie polecenie.

„Nie mogę spać spokojnie, wiedząc, że w ciemnym, zimnym i mokrym lesie lub na bagnach są kobiety, dzieci, rodziny, mężczyźni wypchani po raz kolejny na granicę przez Straż Graniczną i polską Policję. Że są bici, okradani, poniżani. Że prawa człowieka nie są przestrzegane" – pisała na Twitterze. Nie podobało jej się także, gdy polscy żołnierze w reakcji na rzucanie kamieniami przez migrantów potraktowali ich armatkami wodnymi. „Użycie armatek wodnych na migrantów, którzy nie mają się gdzie osuszyć, grozi śmiercią z powodu zamarznięcia. Obciąży ona Straż Graniczną oraz Mariusza Kamińskiego. Tragedia na granicy została wywołana przez Wasze błędy w zarządzaniu tą sytuacją. Ogarnijcie się. Można jeszcze coś zrobić" – napisała w mediach społecznościowych.

JEDEN PUNKT WIDZENIA

We wpisach i w komentarzach dotyczących sytuacji na granicy nie pojawia się kwestia odpowiedzialności reżimu Alaksandra Łukaszenki. Ochojska skupia się wyłącznie na odpowiedzialności polskiego rządu. Nie przyjmuje też do wiadomości tego, co każdy mógł zobaczyć na filmach, na których widać, jak agresywny tłum rzuca w polskich żołnierzy i strażników kamieniami (czterech żołnierzy zostało wtedy rannych, dwóch trafiło do szpitala).

– To prawda, że taki atak nastąpił, ale nie wiemy, kim były te osoby, które rzucały kamienie. Podobno to między innymi byli również ludzie z białoruskich służb specjalnych. Ale nawet jeśli to byli tylko uchodźcy... Od czasu Usnarza wydarzyło się tak wiele rzeczy, że ci ludzie mogli po prostu stracić nerwy – tłumaczyła Ochojska w TVN24. – To była mniejszość i tych kamieni nie było znowu tak wiele – podsumowała, dodając, że „nie chce lekceważyć tego ataku". W tym samym wywiadzie stwierdziła też, że „nie trzeba było bronić granicy, bo nikt jej nie atakował", a polski rząd „potrzebował konfliktu, żeby pokazać, jak to broni granicy". –Wyolbrzymiono tę sytuację – stwierdziła.

Jeszcze wcześniej także w sprawie sytuacji na granicy europosłanka zarzuciła kłamstwo prezydentowi Andrzejowi Dudzie, który stwierdził, że „ci spośród migrantów, którzy przejdą na stronę polską nielegalnie, jeśli potrzebują pomocy, to otrzymują ją w każdym przypadku". Jej zdaniem bowiem „w przeważającej liczbie migranci są wypychani na granicę, do lasu, na bagna, dzieci, kobiety, w tym ciężarne".

„Kilka z nich poroniło, kilkoro dzieci i młodych ludzi umarło »na świętej, polskiej ziemi«. Że też nie jest Panu wstyd" – napisała, odnosząc się do słów prezydenta. „W przeciwieństwie do Pani Poseł Pan Prezydent dysponuje informacjami i meldunkami. Mówi też o rzeczach, które sam nakazał i czego byłem świadkiem.

eprasa.pl b04ffff7fd

Sugerowanie, że Polska topi ludzi w bagnach, jest godne Łukaszenki, a nie polskiej europosłanki" – odpowiedział Ochojskiej Jakub Kumoch, szef Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta.

I choć Janina Ochojska dość długo cieszyła się taryfą ulgową i większość polityków obozu rządzącego po prostu nie odnosiła się do jej słów (w przeciwieństwie do internautów, bo np. na Twitterze jej słowa spotykały się z dużą falą krytyki), to w pewnym momencie się to zmieniło.

– Ja bym proponowała, żeby pani Ochojska dała dowody na to, co mówi, bo mówi nieprawdę – stwierdziła niedawno w Polsat News marszałek Sejmu Elżbieta Witek, określając wypowiedzi Ochojskiej mianem „nieodpowiedzialnych", „skandalicznych", a nawet „haniebnych". – Mamy do czynienia z atakiem hybrydowym i twierdzenie, które wygłasza pani, która jest eurodeputowaną Platformy Obywatelskiej, jest sprzeczne z faktami – powiedział z kolei w TVP1 Mariusz Błaszczak, szef MON. – Zastanawiam się, w jakim świecie ta pani żyje. Na pewno nie jest to świat rzeczywisty, tylko wirtualny, z jej wyobrażeń – podkreślił.

W INNYM ŚWIECIE

A konkretnie rzecz biorąc, jest to świat, z którego przyszła do polityki i który całe życie był jej światem. Nigdy tego specjalnie nie kryła. Wręcz przeciwnie – decydując się na kandydowanie, podkreślała, że chce walczyć o los uchodźców właśnie. Tylko że wtedy miała nieco inną wizję tej walki niż pochwała nielegalnego szturmowania unijnych granic.

– Kandyduję, bo wierzę, że moje 26-letnie doświadczenie i służba w pomocy humanitarnej i rozwojowej pozwolą zrobić mi coś więcej na forum PE. Idę tam, żeby w imieniu Polek i Polaków upomnieć się o ludzi, którzy dzisiaj umierają z głodu, którzy nie mają dostępu do wody, którzy mieszkają w straszliwych warunkach w obozach dla uchodźców. Kandydowanie do PE jest dla mnie kontynuacją tej służby – tłumaczyła w 2019 r.

W tym samym przemówieniu podkreślała jednak, że „Unia ma taką siłę, żeby zmniejszać ilość konfliktów, żeby pomagać ludziom w krajach ich pochodzenia". Podobnie mówiła zresztą także w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej" jeszcze przed eurowyborami. „Jestem zdania, że swoją politykę Unia powinna kierować nie na finansowanie obozów uchodźców, ale na tworzenie warunków w miejscu pochodzenia umożliwiających życie (dostęp do wody, lokalne rolnictwo) oraz tworzyć narzędzia dyplomatyczne do rozwiązywania konfliktów, które tych ludzi wypędziły z ich domów" – przekonywała wówczas.

Wchodząc do polityki, Ochojska miała gigantyczny kapitał społecznego zaufania. Dostała się do europarlamentu z najlepszym wynikiem na Dolnym Śląsku i jednym z lepszych w Polsce. Zagłosowało na nią ponad 307 tys. osób.

Mało która osoba w polityce mogła się cieszyć takim szacunkiem, i to z obu stron barykady. Nic dziwnego, bo wcześniej dała się poznać jako osoba nie tylko czynnie zaangażowana w działalność społeczną, lecz także osobiście dotknięta wieloma nieszczęściami, co nie przeszkodziło jej poświęcić się pomaganiu innym. Jej życiorysem można by było spokojnie obdzielić kilka osób. W wieku niemowlęcym zachorowała na polio i wskutek tej choroby całe życie zmaga się z częściową niepełnosprawnością. Jej dzieciństwo było naznaczone licznymi pobytami w szpitalach i kolejnymi operacjami kręgosłupa. Był czas, że była całkowicie sparaliżowana i niezdolna do samodzielnego oddychania. Długo uczyła się chodzić i w miarę normalnie funkcjonować. Dziś mówi, że nie wyobraża sobie innego życia. „Komuś może się to wydawać absurdalne, ale proszę zobaczyć, jak to zmieniło moje życie. Nie wiem, jakby ono wyglądało, gdyby nie choroba. A ja bym swojego życia nie zamieniła na żadne inne. Zaakceptowałam swoją niepełnosprawność i nauczyłam się z nią żyć. I to najpełniejszym życiem, jak tylko potrafię. Podejmując się niemożliwego, a potem to robiąc" – mówiła w wywiadzie dla portalu Ngo.pl. Studiowała astronomię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, pod koniec lat 70. zaangażowała się w działalność opozycyjną. W połowie lat 80. wyjechała do Francji na kolejną operację. Tam połknęła bakcyla niesienia pomocy humanitarnej i z tym pomysłem wróciła do Polski.

Na początku lat 90. zorganizowała konwój polskiej pomocy dla mieszkańców Sarajewa. Wtedy też powołała do życia Polską Akcję Humanitarną, której szefuje do dziś. Prowadząc swoją pierwszą kampanię wyborczą, dowiedziała się, że choruje na nowotwór piersi. Poddała się leczeniu, wyhamowała z kampanią, ale z kandydowania nie zrezygnowała. Mówiła, że walkę z chorobą traktuje jako kolejne zadanie do wykonania. Raka pokonała.

Dziś znów skupia się na chęci niesienia pomocy. Przy czym chce ją nieść wszystkim, bo dla niej uchodźcą jest każdy imigrant. Ochojska widziała w swoim życiu dużo ludzkiej krzywdy, wie, jak wyglądają obozy dla uchodźców i w jak dramatycznych warunkach żyją tam ludzie. Można odnieść wrażenie, że to, co widziała i przeżyła, skutecznie przesłania jej trzeźwą ocenę tego, co się w rzeczywistości dzieje na polsko-białoruskiej granicy. Co ciekawe, choć jest europosłanką, nie przekonuje jej nawet stanowisko Unii Europejskiej. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen mówi przecież całkiem wprost, że „Białoruś prowadzi hybrydowy atak na UE". – Jest to wyzwanie rzucone całej Unii. Stoimy solidarnie u boku Litwy, Polski i Łotwy – mówiła niedawno. – To nie jest kryzys migracyjny. To próba autorytarnego reżimu, by zdestabilizować swoich demokratycznych sąsiadów – podkreślała szefowa Komisji. Janiny Ochojskiej raczej nie przekonała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

Dalej jest atak

Tomasz Rowiński

Jan Grabowski i Katarzyna Markusz w szwedzkim dzienniku oskarżyli wicepremiera Glińskiego i nasz kraj o antysemityzm. Redakcja odmówiła zamieszczenia polemiki do tego paszkwilu

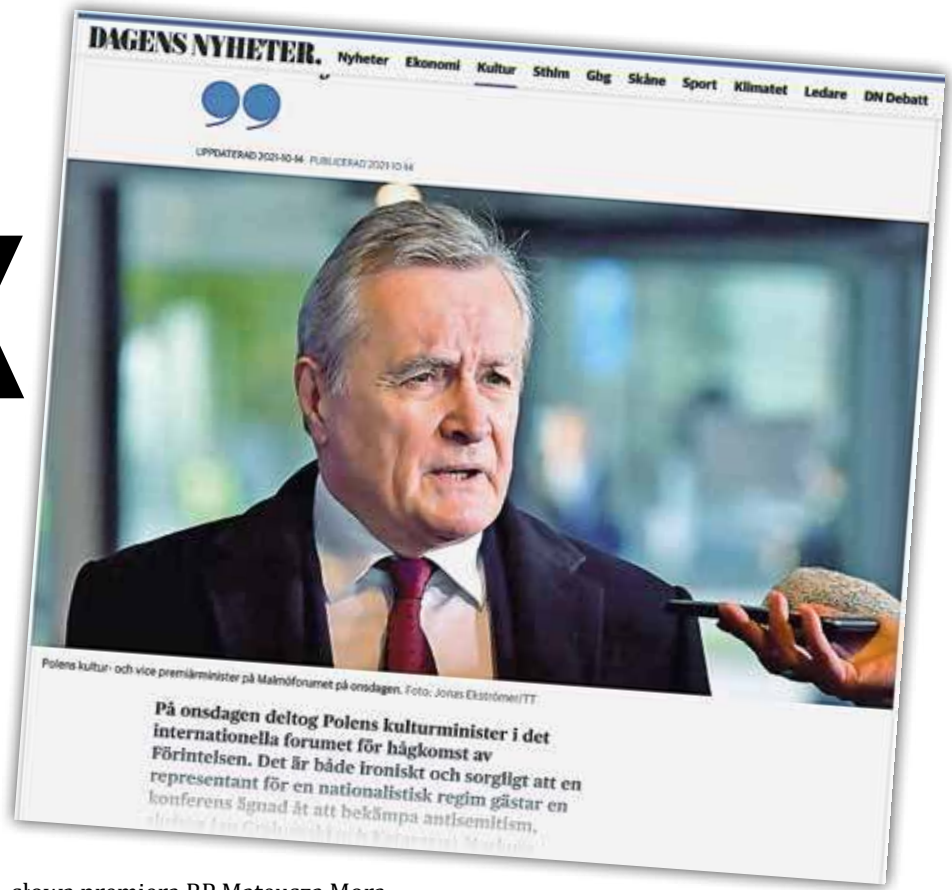

DAGENS NYHETER. Nyheter Ekonomi Kultur Sthlm Gbg Skåne Sport Klimatet Ledare DN Debatt

UPPDATERAD 2021-10-14 · PUBLICERAD 2021-10-14

Polens kultur- och vice premiärminister på Malmöforumet på onsdagen. Foto: Jonas Ekströmer/TT

På onsdagen deltog Polens kulturminister i det internationella forumet för hågkomst av Förintelsen. Det är både ironiskt och sorgligt att en representant för en nationalistisk regim gästar en konferens ägnad åt att bekämpa antisemitism.

Powody niezbyt dobrych relacji polsko-żydowskich, jak każdy zapewne zdaje sobie sprawę, są złożone. Każdy też Polak czy członek światowej wspólnoty żydowskiej ma na ten temat własne zdanie. Niezbyt często jednak potrafimy wskazać palcem konkretnych ludzi, którzy poprzez swoje zabiegi podkopują próby ocieplenia tych stosunków. A przecież czasem okazuje się, że konflikt polsko-żydowski, który tli się nieustannie, ma w sobie również komponent konkretnych działań czy też zaniechań.

Najnowsza taka historia jest w toku i ma charakter dyfamacyjny w stosunku do instytucji polskiego państwa. W dniach 13 i 14 października w szwedzkim Malmö odbyło się Międzynarodowe Forum Pamięci o Holokauście i Zwalczaniu Antysemityzmu. Wzięli w nim udział wicepremier i minister kultury prof. Piotr Gliński. Wicepremier zabrał głos w czasie „sesji na temat wdrażania strategii i planów działania w walce z antysemityzmem oraz zapewnienia bezpieczeństwa osobom należącym do mniejszości dotkniętych antysemityzmem oraz innymi formami rasizmu i nietolerancji" – jak czytamy na stronach polskiego rządu.

Profesor Gliński przypomniał w czasie swojego wystąpienia m.in. słowa premiera RP Mateusza Morawieckiego, skierowane dwa lata temu do Isaaca Herzoga, prezesa zarządu Agencji Żydowskiej dla Izraela, obecnie prezydenta Izraela: „Polska pozostaje zaangażowana w zwalczanie wszelkich form antysemityzmu. Potępiamy wszelkie akty przemocy wobec członków społeczności żydowskich czy ataki na miejsca kultu. Jesteśmy dumni, że Polska pozostaje bezpiecznym domem dla naszych żydowskich rodaków".

Wicepremier dodał także, że „pod bezlitosną okupacją niemiecką Polakom udało się stworzyć największą armię podziemną oraz działające podziemne państwo i rząd. Jednym z jej priorytetów była pomoc i ratowanie Żydów. Polska podjęła nadzwyczajny wysiłek, aby poinformować świat o trwającej masowej eksterminacji Żydów i desperacko wzywała pomocy. Tego wołania świat zachodni świadomie nie usłyszał, pomimo największych poświęceń niezliczonych polskich i żydowskich bohaterów, takich jak Szmul Zygielbojm, Witold Pilecki, Irena Sendlerowa, Jan Karski – by wymienić tylko kilku".

SZOKUJĄCA WROGOŚĆ

Które słowa wicepremiera nie spodobały się prof. Janowi Grabowskiemu oraz Katarzynie Markusz, że zdecydowali się 14 października na łamach poczytnego szwedzkiego dziennika „Dagens Nyheter" opublikować tekst, który szokuje wrogością użytego tam języka? Pod tym względem jest to prawdziwe kuriozum, w Polsce rzadko spotykane, a w publicystyce dotyczącej spraw międzynarodowych właściwie nieobecne. Może chodziło o inną jeszcze opinię, którą wicepremier sformułował tuż przed otwarciem forum. Mówił wtedy: „Pamiętajmy, kto był sprawcą, a kto nie. Jesteśmy tutaj obecnie po to, żeby o tym jasno mówić. Nie ma zgody na zakłamywanie historii i stawianie Polski w gronie współsprawców".

Nikt nie powinien się dziwić, gdyby się okazało, że publikacja w „DN" była zaplanowana wcześniej, skoro nastąpiła tak szybko po wystąpieniu wicepremiera Piotra Glińskiego. Co znalazło się w treści artykułu? Przytoczmy ten pełen nienawiści paszkwil.

„Z wielkim niepokojem zauważamy, że polski minister kultury i wicepremier Piotr Gliński bierze udział w Międzynarodowym Forum na rzecz Pamięci o Holokauście i Przeciwdziałania Antysemityzmowi w Malmö. Podczas swojej

eprasa.pl b04ffff7fd

kadencji w rządzie minister Gliński odgrywał aktywną rolę w przyznawaniu dotacji rządowych dla ekstremistycznych i nacjonalistycznych organizacji skrajnej prawicy. W tym roku organizacje te otrzymały znaczące wsparcie, które pozwoliło im na utworzenie, zorganizowanie i wzmocnienie prawicowej bojówki znanej jako Straż Narodowa. W ostatnich dniach media donosiły, że władze prawdopodobnie zwiększą to wsparcie o kolejne 4 mln zł (prawie 9 mln koron). Nie można udawać, że walczy się z antysemityzmem, a jednocześnie wspierać ekstremistów, którzy są głęboko zaangażowani w kampanię przeciwko Żydom. Polski nacjonalistyczny rząd, którego Gliński jest prominentnym przedstawicielem, również prowadził obrzydliwą kampanię, która zniekształciła obraz Holokaustu" – czytamy.

W dalszej części tekstu następuje atak na polskie prawo do obrony przed zniesławieniem. „Niesławna polska ustawa o Holokauście z 2018 r., która może prowadzić do kary więzienia dla badaczy i nauczycieli, którzy pracują niezależnie, była wyraźnym przypomnieniem o dążeniu do wypierania się udziału w zagładzie oraz o uprzedzeniach podsycanych przez polskie władze. Dziś Polska jest krajem, w którym mit o własnej narodowej niewinności zastąpił historię opartą na faktach, a badacze Holokaustu muszą liczyć się z mrożącymi krew w żyłach konsekwencjami działań prawnych i pozaprawnych wobec każdego, kto zostanie oskarżony o »szkalowanie narodu polskiego«. Jest to, delikatnie mówiąc, ironiczne, ale także smutne, że przedstawiciel nacjonalistycznego i autorytarnego reżimu, który tak metodycznie zaangażował się w zniekształcanie obrazu Holokaustu, bierze udział w konferencji poświęconej zwalczaniu antysemityzmu i zachowaniu pamięci o Holokauście, także w kraju uznawanym za jeden z najbardziej otwartych i tolerancyjnych w Europie. [...] dla polskiego przedstawiciela nie ma miejsca na tym zgromadzeniu".

Przypomnijmy, kim są autorzy artykułu? Profesor Jan Grabowski to badacz historii zagłady Żydów polskich, znany m.in. jako współautor książki „Dalej jest noc", w której polski sąd, a także inni historycy dopatrzyli się poważnych nadużyć merytorycznych prowadzących do nieuprawnionego obciążania Polaków odpowiedzialnością za tragedię Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Równie ciekawą postacią jest Katarzyna Markusz, redaktor naczelna portalu Jewish.pl. W medium tym 12 października, zatem dzień przed rozpoczęciem spotkania w Malmö, opublikowano list Eliyany Adler, która odmówiła przyjęcia Nagrody im. Witolda Pileckiego przyznawanej przez Instytut Solidarności i Męstwa im. W. Pileckiego. W liście tym znajdujemy zdumiewająco podobne wątki co w artykule z „DN", mówiące m.in. o „prześladowaniu historyków". Padają w nim oczywiście nazwiska skompromitowanych przez swoje swobodne podejście do faktów badaczy – Grabowskiego, Engelking czy Grossa.

Zdaniem szwedzkiej gazety polemika ograniczyłaby prawo Grabowskiego i Markusz do wyrażania poglądów na temat współczesnej Polski

„W całej Europie poszczególne kraje powoli zaczynają się godzić z historią Holokaustu i jego trudnym dziedzictwem. Naziści nie osiągnęli swoich celów w pojedynkę. W każdym okupowanym kraju opierali się raczej na szerokim wsparciu lokalnym, a także na współpracy państw Osi, a nawet państw neutralnych. Poznanie i zbadanie tej zawikłanej przeszłości to część drogi naprzód. Po 1989 r. wydawało się, że Polska jest na tej drodze. Jakość, zakres i głębia badań prowadzonych przez polskich badaczy Holokaustu nadal robi ogromne wrażenie. Jednak w ostatnich latach rząd, przy wsparciu Instytutu Pileckiego, zaczął ograniczać te kluczowe badania, poprzez groźby i faktycznie podejmowane działania prawne" – czytamy w jednym z akapitów listu.

REDAKCJA ODMAWIA ODPOWIEDZI

Koordynacja publikacji tych tekstów to jednak jeszcze nie wszystko. Jak się dowiedzieliśmy, Ministerstwo Kultury dwukrotnie zwróciło się do „DN" z prośbą o opublikowanie polemiki, w której Anna Pawłowska-Pojawa, dyrektor Centrum Informacyjnego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, tłumaczy czytelnikom, że Polska nie jest wielbłądem – że wybory mają charakter demokratyczny, nie ma więźniów politycznych, funkcjonuje pluralizm mediów i działalności publicznej, a poza Izraelem nie ma kraju bardziej dbającego o dziedzictwo żydowskie niż Polska. Lista wyjaśnień dotyczących rzeczy oczywistych jest jeszcze dłuższa, równie długa co absurdy zawarte w publikacji, na którą zdecydował się szwedzki dziennik.

„To bardzo przykre, że poważne szwedzkie medium publikuje bez żadnego komentarza artykuł zawierający inwektywy i składający się przede wszystkim z kłamstw i pomówień pod adresem przedstawiciela polskiego rządu, który w Malmö gościł na zaproszenie rządu szwedzkiego i który w swoim wystąpieniu poruszał kwestie ważne i bardzo ważne dla niezmiernie istotnego tematu, któremu poświęcone było Forum. I pomimo że z takim artykułem nie powinno się polemizować, aby nie dodawać splendoru nienawiści i ignorancji, która za nim stoi, szacunek wobec Państwa Czytelników skłania mnie, aby sprostować przedstawione w nim fakty" – pisała dyrektor Pawłowska-Pojawa.

Gdy zamykaliśmy pracę nad tym numerem „Do Rzeczy", otrzymałem wiadomość, że „DN" odmówił publikacji polemiki, ponieważ, zdaniem redakcji, ograniczyłoby to prawo pana Grabowskiego i pani Markusz do wyrażania poglądów na temat współczesnej Polski, a „DN" stara się, by ludzie mogli wypowiadać się swobodnie.

Czy da się to jakoś podsumować? Trudno, ponieważ wnioski okazują się mocno kłopotliwe. Właściwie sekwencja zdarzeń mówi sama za siebie. Mamy historyka, borykającego się z problemem rzetelności, który chętnie publicznie odreagowuje frustrację na polskim rządzie, mamy liberalne medium postępowego kraju, które z liberalizmem i dyskusją niewiele chce mieć wspólnego, mamy wreszcie medium poświęcone kulturze żydowskiej, którego przedstawicielka aktywnie włączyła się w akcję oczerniania Polski wobec pozbawionego koniecznego kontekstu czytelnika szwedzkiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. ADOBE STOCK

Szkolna skromność

Zuzanna Dąbrowska

Kulturowa rewolucja na szkolnych korytarzach staje się faktem. Symbolem „konserwatywnych oków", z których „trzeba się wyzwolić", jest dziś skromny i schludny strój

Zalecam, by wszyscy uczniowie, bez względu na to, czy są dziewczynkami czy chłopcami, chodzili ubrani do szkoły elegancko i schludnie, a przede wszystkim schludnie i skromnie – bo to jest szkoła, a nie rewia mody – powiedział minister edukacji Przemysław Czarnek na antenie radiowej Jedynki. Było to reakcją na alarmistyczny tekst trójmiejskiej „Gazety Wyborczej", która opisała, jak „cnoty niewieście" stają się obowiązującą normą. Według dziennika w kilku pomorskich szkołach widać w praktyce „efekt Czarnka" – czyli rzekome nowe zasady, nakładające na dziewczynki obowiązek zasłaniania rąk i nóg. Podczas lekcji WF muszą mieć na sobie długie spodnie. Z kolei pewna 12-letnia uczennica SP nr 16 miała usłyszeć, że na terenie placówki „nie nosi się" tęczowych toreb.

Wiceprezydent Gdańska ds. rozwoju społecznego i równego traktowania Monika Chabior (współorganizatorka manifestacji Strajku Kobiet w 2020 r.) zdementowała te sensacyjne doniesienia. Jednak wrażliwe serca kilku instagramowych celebrytek zaangażowanych w promocję ideologii feministycznej, zostały poruszone. Fala fake newsów rozlała się po sieci. To dobra okazja, aby zastanowić się, nie czy promować skromność w szkole, tylko jak to robić.

W INTERESIE UCZNIÓW

Szkoła to miejsce nauki, a nie dyskoteka. Wydaje się oczywiste? Być może, ale nie dla lewicowo-liberalnych mediów i ich popleczników, którzy nienawidzą wszystkiego, co konserwatywne i „wsteczne". Próbują wmówić młodym ludziom, że rodzice i nauczyciele chcąc wpływać na ich wygląd zewnętrzny, ingerują w ich wolność i prawo do autoekspresji. Tymczasem nie ma nic złego w odgórnych zaleceniach dotyczących stroju szkolnego. Skromny i schludny ubiór leży w interesie wychowawców, ale

eprasa.pl b04ffff7fd

przede wszystkim uczniów. Jest czymś, co warto forsować i do czego warto przekonywać.

Po pierwsze, ubiór to dodatek, który nie powinien odciągać od priorytetu, jakim jest zdobywanie wiedzy. Szkoła ma jasny cel: realizacja programu nauczania. Wprowadzenie konkretnych zasad de facto uwalnia uczniów od dylematu „co by tu dzisiaj założyć". Spódnice za kolano w stonowanych kolorach, bluzki bez dekoltów, spodnie bez dziur, brak biżuterii, zakaz malowania paznokci. Prosta sprawa. Mniej czasu poświęconego na stanie przed szafą to więcej czasu na naukę. – Szkoła nie jest areną wymiany poglądów politycznych. Nie jest też dyskoteką czy klubem nocnym. Szkoła ma uczyć i wspierać proces wychowawczy – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy" wiceminister edukacji Tomasz Rzymkowski.

Po drugie, strój pełni funkcję stabilizatora w burzliwym procesie rozwoju młodego człowieka. – Jeżeli uczniowie wiedzą, że każdego dnia muszą zadbać o odpowiedni strój, nabierają też samodyscypliny i w ten sposób kształtuje się ich charakter. To jeden z elementów wychowania i nie należy go zaniedbać – mówi małopolska kurator oświaty Barbara Nowak.

Po trzecie, przyzwyczajanie dzieci, a następnie nastolatków do zasad dress code'u ułatwi im wejście w świat dorosłych, w którym w wielu zawodach obowiązują wymogi związane z wyglądem zewnętrznym. Sędzia, adwokat, bankier, urzędnik, lekarz – każda z tych profesji wiąże się z pewnymi ograniczeniami, które są przecież oznaką profesjonalizmu. „Jak cię widzą, tak cię piszą" – ciężko zaufać doradcy finansowemu, który chodzi w podartych spodniach. Skoro nie jest w stanie zadbać o swój wygląd, to czy będzie zdolny do korzystnego obrotu naszymi pieniędzmi? Wątpliwe.

Jednak poprawność polityczna wdarła się do szkół na tyle mocno, że postulowanie potrzeby stworzenia swoistego „kodeksu ubioru" jest źródłem histerycznej nagonki. Nie tylko nie można próbować uregulować kwestii wyglądu, lecz także nawet o tym mówić. – To dowodzi upadku moralności w polskich szkołach oraz naruszenia harmonii funkcjonowania życia społecznego. To pokłosie przetaczającej się przez Polskę rewolucji genderowej. Ideolodzy gender na Zachodzie wprost mówią, że młodzi ludzie powinni kontestować wszystko, co zastali – chodzi o nieuznawanie autorytetów, a wśród nich nauczycieli i rodziców – wskazuje kurator Barbara Nowak w rozmowie z „Do Rzeczy".

HISTERIA I NAGONKA

Resort nie planuje odgórnego uregulowania zasad ubioru. Mogą to za to robić poszczególne placówki, wpisując zasady do statutu szkoły. Idąc krok dalej, można rozważać nie tylko zapisanie w statucie wskazań dotyczących schludności ubioru, lecz także po prostu wprowadzić mundurki szkolne. W krajach takich jak np. Wielka Brytania to standard, który chwalą sobie rodzice i uczniowie. Trudno nie zauważyć, że obecnie nad Wisłą mundurek to atrybut głównie szkół prywatnych oraz katolickich, w których najczęściej trzeba płacić czesne (może to być niewielka suma 100 zł miesięcznie lub kwota kilku tysięcy). Pomijając jednak to rozróżnienie, mundurek wprowadza wśród uczniów element równości – strój przestaje być wyznacznikiem statusu społecznego i pozwala dzieciom z mniej zamożnych rodzin nie czuć się gorzej. Dodatkowo mundurek buduje tożsamość społeczności szkolnej, ucząc poczucia odpowiedzialności nie tylko za samego siebie – jeśli zrobię coś niewłaściwego poza murami szkoły, będąc ubranym w strój z emblematem, negatywna opinia dotknie całej szkoły. Sytuacja jak z żołnierzem – mundur stanowi zobowiązanie do właściwej postawy wobec współobywateli.

Praktyka pokazuje także, że szkolne umundurowanie często idzie w parze z dobrymi wynikami. Jako przykład można wskazać krakowski Zespół Szkół Łączności. W tegorocznej rekrutacji o jedno miejsce w klasie o profilu technik programista walczyło niemal dziewięć osób. Z ogólnopolskiego Rankingu Liceów i Techników „Perspektywy 2021" wynika, że to najbardziej pożądana klasa w całym mieście. Inny przykład, tym razem ze Szczecina. W tym samym zestawieniu „Perspektyw" tamtejsze Katolickie Liceum Ogólnokształcące im. św. Maksymiliana Marii Kolbego uplasowało się na piątym miejscu w województwie.

– Mundurek szkolny pozwala określić wyraziście: cele wychowania, relacje wobec tradycji i wobec przyszłości, określa relację wobec kultury i wartości. Pozwala na rozwijanie pozytywnego stosunku do innych osób. Mundurek umożliwia w praktyce rozwijanie postaw akceptacji dla siebie, tolerancji i pracy nad sobą – mówi „Do Rzeczy" dyrektor szczecińskiego KLO Maciej Muszyński. Pedagog zaznacza jednocześnie, że jeżeli wprowadzenie szkolnych uniformów odbywa się odgórnie, bez dialogu z uczniami i rodzicami, to może mieć skutki odwrotne do zamierzonych.

Czy konserwatyści są w stanie wygrać na froncie wojny o szkolny strój, która de facto jest wojną o ideową formację młodych ludzi? To pytanie wciąż otwarte. Warto z pewnością forsować uregulowanie zasad ubioru w szkołach. To zadanie dla rodziców i nauczycieli, którym zależy nie tylko na wyedukowaniu dzieci, lecz także na ich wychowaniu. Trzeba pokazywać dobre wzorce i przykłady. A przede wszystkim należy mówić do młodych ludzi ich językiem – językiem Internetu.

Zadaniem dla prawicy jest dziś promowanie w sposób nowoczesny, dopasowany do zanurzonego w świecie cyfrowym ucznia, przekazu o skromności. Nie jako ograniczenia autoekspresji, ale jako cechy podnoszącej nasze walory i atrakcyjność. To szczególnie istotne, jeśli chce się uchronić młode kobiety przed trującą ideologią skrajnych feministek. Brzmi karkołomnie, ale okazuje się możliwe. Skutecznie robi to Ewelina Chełstowska, założycielka projektu „Urzekająca". Prowadzi ona nie tylko konta w social mediach (78 tys. polubień na Facebooku), lecz także organizuje warsztaty, webinaria i spotkania dla kobiet chcących w ramach kultury konserwatywnej, opartej na katolicyzmie, odkrywać i pielęgnować swoją kobiecość. Wszystkim inicjatywom towarzyszy estetyczna oprawa graficzna. Do pokolenia Instagrama mówi językiem Instagrama. Kontrrewolucja XXI w.

– Niestety, dziś golizna stała się bardzo popularna. Na międzynarodowych galach gwiazdy daleko przekroczyły granicę dobrego smaku, nie mówiąc o zupełnym braku skromności. A skromny nie oznacza nudny, staroświecki czy zaściankowy. Można być atrakcyjną, pewną siebie nowoczesną kobietą, a jednocześnie ubierać się godnie, czyli nie szukać atencji poprzez nagość – mówi Chełstowska w rozmowie z „Do Rzeczy".

Autorka „Urzekającej" nie ma wątpliwości, że kluczowe jest wzajemne wsparcie kobiet, które szukają drogi na wyrażenie siebie: – To realizujemy w naszym projekcie i z tym przesłaniem docieramy do setek tysięcy kobiet. Zmiana zaczyna się od nas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

Wypadek to zawsze przypadek?

Łukasz Zboralski

Wyrok w sprawie Krystiana O., który zabił na pasach w Warszawie ojca rodziny, każe stawiać pytanie: Czy część wypadków drogowych nie powinna być traktowana inaczej niż „niezamierzone” działanie? I czy polskie prawo nie powinno ich klasyfikować tak jak włoskie czy niemieckie?

Po dwóch latach od jednego z najgłośniejszych w Polsce wypadków drogowych sąd wydał wyrok osądzający jego sprawcę. Krystian O., który w 2019 r. zabił na pasach pieszego, został skazany na siedem lat i dziesięć miesięcy bezwzględnego pozbawienia wolności. To blisko limitu kary, która za przestępstwo spowodowania wypadku ze skutkiem śmiertelnym przewiduje maksymalnie osiem lat więzienia.

Problem w tym, że prokurator – i zdaje się spora część społeczeństwa – widział tę winę inaczej. Śledczy domagał się uznania tego czynu za „zabójstwo z zamiarem ewentualnym” i w związku z tym domagał się 15 lat więzienia dla obwinionego kierowcy bmw.

Ta sprawa – i jej społeczna percepcja – bardzo wyraźnie pokazuje, że w niektórych przypadkach trudno się już Polakom pogodzić z tym, iż spowodowanie śmierci innych osób na drogach zawsze widziane jest w prawie przez pryzmat działania zupełnie niezamierzonego. To wskazuje z kolei nie na problem sędziów, którzy orzekają tak, a nie inaczej, ale na pewien poważny problem polskiego prawa, któremu brak dziś szerszej perspektywy.

136 KM/H PRZEZ OSIEDLE

Żeby lepiej zrozumieć problem z postrzeganiem przez prawo pewnej części wypadków drogowych, trzeba przypomnieć, co dokładnie stało się w 2019 r. na ul. Sokratesa w Warszawie. To była słoneczna niedziela w stolicy. Przed południem Adam G. z żoną Magdą i trzyletnim synkiem Tomkiem w dziecięcym wózku wyszli na spacer. Wyszli zza bloku i weszli na przejście dla pieszych. Nie miało sygnalizacji i prowadziło naraz przez dwa pasy ruchu (to niezwykle niebezpieczna konstrukcja przejść – jest ich w Polsce jeszcze wiele, ale państwo zmienia tylko te z krajowej sieci dróg i nie narzuciło prawem innym zarządcom konieczności ich modyfikacji). Jeden z kierowców zatrzymał się i ustępował pierwszeństwa rodzinie. Zaczęli przechodzić. Wtedy drugim pasem nadjechał rozpędzony w bmw Krystian O. Adam zdążył odepchnąć żonę z synkiem, sam jednak nie zdołał już uciec. Zginął na miejscu.

Jak oszacował potem biegły, Krystian O., mechanik blacharz mieszkający w tej okolicy, a więc dobrze znający m.in. tę osiedlową drogę, na której maksymalnie można było jechać do 50 km/h, rozpędził swoje bmw do ok. 136 km/h. To prawie trzy razy więcej niż limit. W dodatku, jak się potem okazało, samochód był „podrasowany”. Miał zmodyfikowany układ hamulcowy, zdemontowany czujnik ABS, zmodyfikowane układy zawieszenia i kierowniczy. Eksperci określili to jasno: taki pojazd nie powinien zostać dopuszczany do poruszania się po drogach publicznych. (Na procesie okazało się, że przegląd techniczny Krystian O. miał zatwierdzić na stacji kontroli pojazdów poza Warszawą, gdzie pracował jego znajomy. Dlaczego nie wyłączono do oddzielnego śledztwa postępowania diagnosty – nie wiadomo).

To wtedy prokurator sięgnął po – wciąż w Polsce rzadki – zarzut zabójstwa z zamiarem ewentualnym. Dlaczego? „Biorąc pod uwagę, że Krystian O. przekroczył blisko trzykrotnie dopuszczalną prędkość podczas zbliżania się do przejścia dla pieszych, prokurator uznał, że podejrzany przewidywał możliwość zabicia człowieka i godził się na popełnienie takiego czynu” – wytłumaczyła wówczas prokuratura.

Sąd Okręgowy w Warszawie, który wydał wyrok 22 listopada, zinterpretował jednak winę kierowcy inaczej. Uznał, że Krystian O. zachował się na drodze „lekkomyślnie”, jednak nie godził się na pozbawienie kogoś życia. – Mamy do czynienia z wypadkiem ze skutkiem śmiertelnym. Istotą nieumyślności jest brak zamiaru, nawet w skrajnie lekkomyślnych sytuacjach – argumentował sąd.

Taką ocenę z trudem przyjmuje część społeczeństwa, która wyraźnie zauważa rozdźwięk pomiędzy „zwykłymi” wy-

eprasa.pl b04ffff7fd

Krystian O., który zabił pieszego, jadąc bmw w stolicy, został skazany za wypadek na siedem lat i dziesięć miesięcy więzienia

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

padkami drogowymi oraz wypadkami, do których doprowadzają ludzie skrajnie naruszający normy. Przedstawiciele Stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, które do procesu przyłączyło się jako organizacja społeczna, przychylali się do zdania prokuratora, że Krystian O. popełnił zabójstwo z zamiarem ewentualnym – czyli nie chciał celowo zabić człowieka, ale godził się z tym, że swoim działaniem może do tego doprowadzić.

Co istotne, dwóch z trzech ławników w tym procesie także zgodziło się z oceną, że to nie był wypadek drogowy, a zabójstwo. Prokuratura zapowiedziała wniesienie apelacji i nadal domaga się surowej kary.

POLSKIE PRAWO NIE NADĄŻYŁO

Z wyrokiem w sprawie zdarzenia na ul. Sokratesa nie zgadza się również wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł. Uznał to orzeczenie za niesprawiedliwe. – W tej sytuacji taki kierowca godził się z tym, co może się stać. Było mu to obojętne. A obojętność woli nazywamy właśnie zamiarem ewentualnym – mówił mi wiceminister Warchoł w rozmowie tuż po ogłoszeniu wyroku. I tłumaczył: – Nie znajdujemy tam chęci, by popełnić celowo przestępstwo – a więc nie jest to zaplanowane zabójstwo. Nie znajdujemy też jednak chęci, by nie dopuścić do zabicia kogoś – to cechowałoby postawę lekkomyślną. Mamy stanowisko neutralne, obojętne. I ten szczególny stan to jest zamiar ewentualny. Było to zabójstwo z zamiarem ewentualnym – argumentował.

Wiceminister nazwał zachowanie kierowcy „zimną obojętnością woli”. – Sprawca obejmował świadomością możliwość urzeczywistnienia przestępnego stanu rzeczy, a świadomość ta nie powstrzymała go od podjęcia zachowania. Ten kierowca obejmował świadomością to, że ktoś może wyjść i on nie zdąży zahamować. Efekt w postaci wypadku potwierdza to, na co on się tam godził – dowodził Warchoł.

Jednak polskie sądy bardzo rzadko przyjmują taką optykę w sprawach wypadków drogowych. Do tej pory w sądzie utrzymał się tylko jeden taki zarzut zabójstwa z zamiarem ewentualnym. Orzekł tak Sąd Apelacyjny we Wrocławiu w 2017 r., utrzymując orzeczenie pierwszej instancji w sprawie wypadku, do którego doprowadził kierowca w 2016 r. w Jeleniej Górze. Wówczas 18-letni Wojciech P. napadł na kobietę, ukradł jej samochód i uciekał przed policyjnym pościgiem, łamiąc wiele przepisów i ostatecznie wjechał przy czerwonym świetle na przejście, na którym zabił 37-letniego człowieka.

Dlaczego sądy w innych sprawach nie zgadzają się z tym, że sprawca skrajnie łamiący przepisy wewnętrznie godzi się na pozbawienie kogoś życia? Bo wielu karnistów tak właśnie interpretuje „zabójstwo z zamiarem ewentualnym”, że nie widzi, jak można przypisać je do wypadku drogowego, który dla nich zawsze jest czynem niezamierzonym, czymś, czego kierowca nie chce.

– Jeśli mamy takiego sprawcę wypadku śmiertelnego, który się ściga po ulicach, umyślnie narusza reguły ostrożności – bo przecież wie, że jedzie 200 km/h w mieście i wie, że się ściga – to jest to dopiero połowa odpowiedzialności. Bo on nie chciał nikogo zabić. Nie godził się na to – tłumaczył mi niedawno tę perspektywę Wojciech Górowski, doktor nauk prawnych, adiunkt w Katedrze Prawa Karnego UJ. – Bo żeby to był „zamiar ewentualny”, to on by musiał to przewidywać. Inaczej mówiąc – nieumyślność oznacza, że nie przewidywałeś, ale mogłeś przewidzieć albo przewidywałeś, ale to zlekceważyłeś – argumentował.

JAK TO WIDZĄ NIEMCY CZY WŁOSI

Wiceminister Warchoł, tak jak Górowski, jest wykładowcą prawa (na Uniwersytecie Warszawskim), widać więc wyraźnie dwie szkoły interpretacji tego samego zapisu. Przy czym orzecznictwo wskazuje, że krakowski pogląd jest jednak powszechny.

Takie orzecznictwo wyraźnie odbiega od tego, jak tego rodzaju zdarzenia ocenia się w innych krajach. Przykłady?

Polska: W 2018 r. dwaj młodzi kierowcy ścigają się ulicami Jeleniej Góry. Jadą nawet 160–180 km/h. Jeden w końcu na przejściu zabija dwóch pieszych naraz. Polski sąd uznaje, że nie było „zamiaru ewentualnego”, bo zabić nikogo nie chciał. I skazuje sprawcę za wypadek drogowy.

Niemcy: W 2019 r. w Moers dwaj młodzi kierowcy ścigają się ulicami miasta. Jeden z nich przy prędkości ok. 170 km/h taranuje prawidłowo jadącą kobietę w innym aucie. Sąd w Kleve skazuje go za morderstwo.

Karniści od razu wskazują, że niemieckie prawo inaczej ocenia wypadki – jako jedno z ogólnych przestępstw przeciw zdrowiu i życiu. Przykład Włoch wskazuje jednak, że z tym problemem prawnym można sobie poradzić. Włoski parlament w 2016 r. wprowadził do kodeksu karnego „zabójstwo drogowe”. Taki czyn popełnia tam ten, kto spowoduje śmiertelny wypadek, mając co najmniej półtora promila alkoholu w organizmie (lub narkotyki) albo doprowadzi do tego, przekraczając dozwoloną prędkość o co najmniej 50 km/h. Wówczas grozi mu minimalnie osiem lat więzienia. Gdy zginie więcej osób, maksymalny wymiar kary podniesiony jest z 12 do 18 lat więzienia.

Wprowadzenie oddzielnej kategorii do polskiego Kodeksu karnego wzorem włoskim dałoby większą paletę sądom w sprawach kierowców skrajnie lekceważących normy i odbierających życie innym na drogach. Po moich pytaniach w Ministerstwie Sprawiedliwości rozpoczęto analizowanie włoskiego prawa w tym obszarze i orzecznictwa tamtejszych sądów. Nie wiem, czy powinniśmy mieć takie prawo, jak Włosi. Wiem, że na pewno powinniśmy o tym w Polsce podyskutować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. AGNIESZKA NIEWIŃSKA

Na ratunek stolarzom

Agnieszka Niewińska

Niepełnosprawni intelektualnie z Katowic z sukcesem produkują budki lęgowe dla ptaków, które kupują lasy, samorządy czy spółdzielnie mieszkaniowe. Teraz mogą stracić swój warsztat

Ciemne chmury nad Katowicami i siąpiący deszcz nie nastrajają pozytywnie, ale kiedy przekraczam próg ośrodka terapii prowadzonego przez Stowarzyszenie SPES, nie mogę przestać się uśmiechać. Ledwie weszłam do szatni, a już ktoś się ze mną wita, zagaduje. Kamil, choć werbalnie nie możemy się porozumieć, od razu wyciąga rękę. Zamaszystym gestem zaprasza do środka. Słowa okazują się zbędne. Robert podchodzi się przedstawić. Patryk jeszcze nie zdążył przebrać się w roboczy kombinezon, ale w biegu wyjaśnia mi, że jest stolarzem i robi budki lęgowe dla ptaków. Mariola grzeje wodę na herbatę – na dobry początek dnia, który spędzam, skręcając budki dla sikorek i jerzyków pod czujnym okiem niepełnosprawnych intelektualnie stolarzy i ich terapeutów. Katowicki ośrodek Stowarzyszenia SPES to bowiem w pełni wyposażony warsztat stolarski podzielony na siedem kilkuosobowych pracowni. W odbywających się pięć dni w tygodniu zajęciach bierze udział blisko 40 dorosłych z niepełnosprawnością intelektualną. Działają przy stolarskim stole pod okiem terapeutów.

BYĆ POTRZEBNYM

– Budki dla jerzyków są najtrudniejsze – mówi mi Wojtek, który jest uczestnikiem zajęć w ośrodku od ponad 20 lat. Razem z terapeutką Anną Wiśnios pokazują, jak prawidłowo dobrać deski, wywiercić otwory, zrobić frezy i skręcić budkę. Wojtek wprawnie operuje wiertarką, wkrętarką, ściskami, które przytrzymują deski, choć w pełni sprawną ma tylko jedną rękę. Nie udaje nam się jednak uniknąć błędów. Wychwytuje je kierownik ośrodka Roman Piela i ptasie lokum musimy poprawić. – Zależy nam na tym, żeby nasze budki były kupowane nie z litości, ale dlatego, że to profesjonalnie wykonany produkt – tłumaczy Roma Piela. W ośrodku SPES powstają budki zarówno dla jerzyków czy sikorek, jak i dla wróbli, kawek, nietoperzy. Nie ma tu miejsca na amatorstwo. Konstrukcje opracowane są zgodnie z zaleceniami ornitologa.

Wśród klientów ośrodka SPES są Lasy Państwowe, samorządy, spółdzielnie mieszkaniowe czy przedsiębiorstwa budowlane. – W tym roku z komercyjnymi firmami wygraliśmy w Chorzowie przetarg na 200 budek dla jerzyków – mówi Roman Piela. Stolarze są szczególnie dumni z tego zamówienia, bo w każdej pracowni chwalą mi się wygranym przetargiem. – Kiedy zamówienie było gotowe, dostarczyłem je do Chorzowa razem z kilkoma uczestnikami. To było dla nich wielkie wydarzenie, duża radość, bo mogli swój produkt przekazać osobiście, spotkać się z tymi, którym jest on potrzebny – opowiada kierownik ośrodka.

Monika Pinkowska ze Stowarzyszenia SPES tłumaczy, że terapia została celowo zaplanowana tak, by niepełnosprawni wykonywali coś, na co jest realne zapo-

eprasa.pl b04ffff7fd

trzebowanie. – Początkowo mieliśmy pracownię ceramiczną. Gliniane serduszka cieszyły oko, ale nie był to produkt użyteczny. Pojawił się pomysł produkcji budek lęgowych, bo to konkretna rzecz, pomoc dla ludzi i ptaków – opowiada. I dodaje: – Coraz więcej mówi się o osobach niepełnosprawnych intelektualnie, w telewizji pojawiają się o nich programy, jak np. „Down the Road" opowiadający o podróżujących po świecie osobach z zespołem Downa. Tyle że zaczęliśmy dostrzegać te osoby spośród niepełnosprawnych intelektualnie, które lepiej funkcjonują. Nasi uczestnicy tacy jak Ela czy Jacek, którzy nie potrafią się wypowiedzieć, nie są medialni, dla świata dalej są nieatrakcyjni. Są postrzegani jako nieproduktywni, bezużyteczni. Dlatego nam tak bardzo zależało, żeby w ośrodku robili coś, co jest potrzebne innym, nabywali przydatnych umiejętności, takich jak wiercenie, piłowanie, wbijanie gwoździ. Pokazujemy, że są potrzebni, a im samym daje to poczucie satysfakcji.

Ze swoimi umiejętnościami niepełnosprawni stolarze wychodzą do ludzi. Przed pandemią kilkakrotnie brali udział w akcji „Ptaszkowe Love", gdzie pod ich kierunkiem pełnosprawni składali budki dla ptaków. Potem mogli je zabrać do domu. Do stolarzy ustawiały się kolejki. Z warsztatami składania budek odwiedzają też domy kultury czy szkoły.

BUDYNEK NA SPRZEDAŻ

W ośrodku SPES nawet poważnie niepełnosprawni mogą włączyć się do pracy, dzięki temu, że jest ona podzielona na etapy, a w ich wykonywaniu pomagają dostosowane do ich potrzeb narzędzia. Jeśli ktoś nie radzi sobie z wiertarką czy wkrętarką, to może prostą rozłupywarką dzielić drewno na drobne patyczki, które trafią do ekologicznej podpałki K-Lumet do grilli i ognisk – również produkowanej przez stolarzy z ośrodka SPES. Dzięki specjalnemu kołowrotkowi mniej sprawni poradzą sobie ze składaniem podpałki i zaopatrzeniem jej w knot.

Terapeuci dla każdego uczestnika mają plan. Stawiają przed każdym wyzwania, które mają go doprowadzić do większej samodzielności. Dla jednych to będzie nauka poruszania się autobusem miejskim na trasie dom – ośrodek terapii, dla innych dyżur telefoniczny w warsztacie. W grupie Anny Wiśnios jest Sebastian ze spektrum autyzmu. – W naszej pracowni czuje się bezpiecznie, ale ma opory przed wyjściem na zewnątrz, nie zaprzyjaźnia się z osobami z innych pracowni. Dlatego też to jemu stawiam wyzwanie zbierania podpisów wszystkich uczestników pod listą obecności. W piątki mamy luźniejszy dzień z popołudniowymi grami i kawą. Chcę, żeby to Sebastian dzwonił do kuchni i zamawiał kawę dla kolegów z pracowni – opowiada terapeutka.

Choć widać, że praca daje niepełnosprawnym stolarzom dużo radości, a w ośrodku czują się jak w domu, spotykając się na wspólnym śniadaniu, świętując urodziny, to towarzyszy im obawa, że po wielu latach ośrodek może przestać istnieć. Do tej pory Stowarzyszenie SPES korzystało z gościnności zakonu franciszkanów, którzy na potrzeby stolarzy udostępnili niewykorzystywany budynek parafialny. Zakon zdecydował o sprzedaży budynku razem z przyległym terenem, kaplicą i domem zakonnym. Stowarzyszenie SPES chciałoby kompleks wykupić, ale barierą są pieniądze. Do końca roku organizacja musi zgromadzić na ten cel 1,8 mln zł, a w następnych latach wnieść kolejne raty. Zakup całego kompleksu to koszt ponad 4 mln zł.

– Chcielibyśmy zostać w tym miejscu, bo w ciągu 22 lat dostosowaliśmy budynek parafialny do potrzeb osób niepełnosprawnych, urządziliśmy pracownie. Gdzie indziej musielibyśmy zaczynać od zera. Uczestnicy i ich rodziny straciliby przez lata budowane relacje i środowisko wsparcia. To zresztą jedyna tego typu placówka w rejonie ich zamieszkania – mówi Monika Pinkowska. Dodaje, że SPES ma też pomysł na wykorzystanie pozostałych budynków kompleksu. – Chcemy otworzyć Zakład Aktywizacji Zawodowej dla lepiej funkcjonujących uczestników i ośrodek wsparcia dla tych z większymi trudnościami. Planujemy też stworzyć zespół mieszkań chronionych dla tych niepełnosprawnych, którzy zostaną sami po śmierci rodziców.

– Nie chcę myśleć o tym, że z powodu pieniędzy musielibyśmy zamknąć warsztat – wzdycha Roman Piela. – Ciężko mi nawet o tym mówić. Liczę na to, że wszystko się ułoży – dodaje.

Podobne nadzieje mają rodzice uczestników. – Dla mojego syna Tomasza zamknięcie warsztatu to byłaby wielka strata. Oznaczałaby depresję, brak aktywności, utratę radości życia. Kiedy warsztat był przez pewien czas zamknięty w związku z pandemią, syn był przygnębiony, smutny. On to miejsce bardzo lubi – mówi Krystyna Wierzba, której syn korzysta z zajęć w ośrodku SPES od 1999 r. Dodaje też, że dzięki temu ona może być aktywna zawodowo. – Mam wielką nadzieję, że to miejsce nie zniknie.

Monika Pinkowska podkreśla jednak, że sytuacja jest dramatyczna. – Jeśli nie zbierzemy potrzebnej kwoty, to będziemy musieli zamknąć inne nasze programy i placówki, aby środki przekierować na ratowanie ośrodka – mówi. A SPES prowadzi m.in. poradnictwo prawne dla osób w kryzysie, udziela stypendiów rodzinom w całej Polsce, opiekującym się dziećmi w ciężkim stanie klinicznym, prowadzi wspólnotę spotkań dla rodzin z niepełnosprawnym intelektualnie dzieckiem i Dom św. Józefa, w którym zamieszkują wspólnie osierocone osoby niepełnosprawne intelektualnie wraz z towarzyszącymi im opiekunami.

WIELE DROBNYCH WPŁAT

W uratowaniu ośrodka mogą pomóc darczyńcy. – Wiele osób przeraża przeszło czteromilionowa kwota, którą musimy zebrać, ale żeby się udało, wcale nie potrzebujemy dużych darowizn. Na tę sumę może złożyć się wiele drobnych, nawet kilkuzłotowych wpłat. Tak przecież działa 1 proc. podatku. Będziemy bardzo wdzięczni tym, którzy zdecydują się nawet na niewielkie, ale comiesięczne darowizny – podkreśla Monika Pinkowska.

Dzień w ośrodku kończę w towarzystwie Eli, Jacka, Alka i Marcina – niepełnosprawnych mieszkańców Domu św. Józefa. Wraz z socjuszami, którzy na co dzień mieszkają z nimi jak w rodzinie i otaczają ich opieką, siadamy do wspólnego obiadu. Mieszkańcy sami podgrzewają potrawy, nakrywają do wspólnego stołu. Eli mimo trudności udaje się nalać zupę do wszystkich talerzy, Jacek bez pomocy otworzył opakowanie ze swoimi lekami. Alek ze wszystkimi pojawiającymi się w salonie domownikami dzieli się wrażeniami z dnia – ma zostać prawą ręką terapeuty. Nikt tu nie daje wiary, że ośrodka terapii zajęciowej nie uda się uratować. W końcu łacińska nazwa stowarzyszenia – SPES – oznacza nadzieję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ośrodek Terapii Zajęciowej Stowarzyszenia SPES można wesprzeć, dokonując wpłaty na rachunek bankowy: 29 1600 1055 1089 1355 9000 0002 lub przekazując 1 proc. podatku: KRS 00000 14574.

eprasa.pl b04ffff7fd

Tron po Martinie

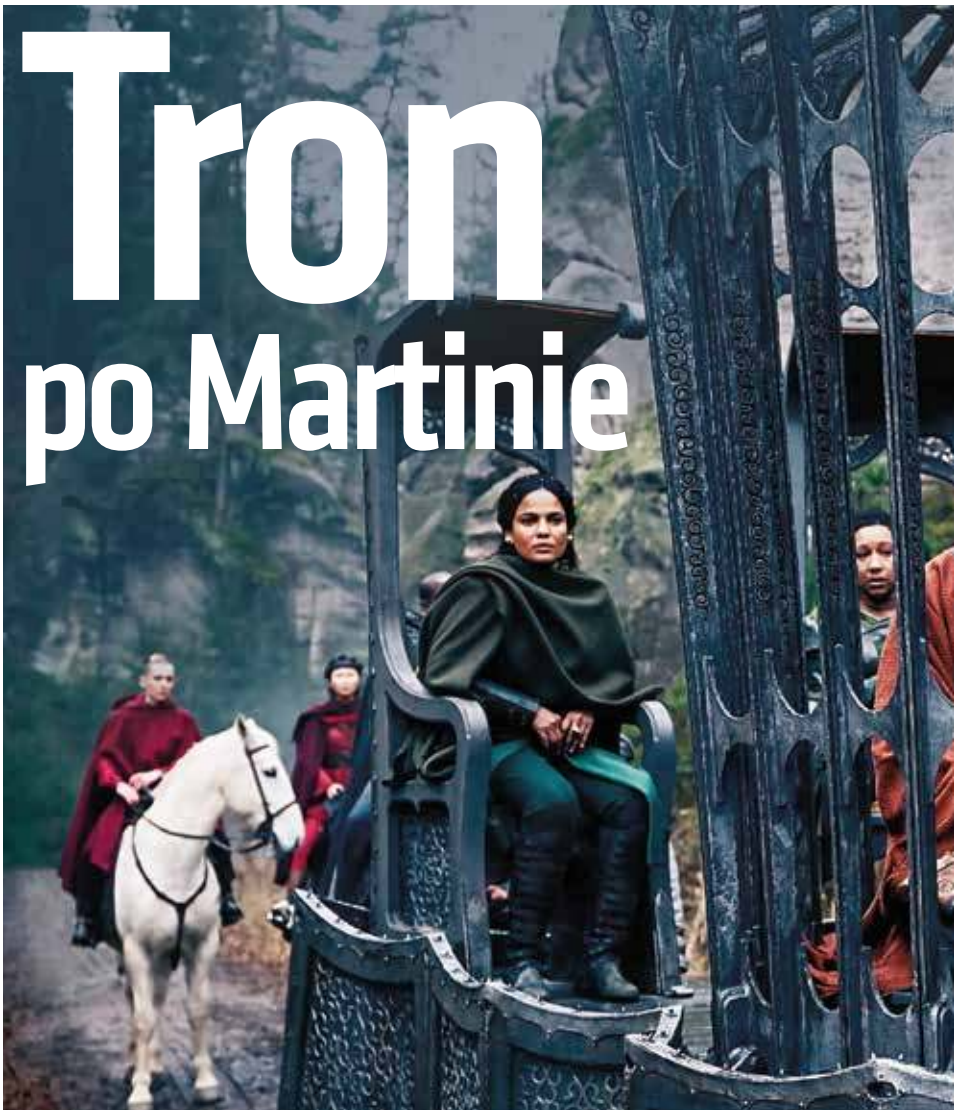

Piotr Gociek

Wszyscy w świecie telewizji i streamingu chcieliby powtórzyć sukces „Gry o tron". Wyścig trwa: Amazon proponuje serial „Koło czasu"

Usłyszałem kiedyś od pewnego polskiego pisarza (nazwisko zmilczę, inna sprawa, że jest to twórca bardzo umiarkowanie popularny), że skoro nie może być najlepszy, to chociaż będzie najpłodniejszy (nie, nie był to Andrzej Pilipiuk, wypowiedź pochodzi z wczesnych lat 90.). Nie wyszło mu ani jedno, ani drugie, bo zaliczył w życiu sporo okresów pisarskich przestojów. Dziwnym trafem autor ów parał się między innymi pisaniem fantasy.

Gdyby ktoś chciał ścigać się w dziedzinie „najobszerniejsza saga fantasy w dziejach", to przyjdzie mu zmierzyć się z dokonaniem Roberta Jordana. Cykl „Koło Czasu" powstawał przez ponad 20 lat i liczy 15 tomów (ich objętość z czasem rosła, tak jak potężniały na przykład kolejne części cyklu o Harrym Potterze). Autor końca nie dożył, serię musiał za niego dokończyć Brandon Sanderson. Tak czy inaczej do historii Jordan przeszedł – jego saga sprzedała się na świecie w liczbie ponad 90 mln egzemplarzy i uznawana jest przez wielu fanów za drugą najważniejszą po „Władcy Pierścieni" J.R.R. Tolkiena.

Wkrótce może być to i 100 mln egzemplarzy, jeśli serialowa ekranizacja przypadnie do gustu widzom i znów zwiększy zainteresowanie literackim oryginałem. Na razie dostaliśmy pierwsze odcinki (pozostałe pojawiać się będą w Amazonie co tydzień, aż do świąt Bożego Narodzenia) i wiadomość, że już w maju tego roku, pół roku przed premierą pierwszego sezonu, zamówiony został sezon drugi. Internetowy gigant wiąże z projektem spore nadzieje: pojedynczy odcinek kosztuje ok. 10 mln dol. (takie budżety epizody „Gry o tron" osiągnęły dopiero w ostatnich sezonach).

Przywołuję tytuł głośnej serii HBO nie bez powodu – w ostatnich latach konkurencja pilnie szuka materiału na hit równie wielki jak telewizyjny fenomen na podstawie książek George'a R.R. Martina. „Gra o tron" udowodniła, że seriale fantasy mogą być dla dorosłych, że mogą być niezmiernie popularne także wśród widowni na co dzień fantastyką niezainteresowanej, że mogą kreować aktorskie gwiazdy i – oczywiście – zarabiać wielkie pieniądze. Wyścig zatem ruszył, na czym skorzystał i polski pisarz Andrzej Sapkowski – już 17 grudnia w Netflixie premiera drugiego sezonu amerykańskiej wersji „Wiedźmina".

YIN I YANG

„Koło czasu" kusi popularną aktorką Rosamund Pike w jednej z głównych ról. Nominowana do Oscara za występ w „Zaginionej dziewczynie" Pike tutaj wciela się w Moiraine należącą do Aes Sedai, czyli kobiet władających Mocą. Przemierza ona świat w poszukiwaniu chłopca (tak było w powieści, w serialu powiedziane jest: chłopca lub dziewczyny), który jest nowym wcieleniem Smoka Odrodzonego. Przypomina to poszukiwania nowego wcielenia Dalajlamy – wiadomo, że gdzieś się narodził, trzeba go tylko rozpoznać. Z dalekowschodnich religii i konceptów Jordan czerpał obficie. Jego świat zbudowany jest na wzór przeciwności yin i yang: kobiety władają jednym rodzajem Mocy, mężczyźni – drugim. Równowaga świata możliwa jest jedynie wtedy, gdy te pierwiastki pozostają w równowadze, jednocześnie się uzupełniając. Świat, w którym rozgrywa się akcja cyklu – Świat Koła – omal nie został zniszczony, gdy rozpoczęto eksperymenty z nowym rodzajem energii. Igranie z prawami natury otworzyło świat na zło, które zamanifestowało się w jak najbardziej fizycznej formie – u Jordana jest to Shei'tan, zwany też Czarnym. Pokonał go Lews Therin Telamon, zwany

eprasa.pl b04ffff7fd

Serial „Koło czasu" pasuje do ducha czasów
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Smokiem, ale sam został skażony złem, piętno szaleństwa miało zaś odtąd dotykać wszystkich władających mocą mężczyzn.

Trzy tysiące lat po Pęknięciu Świata proroctwa wieszczą odrodzenie Smoka. Jedni wyczekują go z nadzieją na uzdrowienie świata, inni z obawą, że ów świat do reszty zniszczy. Moiraine przybywa do małej górskiej wioski, gdzie natrafia na kilkoro młodych ludzi, co do których ma podejrzenia, że mogą być Smokiem Odrodzonym. Jednocześnie słudzy zła (ludzie i m.in. bestie zwane trollokami) prowadzą własne polowanie na wybranego.

Wiele w tym wszystkim podobieństw do Tolkiena, co zresztą było działaniem przez Jordana całkiem zamierzonym. Pisarz przyznawał, że uwiedziony „Władcą Pierścieni" chciał pierwszemu tomowi swego cyklu („Oko świata", 1990) nadać klimat podobny do tego, który znajdujemy w pierwszych rozdziałach słynnego dzieła Tolkiena. Nawiązania są oczywiste, bohaterów ścigają jeźdźcy podobni do upiorów pierścienia – tak jak u Tolkiena nie mogą sforsować głębokiej wody, więc mamy bliźniaczą scenę z przeprawą bohaterów promem. Im dalej zagłębiamy się w cykl Jordana, tym tych inspiracji jest mniej, a rzecz staje się coraz bardziej oryginalna, co często trudno jest dostrzec czytelnikowi, który dopiero dziś zaczyna lekturę „Koła Czasu". Znajduje bowiem mnóstwo rekwizytów i motywów znanych czy to z innych powieści (oraz serii) fantasy, z gier wideo, gier RPG, filmów – pamiętajmy jednak, że to inni zrzynali z Jordana, a nie odwrotnie.

Serial Amazona jest skazany na sukces, w dużym jednak stopniu spowodowane jest to specyfiką internetowego giganta, dla którego (tak jak dla Apple i jego Apple TV+) produkcja filmów i seriali to jedynie drobna część działalności, w dodatku mocno uboczna w porównaniu z głównymi sposobami zarabiania pieniędzy. Oznacza to, że producenci ci mogą wykazać się większą cierpliwością i planowaniem długofalowym, nic nie musi bić rekordów oglądalności natychmiast. „Koło czasu" pasuje też do ducha czasów – eksponowanie roli płci pięknej w świecie (tak było już w powieściach) to młyn na wodę wszystkich wołających o postacie silnych kobiet. Aż dziw, że nie przypomniano sobie jeszcze o najpopularniejszym dziele feministycznej fantasy, czyli „Mgłach Avalonu" Marion Zimmer Bradley.

Wróćmy do głównego pytania: Czy to może być ta poszukiwana przez producentów żyła złota, nowy fenomen na miarę „Gry o tron"? Nie sądzę. Chociaż opowieść jest odpowiednio wystawna, to zdecydowanie mniej realistyczna – mam tu na myśli ten codzienny, brudny realizm „fikcyjnego średniowiecza", którym zafascynowany był Martin, a który świetnie oddali na ekranie twórcy serialu HBO. „Gra o tron" (czyli w oryginale cykl powieściowy „Saga Ognia i Lodu") to coś w rodzaju brutalnej powieści polityczno-historycznej z dodatkiem magii. „Koło czasu" w porównaniu wydaje się skomplikowaną bajką-przypowieścią. Myślę, że narzekania podnoszące się na netflixową wersję „Wiedźmina" też mają podobne źródło: świat Geralta na małym ekranie jest bliższy elegancji „Koła czasu" niż realizmowi „Gry o tron", o to wielu ma pretensje. Choć przecież oryginał Sapkowskiego był historią niesłychanie ponurą, a jego uniwersum miejscem krwawym, brudnym i bezlitosnym – tyle że ukrył to za błyskotliwymi dialogami i ironią.

BŁĘDNE KOŁO

Dotykamy tu kwestii kluczowej dla sukcesu obecnych i przyszłych konkurentów hitu HBO. A jest ich wiele, bo sporo seriali fantasy (rzecz kiedyś nie do pomyślenia) już na ekrany trafiło, a jeszcze więcej jest w produkcji. Publiczność pokochała „Grę o tron" nie dlatego, że była to fantasy, ale dlatego, że była to pasjonująca opowieść o bohaterach robiących wrażenie wyjętych z Szekspira. Opowieść o rodzinnych tajemnicach, o klanowych waśniach, o wielkiej polityce, o tym, że heroiczne czyny rzadko popłacają, a codzienność to znój, zdrada i krew. Rzekłbym nawet, że Martin dał nam antyfantasy, tak jak Sam Peckinpah czy Clint Eastwood dali nam antywestern. Zgodzimy się przecież, że jeśli chodzi o ukazywanie ludzkich namiętności i reguł rządzących światem, „Gra o tron" więcej ma wspólnego z „Dziką bandą" czy „Bez przebaczenia" niż z powieściami Karola Maya.

Naśladowcy szukają więc w złym miejscu i w dodatku niewłaściwych skarbów. Z samego faktu, że nabędzie się prawa do ekranizacji popularnej serii fantasy, niewiele jeszcze wynika (oczywiście poza tym, że dostaje się do ręki tytuł rozpoznawany przez miliony czytelników, więc korzyść promocyjna jest oczywista). Serie te często popadają w przeciętność, w błędne koło wzajemnych naśladownictw, a przepuszczane przez filtr takich producentów jak Netflix dodatkowo ulegają spłaszczeniu w telewizyjny odpowiednik powieści young adult. „Koło czasu" jest lepsze od przeciętnych produkcji Netflixa, lecz nie na tyle lepsze, by stać się – jak „Gra o tron" – przedmiotem codziennych dyskusji w biurach nad poranną kawą. I tak będzie dopóty, dopóki adaptatorzy kolejnych serii nie uświadomią sobie, że dyskutowaliśmy przecież nie o tym, jak groźne lub nie są smoki, i nie o tym, jaki los czeka świat Westeros, lecz o tym, jak silna musi być Daenerys, jak zdradziecka jest Cersei, jak rozdarty jest Jaime i jak wygadany Tyrion. Wielu zresztą dyskutuje do dziś.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

Z Witoldem Ludwigiem, reżyserem
rozmawia Robert Zawadzki

Witold Ludwig FOT. JAKUB GRABOWSKI

Najpiękniejszy człowiek swoich czasów

ROBERT ZAWADZKI: Jakim filmem jest „Nędzarz i madame" i co pan chciał w nim ukazać?

WITOLD LUDWIG: Wierzę, że z wielu względów jest to film wyjątkowy. Po pierwsze ukazuje wyjątkową postać, która jest niesamowicie ważna dla polskiej kultury, historii i duchowości. Jan Paweł II napisał, że w latach budzenia się jego powołania Adam Chmielowski odegrał rolę decydującą. To właśnie jego śladem Karol Wojtyła porzucił sztukę, aby wybrać „większą wolność". Czas pokazał, że wiele lat później – już jako Ojciec Święty – wyniósł bohatera ze swojej młodości do chwały ołtarzy. To historia bez precedensu w dziejach. „Nędzarz i madame" nie pozostawia wątpliwości, że Adam Chmielowski jest bardzo inspirującą postacią. Nie ulega też wątpliwości, że jest bohaterem skrojonym na miarę kina. Buntownik i uczestnik zrywu narodowego. Niepokorny artysta i tytan ducha. Sądzę, że udało nam się uchwycić geniusz tej osoby, co pozwoli widzowi przeżyć tę duchową drogę razem z głównym bohaterem. Będziemy towarzyszyć jego dolom i niedolom, po których zawsze odradzał się jak Feniks z popiołów. Zobaczymy, jak powoli umierał dla świata Adam Chmielowski, a rodził się brat Albert.

Na koniec dodajmy jednak, że nie tylko temat czyni ten film wyjątkowym. Wierzymy, że miłośnicy kina odnajdą w „Nędzarzu i madame" wszystko to, co kochamy w dobrych filmach. Barwni bohaterowie i dobre dialogi. Malarskie zdjęcia ukazujące epokowe wnętrza i zapierające dech w piersiach plenery. To także epicka muzyka symfoniczna i chóralna z bardzo pięknymi tematami. Oprócz tego epokowa scenografia i kostiumy, które ukazują piękny świat przedstawiony. Nie zapominajmy także o wybitnej obsadzie, którą tworzą wytrawni aktorzy polskiego teatru. Jestem przekonany, że „Nędzarz i madame" jest bardzo angażującą, filmową historią.

Co pana ujęło w św. bracie Albercie i dlaczego akurat tę postać chciał pan ukazać w swoim najnowszym filmie?

Jest to postać, którą językiem literackim nazywamy everymanem, kimś ponadczasowym, obdarzonym cechami uniwersalnymi. To jednocześnie bohater na wskroś polski i romantyczny, który przyjął w życiu postawę prometejską, składając ofiarę z samego siebie na rzecz drugiego człowieka. Był też buntownikiem, który umiłował wolność, jak każde nasze pokolenie, które dojrzewa do niej na nowo. Widać to na różnych płaszczyznach: walki narodowo-wyzwoleńczej, poszukiwań twórczych, ale nade wszystko jego umiłowania wolności wewnętrznej. Jest to człowiek, który łączy wielkie romantyczne cechy i jest w wielu wymiarach uosobieniem polskości. Z jednej strony romantyk, który ruszył na szańce walczyć z wrogiem, a z drugiej strony – wrażliwy artysta. Jest to postać bardzo barwna. Był kaleką, otarł się o śmierć na polach bitewnych. W prymitywnych warunkach amputowano mu nogę. Z drugiej strony to wielki realista i społecznik. Wspierał ludzi nie tylko materialnie, lecz także moralnie. To wyjątkowy człowiek.

W dzisiejszych czasach zepsucia kultury filmowej dostrzegamy różne skandale i niemoralne zachowanie na planach filmowych. Czy mógłby pan przybliżyć atmosferę i techniki powstania tego filmu?

Z tej perspektywy model pracy naszego zespołu filmowego był absolutnie wyjątkowy. Oczywiście ludzie nie są aniołami, ale nasz zespół wyróżnia się na tle innych produkcji. Opieram to stwierdzenie na rozmowach z wybitnymi aktorami i twórcami, którzy mają w dorobku setki uznanych realizacji. Za przykład niech służy rozpoczynanie i wieńczenie każdego dnia zdjęciowego modlitwą. Nawiasem mówiąc, pierwszego dnia zdjęciowego gościliśmy brata Hieronima, albertyna z Krakowa, który przywiózł osobiste przedmioty Adama Chmielowskiego. To także sytuacja bez precedensu w kinematografii, że relikwie drugiego stopnia stały się częścią scenografii. Były to jego osobista paleta, pędzle i walizka z przyborami malarskimi (!).

Dla twórców „Nędzarza i madame" ważne było jednak także wyzwanie moralne, które stawiał przed nami Adam Chmielowski. Mieliśmy również wsparcie duchowe i materialne Rodziny Radia Maryja. Przypomnijmy, że film sfinansowano jedynie z dobrowolnych datków słuchaczy.

eprasa.pl b04ffff7fd

Nie uzyskaliśmy żadnej subwencji publicznej i pragnę podkreślić, że Państwowy Instytut Sztuki Filmowej, który ma w swoim statucie wspieranie kina o wysokich walorach moralnych czy artystycznych, odmówił dofinansowania naszego filmu. Nie chciałbym wchodzić w kulisy tej decyzji, ale pewne fakty mówią same za siebie. W wymaganej dokumentacji Instytutu znalazło się pytanie, czy nasz film spełnia kryteria socjologicznego testu Bechdel, który bada obecność kobiet w kulturze. To element ideologii feministycznej. Aby spełnić kryteria tego testu, należy spełnić trzy warunki. Po pierwsze, w filmie muszą się pojawić co najmniej dwie kobiety, które mają imię. Muszą prowadzić ze sobą dialog, a jego treść musi dotyczyć tematyki innej niż mężczyźni.

Tak się składa, że scenariusz posiada dwie postacie kobiece. Jedną jest Helena Modrzejewska, a drugą bezdomna kobieta. Celowo nie ma imienia, ale z kontekstu filmu uważny widz odczyta w niej nawiązanie do biblijnej Weroniki. Niestety, nie spotykają się w jednej scenie i nie mają okazji porozmawiać o kobiecości. Proszę wybaczyć sarkazm, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa film odniósłby wielki „sukces" wśród krytyków Instytutu, gdyby Adam Chmielowski nie był heteronormatywny, a zamiast rozterek duchowych przeżywał dylematy związane z wyborem płci. Myślę, że i Helena Modrzejewska mogłaby być bardziej „wyzwolona". To wszystko to absurd. Zasmucające jest to, że te instytucje tworzą konkretni ludzie, konkretne dyrekcje, a więc i konkretni eksperci, którzy obsadzają komisje oceniające twórców. Jest mi bardzo przykro, ponieważ widzowie zasługują na kino na najwyższym poziomie. Wierzę jednak, że ten film będzie również inspiracją dla innych twórców i ten kulturowy nihilizm po prostu trafi na śmietnik historii. Nie mam wątpliwości, że jest to tylko kwestia czasu. Poza tym, kiedy plują, nie udawajmy, że pada deszcz.

W filmie występuje wielu znanych aktorów. Czy trudno było ich namówić do udziału w katolickiej produkcji?

W filmie występuje plejada wybitnych aktorów, którzy potraktowali „Nędzarza i madame" bardzo na serio. Unikałbym jednak sformułowania „katolicki", ponieważ jest to bardzo mylące. Pamiętajmy jednak, że z etymologicznego punktu widzenia wyraz ten oznacza „powszechność". Doświadczyłem wielkiego zaskoczenia na fokusowych projekcjach, którego widzami były także osoby o zachwianej wierze lub, mówiąc wprost, niewierzące. Wszyscy byli zgodni, że mają do czynienia z kinem artystycznym na wysokim poziomie. Niestety, jak powiedział Joseph Ratzinger, żyjemy w czasach, w których „należy raczej zakładać niewiarę niż wiarę drugiej osoby".

WITOLD LUDWIG „NĘDZARZ I MADAME" POLSKA 2021

Oczywiście „Nędzarz i madame" pokazuje najpiękniejsze walory polskiej kultury duchowej. Wszyscy aktorzy wystąpili w tym filmie z głębokiego przekonania, że biorą udział w ciekawej produkcji. Kierowaliśmy się wzajemnym zaufaniem, za które jestem im bardzo wdzięczny. W filmie przenikały się doświadczenia różnych pokoleń. Tytułowy duet grają wyjątkowo utalentowani i charyzmatyczni aktorzy – mam na myśli Piotra Zajączkowskiego i Magdalenę Michalik. Ich filmowe emploi jest na miarę światowego kina. Filmy biograficzne charakteryzują się licznymi epizodami. W „Nędzarzu i madame" grają je m.in. Krzysztof Wakuliński, Mariusz Saniternik, Lech Dyblik, Radosław Pazura, Tomasz Błasiak, Witold Bieliński czy Marcin Kwaśny. Nie chciałbym nikogo w tym momencie pominąć.

Doświadczenia spotkań przy „Nędzarzu i madame" utwierdziły mnie w przekonaniu, że artyści pragną bardziej pozytywnych trendów w polskiej kulturze, w tym w kinematografii. Zauważam, że coraz częściej ludzie sztuki odnoszą się bardzo krytycznie do tego postmodernizmu, który jest obecny nawet na poziomie urzędniczym, wśród dyrekcji teatrów czy w systemie kształcenia. Ludzie tak naprawdę pragną brać udział w produkcjach, które będą uniwersalne i ponadczasowe.

Powszechnie dostrzegamy mnóstwo zideologizowanych produkcji filmowych, dystrybuowanych np. przez platformę Netflix. Tego typu filmy destrukcyjnie wpływają na społeczeństwo. Czy z związku z tym uważa pan, że państwa dzieło stanowi potrzebną przeciwwagę?

Nie jestem abonentem platform video on demand. Podzielam powszechne przekonanie, że komercyjne i masowo powstające produkcje mają bardzo niski poziom artystyczny i merytoryczny. Są po prostu płaskie. Na domiar złego są totalnie zideologizowane i politycznie poprawne. Myślę, że te produkcje ilustrują obecny kryzys kulturowy, a zarazem kryzys cywilizacyjny. To nihilizm w najczystszej postaci. Komercja i hedonizm. Sława i pieniądze. To galeria posągów pychy. Musimy zdać sobie sprawę, że sytuacja nie ulegnie poprawie, jeśli nie zadbamy o odpowiednie kształcenie artystyczne i kręgosłup moralny twórców. Nie da się stworzyć fabryki aniołów, ale należy zadbać o polską rodzinę, powrócić do filozofii klasycznej i naszej etyki chrześcijańskiej. Możemy się wyzbyć złudzeń, jeżeli wyprzemy się depozytu wiary, ugniemy się pod ciężarem życia w tych czasach. W kontekście kultury mainstream żeruje na najniższych ludzkich instynktach. Myślę, że sprowadzanie człowieka tylko do takiej cielesności obraża widzów. „Nędzarz i madame" na pewno uwzniośli każdego widza. Ludzie wchodzą do kina dobrzy. Powinni wyjść z niego lepsi.

Wiemy, że film „Nędzarz i madame" jest kolejnym projektem realizowanym przez pańską ekipę, a więc ludzi związanych z Radiem Maryja i telewizją Trwam. Jakie są reakcje społeczne spoza środowiska?

Są bardzo pozytywne. Poza tym napisy końcowe dowodzą, że nasze środowisko współpracuje z najwybitniejszymi przedstawicielami wszystkich gałęzi twórczości filmowej. Fundacja Lux Veritatis i Akademia Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu starają się absorbować to, co pozytywne i dobre. Próby zepchnięcia nas do narożnika i patrzenia jak na oblężoną twierdzę to czysta logomachia. Fundacja Lux Veritatis tworzy dzieła na najwyższym poziomie przy udziale wybitnych twórców. Ponadto wspiera rozwój polskiej kultury i młodzieży. Nasze środowisko jest bardzo otwarte, co zresztą spotyka się z wielką życzliwością.

Czy zamierza pan realizować kolejne katolickie projekty filmowe?

Nie chciałbym rozśmieszyć Pana Boga. Niech On będzie reżyserem całej naszej rzeczywistości. My na każdym odcinku życia po prostu odpowiadajmy na wszystkie powołania. Człowiek planuje, ale to Bóg decyduje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Powrót króla

Joe Exotic nadal siedzi za kratkami. Jego dawny wspólnik nadal zarabia na hodowli egzotycznych zwierząt. Policja – i dziesiątki domorosłych detektywów z Internetu – nadal zastanawia się, czy Carole Baskin (kobieta, o dybanie na życie której oskarżony został Exotic) zabiła swego męża i rzuciła ciało na pożarcie tygrysom. Półtora roku po premierze serii dokumentalnej „Król tygrysów" (wielkiego hitu pierwszych miesięcy pandemii) wracamy do świata ekstrawaganckich bohaterów, by odkryć, że właściwie niemal każdy z nich jest jeszcze bardziej podejrzanym typem, niż się wydawało na początku.

Jednocześnie nie zmieniło się to, że w trakcie kręcenia serialu sporo spraw działo się w czasie rzeczywistym, wpływając na losy postaci z tej szalonej telenoweli. W pierwszym sezonie było tak z tajemniczym pożarem studia telewizyjnego Joe Exotica. W drugim – wielka kosztowna akcja walki o prezydenckie ułaskawienie spaliła na panewce, bo sojusznicy Exotica pojawili się w Waszyngtonie z banerami akurat w dniu, kiedy sojusznicy Trumpa szturmowali Kapitol. Przy okazji padło ważne zdanie przytoczone na wizji. Jedna z prawicowych aktywistek woła oburzona: „Wynoście się! Nikt spośród republikanów nie popiera dręczenia zwierząt!".

Egzotyczne zwierzaki (przede wszystkim wielkie dzikie koty) pozostają najbardziej nieszczęśliwymi bohaterami opowieści. Na pierwszy plan wybija się ewidentnie niezrównoważony psychicznie osobnik, który swojego „zoo" chce bronić granatami, karabinem snajperskim i działem samobieżnym. Jednocześnie sporo ustaleń z pierwszego sezonu zostaje podanych w wątpliwość – wszystko wskazuje na to, że obejrzymy sezon trzeci.

Narracja nie jest już tak gęsta jak w pierwszej części, brakuje też elementu zaskoczenia, ale „Król tygrysów" to wciąż kawał bardzo dobrej rozrywki i nieco prawdy o współczesnej Ameryce. Mocno w duchu dokumentalnych seriali true crime, ale jednocześnie z elementami opery mydlanej i reality show. Poza wszystkim w centrum pozostaje pytanie, jak dalece państwo może (i w jakiej sytuacji) ingerować w rozmaite prywatne przedsięwzięcia. Obawiam się, że słuszne oburzenie może posłużyć do przesunięcia granicy, której przesuwać nie należy. ©℗

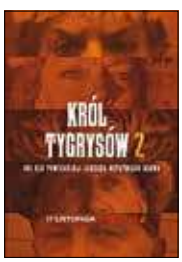

★★★★☆☆
SEZON 2
„KRÓL TYGRYSÓW" („TIGER KING")
USA 2021, DOKUMENTALNY

NOWE SERIALE: „PTAK DOBREGO BOGA" CANAL+

Świetna powieść Jamesa McBride'a trafiła do Polski w 2016 r., w tłumaczeniu Macieja Świerkockiego. Teraz przyszedł czas na wersję telewizyjną. Siedmioodcinkowa produkcja powstała dla kanału Showtime, u nas pokazuje ją Canal+. Główną figurą jest tu słynny abolicjonista John Brown, którego walka z niewolnictwem przedstawiona jest w sposób mocno odbiegający od szkolnych czytanek. Znakomitą rolę tworzy Ethan Hawke, jeden z inspiratorów powstania tej ekranizacji. Równie dobry jest młody Joshua Caleb Johnson jako narrator jego historii. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***Ethan Hawke, Mark Richard „Ptak dobrego Boga" („Good Lord Bird")***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Harriet the Spy"****, USA 2021* tv+

• *sezon 1* ***„Hellbound"****, Korea Południowa 2021*

• *sezon 1* ***„Plotkara" („Gossip Girl")****, USA 2021*

• *reż. Chad Hartigan* ***„Chora pamięć" („Little Fish")****, USA 2021* CINEMAX

eprasa.pl b04ffff7fd

Będziesz królową

KINO

Zmierzch bogów mody. Bez operowego zadęcia, lecz jak każe moda obecna – niemożebnie długi. Ekstrawagancja objawia się dziwnym doborem piosenek (czyżby algorytm?) oraz tym, że bohaterowie, rodowici makaroniarze, mówią po angielsku z włoskim akcentem. Są miłość, zdrada, zbrodnia i kara. Nemezis dynastii Guccich okazuje się sprytna ragazza, która poderwała i zaciągnęła przed ołtarz Maurizia. Ojciec i stryj widzieli w nim przyszłą opokę rodzinnego biznesu. Naiwni! Pomysł, by umieścić w centrum opowieści prostaczkę z ambicjami lady Makbet, manipulowaną przez wróżkę z telewizji, nie do końca wypalił.

Lady Gaga, wiarygodna jako obiekt pożądania kierowców ciężarówek, gorzej wypada w scenach wymagających większej finezji. A miała szansę zabłysnąć, gdyż Patrizia jest na swój sposób bystra i obdarzona intuicją, której mężczyźni z klanu Guccich są raczej pozbawieni. Moim zdaniem aktorsko wygrywają z królową dyskotek wszyscy jej ekranowi partnerzy. Obsadzeni zresztą standardowo „po warunkach". Wiadomo: jak Irons, to umierający mądrala, jak Pacino, to krzykliwy samiec alfa, jak Leto, to dziwoląg. Na szczęście 84-letni Scott jest w zaskakująco dobrej formie. Reżyserzy z aspiracjami, tacy jak Tom Ford (pokazany tu jako początkujący projektant mody), mogą się od dziadka Ridleya sporo nauczyć. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. RIDLEY SCOTT
„DOM GUCCI" („GUCCI'S HOUSE")
USA 2021

wyst. Lady Gaga, Adam Driver, Jared Leto

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

RETROMANIA

KINO

Masz babo placek! Wes Anderson, tak przejęty kulturowym dziedzictwem naszej części Europy, jak typowy jankes wziął i zakochał się we Francji. Nowy film reżysera „Grand Budapest Hotel" jest peanem na cześć ojczyzny bagietki tudzież dziennikarstwa starej daty. Akcja rozgrywa się bowiem w czasach, gdy od schlebiania czytelnikom ważniejsze było widzimisię żurnalisty. Mamy do czynienia z pionierską próbą ekranizacji gazety – od spraw lokalnych, przez kulturę, politykę i kącik kulinarny, aż do nekrologów. Anderson upaja się niegdysiejszymi obsesjami rodaków Macrona: awangardową sztuką, rewolucją, miłością do komiksów, starego kina i haute cuisine. Aktorska tablica Mendelejewa robi wrażenie, forma nadąża za treścią. Problem w tym, że spoza wspaniałych drzew prawie nie widać lasu. Frankofile i filmoznawcy będą wniebowzięci, reszta elektoratu raczej się wynudzi. Lubimy rekonstrukcje, ale inne.

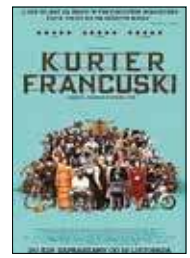

★★★☆☆☆

REŻ. WES ANDERSON
„KURIER FRANCUSKI Z LIBERTY, KANSAS EVENING SUN" („FRENCH DISPATCH")
USA/NIEMCY 2021

wyst. Owen Wilson, Benicio del Toro, Frances McDormand

DRUGA WALEWSKA

cda

Jej świat skończył się 29 listopada, gdy w Warszawie wybuchło powstanie. Dokładnie rok później umarła. Joanna (dla przyjaciół Żaneta) Grudzińska była polityczną abnegatką i przykładną żoną wielkiego księcia Konstantego, który dla niej zrzekł się praw do tronu. Pisarz Wacław Gąsiorowski uznał, że byłoby ciekawiej, gdyby hrabianka wzdychała (z wzajemnością) do majora patrioty, a oświadczyny Rosjanina przyjęła, by pomóc umęczonej ojczyźnie. Żywot wyssanej z palca melodramatycznej historii przedłużyło kino. Któż śmiałby wątpić w cnoty damy, granej przez ulubienicę polskich widzów – Jadwigę Smosarską i obłęd w oczach Konstantego – Stefana Jaracza! Na ekranie błyszczą też Józef Węgrzyn (który zamawia węgrzyna), Aleksander Zelwerowicz i Loda Niemirzanka, tenor Władysław Gruszczyński intonuje zaś „Warszawiankę". Niestety, ich świat wkrótce też miał się skończyć. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆

REŻ. MIECZYSŁAW KRAWICZ, JANUSZ WARNECKI
„KSIĘŻNA ŁOWICKA"
POLSKA 1932

wyst. Jadwiga Smosarska, Stefan Jaracz, Józef Węgrzyn

GRA TYGODNIA: „POKEMON BRILLIANT DIAMOND/SHINIG PEARL"

★★★★★☆

Klasyczne „Pokemony", bo to przecież odświeżone gry z 2007 r. z Nintendo DS, ale w nowej oprawie graficznej. Uwspółcześniona grafika jest tym, co od razu rzuca się w oczy, niemal cała reszta to odwzorowanie pierwowzorów. Nie wszystkim spodoba się stylistyka chibi, ale szybko można się do niej przyzwyczaić. Historia jak to w grach z serii „Pokemon" – jako początkujący trener wyruszamy w świat, by „złapać je wszystkie" i zostać mistrzem Pokemon, a przy okazji stawiamy czoła wrogom z Team Galactic. Sprawdzony od lat przepis zdaje egzamin i tym razem. Rzecz dzieje się na wyspie Sinnoh, mamy tu do czynienia z czwartą generacją pokemonów. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *NS*
- ***Producent, wydawca:*** *ILCA, Nintendo/ConQuest Entertainment a.s.*

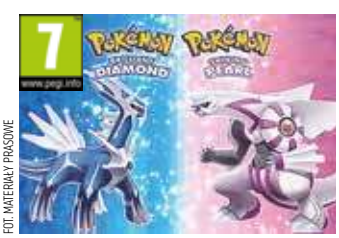

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b04ffff7fd

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wszyscy byliśmy zbędni

Wielką epiką wieje od tej powieści kubańskiego prozaika, wcześniej znanego nam z sensacji, nie powiem – zgrabnych, ale sytuujących się w górnej strefie stanów średnich – nie wyżej. Tym większy podziw budzi „Człowiek, który kochał psy", historia życia i śmierci Lwa Trockiego i jego zabójcy Ramóna Mercadera. I nie tylko ich, bo autor wprowadza do swojego utworu trzeciego, równorzędnego bohatera, kubańskiego pisarza, który w latach 70. poznaje na plaży spacerującego z psami starszego mężczyznę, opowiadającego mu historię jednego z najsławniejszych w XX w. politycznych spisków.

W powieści tej występują autentyczne postaci, podawane są sprawdzone fakty, a to, co przynależy do świata fikcji, jest wysoce prawdopodobne. A dzięki poszerzeniu sprawy zabójstwa Trockiego o ostatnie lata życia jego mordercy fabuła książki obejmuje też Kubę, na której pod rządami Fidela Castro komunizm objawiał się w całej swojej ohydzie.

I to tam właśnie, w Hawanie, w roku 1978 pod przybranym nazwiskiem Jaime Lopeza, dokonał żywota ów miłośnik chartów, hiszpański agent NKWD, który rozpłatał czekanem głowę przywódcy rewolucji bolszewickiej, Lwa Dawidowicza Trockiego, numeru dwa tejże rewolucji, rywala i największego wroga Józefa Stalina. Ramón Mercader, bo to o nim oczywiście mowa, po odsiedzeniu w meksykańskim więzieniu 20 lat, wyjechał do Moskwy, gdzie towarzysz Breżniew udekorował go Orderem Lenina i odznaką Bohatera Związku Radzieckiego. Pozwolono mu później wyjechać na Kubę, ale swego marzenia, by spocząć na hiszpańskiej ziemi, w rodzinnej Barcelonie, nie ziścił. Prochy jego pochowano w Moskwie, na cmentarzu Kuncewskim.

Choć w wyniku śledztwa w Meksyku odkryto, kim jest naprawdę, uparcie utrzymywał, że nazywa się Jacques Mornard i jest Belgiem, innym razem udawał kanadyjskiego inżyniera. Paszportów mu nie brakowało, a jego mistrz i nauczyciel (w Kraju Rad znany jako Leonid Eitingon) tłumaczył mu: „Wczoraj byłem Grigorjewem, wcześniej Kotowem, teraz jestem Tomem, a w Nowym Jorku Robertsem. Wiesz, jak mówią na mnie na Łubiance? Leonid Aleksandrowicz. Wymyśliłem sobie to imię, żeby nie poznali prawdziwego, bo wtedy dowiedzieliby się, że jestem Żydem, a nas, Żydów, w Rosji nie lubią… W każdej chwili jestem taki sam i jestem inny. Jestem wszystkim i jestem nikim, bo jestem tylko drobinką w walce o pewne marzenie. Osoby, imiona są niczym… Posłuchaj, jak tylko wstąpiłem do Czeka, nauczyli mnie czegoś bardzo ważnego: człowiek jest zastępowalny, wymienialny. Jednostka nie jest czymś niepowtarzalnym; jest pojęciem, które się sumuje i tworzy masę, a masa, owszem, jest realna. Ale człowiek jako jednostka nie jest żadną świętością, jest czymś zbędnym. To dlatego zwalczamy wszelkie religie, zwłaszcza chrześcijaństwo, które upiera się przy tych głupotach, że ludzie zostali stworzeni na obraz i podobieństwo Boga. Dzięki temu możemy być okrutni, wyzbyci współczucia, które rodzi litość: grzech nie istnieje. Wiesz, co to znaczy…? To, że lepiej dla mnie i dla ciebie, że nie mamy prawdziwych imion i zapomnieliśmy, że mieliśmy je kiedykolwiek. Iwan, Fiodor, Leonid? To samo gówno, nic. Nomina sunt odiosa. Ważne jest marzenie, nie człowiek, a tym bardziej jego imię. Nikt nie jest ważny, wszyscy jesteśmy zbędni… Jeśli osiągniesz rewolucyjną chwałę, to bez prawdziwego imienia. Być może nigdy nie będziesz go miał. Ale jesteś wspaniałą cząstką największego marzenia, jakie kiedykolwiek miała ludzkość".

To „marzenie" przyniosło milionom ludzi zniewolenie, nędzę i śmierć. Dobitnie przekonał się o tym Ivan, kubański pisarz, nazywający komunizm największą utopią XX w. A przecież wspominał: „Byliśmy pokoleniem ludzi łatwowiernych, którzy – zapatrzeni w przyszłość – w porywie romantyzmu gotowi byli wszystko akceptować i usprawiedliwiać, którzy ścinali trzcinę cukrową, przekonani, że tak trzeba (za tę harówkę nie braliśmy, rzecz jasna, ani grosza), którzy wyruszyli na wojnę, żeby walczyć gdzieś na końcu świata [w Angoli – przyp. K.M.], bo tego od nas wymagał proletariacki internacjonalizm, a jedyną nagrodą, jakiej za to oczekiwaliśmy, była wdzięczność Ludzkości i Historii".

W powieści Leonarda Padury nie ma, na szczęście, przeciwstawiania szlachetnego trockizmu zbrodniczemu stalinizmowi, choć wyczuwamy pewną dozę sympatii w rysowanych przez autora wizerunkach swoich bohaterów. Może to jednak za duże słowo, powiedzmy, że zrozumienia. Fakty są bowiem bezlitosne. O ile Stalin był przekonany, że jest – po prostu – Związkiem Sowieckim, o tyle Trocki, że jest jedynym prawdziwym wcieleniem komunistycznej idei. Ten pierwszy mógł wymordować nie tylko ościenne narody, lecz także swój własny, a Trocki i tak twierdził, że „obrona integralności ZSRR nadal pozostaje priorytetem światowego proletariatu".

Lew Trocki, naprawdę Lejba Bronsztejn z ukraińskiej Janówki, owładnięty ideą permanentnej rewolucji gotował światu los równie niepokojący jak ten, który sprokurował niemałej części tego świata (nam również) jego wróg śmiertelny – Józef Wissarionowicz Stalin. Obok Hitlera najbardziej złowroga postać naszej epoki. ©℗

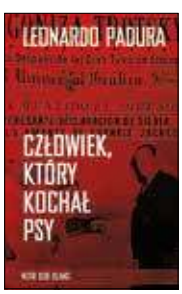

★★★★★★

LEONARDO PADURA „CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHAŁ PSY"
NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2021

eprasa.pl b04ffff7fd

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

A co tam urosło?

Spieraliśmy się kiedyś w PR24 z Łukaszem Orbitowskim o powieść Dominiki Słowik „Zimowla" (2019); jemu podobała się bardzo, widział w niej polski (małopolski?) realizm magiczny, a ja wytykałem, że nierówna. Przy swoim zdaniu zostałem: „Zimowla" miała wady i zalety ciekawego debiutu – była oryginalna i pokazywała talent autorki, z drugiej strony grzęzła, moim zdaniem, w niepotrzebnych wątkach pobocznych, rozsypywała anegdoty. Czyli pokazywała kłopoty w panowaniu nad materią w dłuższej formie.

Tom opowiadań „Samosiejki" podoba mi się bardziej, a Dominika Słowik nad słowem panuje lepiej, często nawet bardzo dobrze. Fakt, że mówimy o innej formie: do skromnej objętościowo książki weszło 13 opowiadań. Nie sądzę, by same sobie z boku urosły (jak sugeruje przewrotny tytuł), większość zdaje mi się dobrze obmyślona i precyzyjnie opowiedziana.

Jest to bardzo intymny rodzaj pisania, który, jak sądzę, może być częściowo efektem lockdownu i pandemii: częściej podczas zamknięcia obcowaliśmy z własnymi myślami i przyjmowaliśmy bardzo osobistą perspektywę. Akurat opowiadanie „Kwarantanna" traktować należy jako żart, ale też nie ono jest tu najważniejsze. Słowik potrafi rzecz nieprostą: płynnie przechodzi od tego, co realne, do tego, co nierealne, najcelniej trafiając w serce, kiedy mówi o najważniejszych i podstawowych relacjach międzyludzkich (jak w opowiadaniu „Nagie pole" zamykającym zbiór). Celowo nie używam słowa „najprostszych", bo przecież to, co dzieje się między dziećmi a rodzicami, często wcale proste nie jest. Jesienna, zimowa melancholia i nostalgia biją z niejednej strony, ale jednocześnie jest miejsce na puenty rodem bardziej z literatury niesamowitej: bezczelne, świdrujące. To przykład opowiadania „Lęk przestrzeni", z bohaterką którego łatwo mi przyszło się zidentyfikować – tak jak ona wzroku nie straciłem, choć byłem blisko.

Jest tu też klasyczna science fiction („Kolonie pozaziemskie"), która do reszty opowiadań pasuje średnio, za najsłabsze zaś opowiadanie mam „Morze Martwe", które wydaje mi się sztucznie wykombinowane. Całość jednak jest godna uwagi i buduje we mnie przekonanie, że Dominika Słowik w przyszłości pokaże jeszcze, co potrafi, a na razie – choć już z dobrym rezultatem – dopiero się rozpędza. ©℗

★★★★☆☆

DOMINIKA SŁOWIK „SAMOSIEJKI" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Trzeci tom „W poszukiwaniu utraconego czasu". Nowy przekład Jacka Giszczaka. Drugie życie klasyki literatury, z którą Tadeusz Boy-Żeleński obszedł się był nieco zanadto bezceremonialnie. Lektura obowiązkowa.

MARCEL PROUST „STRONA GUERMANTÓW" WYDAWNICTWO OFFICYNA

Dzieje białej niedźwiedzicy przygarniętej przez polskich żołnierzy walczących z bolszewikami (1918–1919) na północy Rosji u boku żołnierzy brytyjskich. Książka pełna nieznanych dotąd szczegółów, gotowy materiał na film.

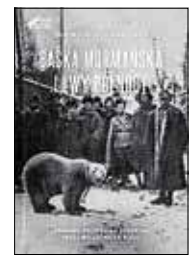

SŁAWOMIR ZAGÓRSKI „BAŚKA MURMAŃSKA I LWY PÓŁNOCY" WARBOOK

Od Egiptu do Libanu i Syrii, od Turcji przez Grecję do Włoch – dziennik z podróży po Bliskim Wschodzie w roku 1926. Pisanie jeszcze młodzieńcze, ale już klarowne. Rodzi się prawdziwy pisarz, geniusz literatury węgierskiej.

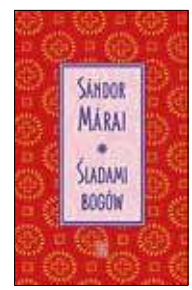

SÁNDOR MÁRAI „ŚLADAMI BOGÓW" CZYTELNIK

Mistrz polskiego kryminału historycznego nie zwalnia tempa. Dopiero co ukazało się „Miasto szpiegów", teraz nowy tom cyklu o Mocku. Wrocław, rok 1934. Zaczyna się od orgii i morderstwa, a potem będzie jeszcze ciekawiej. ©℗

poleca Piotr Gociek

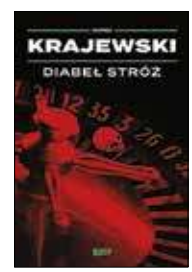

MAREK KRAJEWSKI „DIABEŁ STRÓŻ" ZNAK

KOMIKS TYGODNIA: „HISTORIA WYSSANA Z SOPLA LODU"

Ciekawe świadectwo ostatecznie nieudanej próby podbicia przez znakomitego polskiego rysownika rynku frankofońskiego. Zaproszony na Zachód w połowie lat 80. XX w. przez Grzegorza Rosińskiego Baranowski rozpoczął współpracę ze słynnym magazynem „Tintin". Kłopoty przyszły szybko – polski twórca nie chciał zmieniać ani swego charakterystycznego stylu, ani rezygnować z pełnych absurdalnego humoru scenariuszy. „Historia wyssana..." powstała według tekstu Jeana Dufauxa, znanego jako twórca cyklu „Skarga Utraconych Ziem". Wznowienie ukazuje się w twardej oprawie. ©℗

poleca Piotr Gociek

TADEUSZ BARANOWSKI „HISTORIA WYSSANA Z SOPLA LODU" WYDAWNICTWO ONGRYS

eprasa.pl b04ffff7fd

Ifi intymnie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ifi Ude (właśc. Diana Ifeoma Ude) to kobieta wielu talentów. Przede wszystkim muzycznych. To wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka i producentka. A także aktorka (współpracowała z Teatrem Pieśń Kozła we Wrocławiu, Szkockim Teatrem Narodowym, TR Warszawa, Teatrem My, Teatrem Narodowym), prezenterka telewizyjna i autorka powieści dla dzieci pt. „Zebra".

Jej debiut sceniczny ponoć był spontaniczny – podczas jam session w opolskim radiu z zespołem Funkygor, z którym później występowała. Zaliczyła współpracę z innymi opolskimi składami. W mieście tym dorastała. Artystka o polsko-nigeryjskich korzeniach wychowywała się w Opolu od trzeciego roku życia, jako studentka trafiła do Warszawy. Ifi Ude, rocznik 1986, szerszej publiczności dała się poznać w roku 2012, kiedy z artystami pochodzenia afrykańskiego mieszkającymi w Warszawie wzięła udział w realizacji trzech teledysków do nowo zaaranżowanych szlagierów warszawskich: „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka", „Warszawa da się lubić" i „Jak przygoda, to tylko w Warszawie". Później był udział w talent show „Must Be the Music" (półfinał), a w 2013 r. debiutancki album „Ifi Ude".

Najnowsza płyta artystki – inspirowane folkiem „Ludevo" – to intymna opowieść. „To płyta, którą tworzyłam przez sześć ostatnich lat. Był to okres ogromnych zmian w moim życiu, próby sił między marzeniami a rzeczywistością. Z dziewczyny stałam się kobietą, z młodej kobiety zamieniłam się w matkę. Tę przemianę słychać na nowym albumie – mówi Ifi Ude. – Ludevo to podświadoma potrzeba dotarcia do moich słowiańskich korzeni. Jest to również udanie się w podróż przez pradawne legendy i symbole, które objawiają się w kulturze pod postaciami Matki, Starca, Wędrowca, Wiedźmy, Mordercy czy Dziewicy". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Kiedy Robert spotkał Alison

Frontman Led Zeppelin poznał Alison Krauss w 2004 r. podczas koncertu pamięci bluesmana Leada Belly'ego. Oboje byli gwiazdami, tyle że odległych od siebie gatunków muzycznych. Alison zdobyła 27 nagród Grammy (rekord wśród kobiet) w kategorii muzyki bluegrass-country. A jednak para nawiązała wręcz telepatyczne porozumienie. Album „Raising Sand" złożony ze starannie dobranych coverów zachwycił zarówno fanów ciężkiego rocka, jak i kowbojów.

„Raise the Roof" nagrany pod okiem producenta T Bone'a Burnetta sporządzono wedle tej samej formuły – 11 coverów plus jedna premierowa piosenka („High and Lonesome"). Powstał mroczny odpowiednik pierwszego wydawnictwa, przy czym country-bluesowy charakter został rozszerzony o brytyjski folk. Piosenki pochodzą z różnych czasów. „Quattro (World Drifts In)" indie-folkowego zespołu Calexico powstał w tym stuleciu, a „Last Kind Word Blues" Geeshie Wiley ma już 90 lat. Przeciwstawnie brzmiące głosy Krauss i Planta w połączeniu z wyrafinowaną grą aż czterech gitarzystów (m.in. Marca Ribota i Billa Frisella) oraz hipnotyzującą mandoliną Stuarta Duncana wręcz zauraczają. Napisany przez Burnetta i Planta „High and Lonesome" jest najbardziej energetycznym utworem na płycie. Całość może nie jest tak odkrywcza jak debiut, ale wcale mu nie ustępuje. Europejska wersja płyty zawiera dwie dodatkowe piosenki. ©℗

★★★★★★
ROBERT PLANT/ ALISON KRAUSS „RAISE THE ROOF" ROUNDER

★★★★★☆
VARIÉTÉ „VARIÉTÉ" MUSIC CORNER

Starannie wydany, na dwóch płytach winylowych, klasyk rodzimej zimnej fali z 1993 r. Ponure brzmienie zespołu pięknie rozświetla trąbka jazzmana Andrzeja Przybielskiego. Siłą albumu są teksty Grzegorza Kaźmierczaka na czele z niezapomnianym „Klaszcząc w dłonie".

★★★★★★
BRUCE SPRINGSTEEN & THE E STREET BAND „THE LEGENDARY 1979 NO NUKES CONCERTS" SONY

Półtoragodzinny nokaut w wykonaniu 30-letniego Springsteena i kompanów na rockowym proteście wobec energii jądrowej. Wyjątkowy koncert w katalogu Bossa. ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

Czy „Ekler" jest śmieszny? Jeżeli kogoś bawią chamskie dowcipy, naigrywanie się z osób duchownych, z wiary jako takiej także – to niech rży ze śmiechu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ciasteczko mocno nieświeże

Krzysztof Masłoń

Gdyby ktoś się nie domyślał, co najbardziej uwiera Polakom w końcu dwudziestego roku dwudziestego pierwszego stulecia, to teraz już wie, że tym ropiejącym wrzodem na zdrowym ciele naszego, a jakże, postępowego i nowoczesnego narodu jest straszny, obskurancki Kościół katolicki z jego toruńską ekspozyturą w postaci telewizji Trwam i Radia Maryja na czele. Wynikać to ma z czterech odcinków serialu „Ekler", na razie zabiegającego o względy widzów w Internecie, a w niedalekiej przyszłości – być może – przysparzającego chwały któremuś z najbardziej bojowych nadawców telewizyjnych. O ile, rzecz jasna, Story Production wyprodukuje następne części dzieła, z czym ma pewien problem, bo niestety kasa się skończyła. Na okoliczność tę pomysłodawczyni serialu Beata Harasimowicz, nazywana ponoć (gdzie i przez kogo?) „królową kabaretu", udzieliła wywiadu zawsze pomocnej w takich sytuacjach Wirtualnej Polsce, po pierwsze – chwaląc się popularnością „Eklera" (pierwszy odcinek miał dotąd 700 tys. odsłon, następne – od 170 do 300 tysięcy, a więc bez przepychu) i sympatią internautów (podobnej żenady jeszcze nie widziałem), po drugie – zapewniając, że kłopoty finansowe zostaną zażegnane, ponieważ „liczymy na odwagę potencjalnego inwestora", a po trzecie i najważniejsze – deklarując, że jest osobą wierzącą (rozumiem, że wierzy w to, co mówi), serial pokazała trzem enigmatycznym księżom, którzy sprawdzili go „pod kątem obrażania uczuć religijnych", i, naturalnie, wystawili notę pozytywną, a poza tym ekipa bardzo się kontroluje, by uszanować uczucia osób, powiedzmy, wrażliwych czy nadwrażliwych religijnie. I tak dowiadujemy się, że gdy w telewizji Wytrwamy, w której dzieje się akcja, umiera Ojciec Przewodnik (ach, jakież to subtelne!), zakonnica Krystyna zgodnie ze scenopisem powiedzieć miała: „Poczekamy trzy dni, może zmartwychwstanie", w końcowym efekcie inaczej jednak postawiła znak zapytania, mówiąc: „A może ożyje?". Tę kwestię rozstrzygnęła prawdopodobnie grająca siostrę Krystynę (jej ulubione powiedzenie to „Do kurii nędzy") Ewa Telega w twórczej wymianie zdań z Ewą Telegą, współscenarzystką „Eklera" (proszę zwrócić uwagę na ten żart słowny nawiązujący do „Kleru", ale i z drugiej strony – jak kto się uprze – do „Kilera").

Beata Harasimowicz przyznaje się też do ocenzurowania serialowej libacji u wiecznie nawalonego abp. Rysia, z której wycięto efektowną scenę rzucania pawia przez jednego z kleryków. Jasne, po co wystawiać się na żer moherowych beretów, które i tak pewnie będą lamentować i pisać listy protestacyjne, bo przecież nie docenią finezyjnego humoru w totalnym opilstwie przerywanym jedynie racjonalnymi uwagami siostry Krystyny, że nie jest to bynajmniej Kana Galilejska, k… rzucanymi na zmianę ze szmatami czy rapowaniem (?) Skiby, dawno temu uważanego za człowieka dowcipnego, a dziś powtarzającego, że „elitarna to zabawa / proboszcz wszystkich wyspowiada".

Swoje wywody producentka „Eklera" – tyleż antykościelnego, ile usiłującego zdyskontować powodzenie „Ucha Prezesa" (pierwszy odcinek tamtego serialu miał po tygodniu 4 mln odsłon; w sumie wyprodukowano 58 odcinków), puentuje wyznaniem:

„Gdybym była ateistką, miałabym gdzieś, czy polski Kościół ludzi od Boga odstrasza czy ich przybliża. Ale mnie to obchodzi. Ja nie chcę dokonywać aktu apostazji".

A co kogo twoje akty obchodzą, kobieto – chciałoby się rzec. No, chyba że Roberta Górskiego, który jakoś dziwnie wypierał się swego związku z „królową kabaretu" (kiedyś tak nazywano, też bez sensu, Ninę Terentiew), z czego na rozmaitych portalach i forach internetowych długo robiono bekę. Może by tak wyprodukować serial o współczesnym polskim kabarecie, tylko nie tak hagiograficzny jak pokazywany swego czasu w Canal Plus („Co za kabaret!"), a trzymający się realiów tej sceny, które nie są wcale śmieszne.

Czy jednak śmieszny jest „Ekler"? Jeżeli kogoś bawią chamskie dowcipy, naigrywanie się z osób duchownych, a i, mimo deklaracji, z wiary jako takiej także – to niech rży ze śmiechu. Może rechocąc, zadławi się tym mocno nieświeżym ciasteczkiem, w produkcji którego udział wzięło kilku aktorów, na widok których do tej pory nie zmieniało się odruchowo kanału na telewizyjnym pilocie. Do tej pory. ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. GRZEGORZ BUKAŁA/REPORTER

Z wiceministrem sprawiedliwości Marcinem Warchołem
rozmawia Paweł Zdziarski

Sądy będą bliżej ludzi

PAWEŁ ZDZIARSKI: Komisja Europejska podjęła pierwszy krok w kierunku uruchomienia mechanizmu „pieniądze za praworządność". Czy Polsce grozi utrata unijnych funduszy?

MARCIN WARCHOŁ: Mechanizm warunkowości jest sprzeczny z unijnymi traktatami i z polską konstytucją. Jako Solidarna Polska od początku to podkreślaliśmy. Komisja Europejska i kanclerz Niemiec Angela Merkel złamali swoje obietnice, że do czasu wyroku TSUE, który ma ocenić zgodność tego mechanizmu z unijnym prawem, nie będą blokować funduszy. Tymczasem zablokowanie środków, np. polskim samorządowcom za prorodzinne uchwały zwane niesłusznie „anty-LGBT", gdy w istocie są za ochroną rodziny, to po prostu szantaż i próba wywrócenia konstytucyjnego porządku w naszym kraju, obalenia polskiego rządu. Donald Tusk już zdążył ogłosić siebie gwarantem tego, że te środki zostaną wypłacone. Berlin i Bruksela chcą tutaj usadzić swojego człowieka i uczynić Tuska swoistym namiestnikiem. To jak powrót do Kongresówki, gdy rządzili namiestnicy z nadania Rosji carskiej. To wprost zmierza do tego, żeby Polskę uczynić niesuwerennym województwem Unii Europejskiej.

KE wysłała do Polski i Węgier list, w którym domaga się od rządów w Warszawie i Budapeszcie wyjaśnień. Jaka powinna być odpowiedź polskiego rządu?

Zdecydowana. Przede wszystkim nie można zgodzić się na bezkarność sędziów, której domaga się TSUE, żądając unieważnienia wszystkich orzeczeń Izby Dyscyplinarnej SN. Było ponad 600 takich spraw w pierwszych dwóch latach jej funkcjonowania, w tym pozbawianie immunitetów nietrzeźwych kierowców, łapówkarzy, bijących żony czy – jak w jednym wypadku – sędziego gwałciciela. Uchylenie immunitetu oznacza zgodę na ściganie. Gdyby więc te uchylone immunitety przywrócić, jak tego chce TSUE, doszłoby do umorzenia setek takich spraw. Przecież to oczywiste bezprawie.

Ponadto należy wetować wszystkie działania Unii uderzające w suwerenność Rzeczypospolitej, łącznie z polityką klimatyczną, która jest prostą drogą do ubóstwa energetycznego naszych rodaków i obniżenia konkurencyjności polskich firm. Solidarna Polska mówiła o tym od początku i teraz wszyscy widzimy, jak źle się stało, że nie skorzystano z naszych rad. Dziś to Unia Europejska inicjowałaby porozumienie z Polską, a tak nasza pozycja negocjacyjna jest o wiele gorsza. Unia obiecuje nam 25 mln zł na uszczelnienie wschodniej granicy, co jest kroplą w morzu potrzeb, a Komisja Europejska przedstawia plan „Fit for 55", za pomocą którego zamierza wyciągnąć z kieszeni Europejczyków 5 bln euro pod pretekstem walki ze zmianami klimatu. Zapłacą za to polscy podatnicy. Musimy twardo bronić polskiej racji stanu w kwestii polityki energetycznej. Japonia buduje w tej chwili nowoczesne bloki węglowe, mimo że nie ma wielkich złóż tego surowca. My mamy największe w Europie złoża węgla kamiennego i zamiast z nich korzystać, mamy pod dyktando Unii zamykać kopalnie. Byłoby

eprasa.pl b04ffff7fd

to działanie na szkodę państwa i naszych obywateli.

TSUE zajmie się też skargami Polski i Węgier w sprawie mechanizmu warunkowości. Czy spodziewa się pan korzystnego werdyktu dla Polski?

Problem z TSUE jest taki, że to nie jest obiektywny, niezawisły i niezależny sąd dbający o przestrzeganie prawa w całej Europie, tylko parasąd złożony z partyjnych nominatów, polityków w togach realizujących interesy swoich mocodawców, czyli poszczególnych unijnych państw, Komisji Europejskiej czy Parlamentu Europejskiego. Na jego działaniach poznały się już inne kraje, choćby Wielka Brytania. Londyn prowadził negocjacje w sprawie protokołu północnoirlandzkiego, który reguluje relacje na granicy Irlandii i Irlandii Północnej. Irlandia Północna tworząca Wielką Brytanię na mocy tego protokołu pozostała na jednolitym rynku Unii Europejskiej w zakresie obrotu towarami. Rząd w Londynie domaga się renegocjacji dokumentu i ustanowienia nad nim niezależnego arbitrażu międzynarodowego. Brytyjczycy wykluczyli z tego TSUE ze względu na jego brak niezależności. Także Szwajcarzy zerwali negocjacje w sprawie zawarcia umowy handlowej z Unią Europejską, bo nie chcieli, aby TSUE miał nad tym nadzór. TSUE jest organem politycznym, nie prawdziwym sądem, dlatego skargi Polski i Węgier nie będą tam rozpatrywane pod względem prawnym, tylko politycznym, i nie mam złudzeń, jaką decyzję podejmą parasędziowie paratrybunału.

Ministerstwo Sprawiedliwości zapowiedziało niedawno wiele reform wymiaru sprawiedliwości. Jak pańskim zdaniem zareaguje na nie Bruksela? Czy nie będzie próbowała ich podważyć?

Proponowane przez nas zmiany są korzystne przede wszystkim dla każdego obywatela, lecz także dla samych sędziów. Nie widzę w tej reformie żadnych rozwiązań, które mogłyby się stać problemem dla Unii Europejskiej. Raczej powinny stać się w Unii wzorem do naśladowania, bo w sposób przełomowy ułatwiają każdemu dostęp do sądów. Nawet bez wychodzenia z domu.

Jakie są najważniejsze punkty wspomnianych reform?

Koniec biurokratycznych absurdów i krótsze postępowania sądowe. Dzisiaj co trzeci sędzia w Polsce pełni jakieś funkcje, zajmując się głównie biurokracją, a nie sądzeniem. Istnieją sądy, w których na siedmiu sędziów aż czterech pełni funkcje kierownicze. Są nawet takie przypadki, że na trzech sędziów wszyscy są funkcyjni i żaden nie ma już zbyt dużo czasu na orzekanie. To oczywiście skutkuje zwiększonym obłożeniem pracą sędziów niefunkcyjnych i w efekcie tylko wydłuża postępowania. Nasza reforma likwiduje dwa stanowiska funkcyjne na trzy i oznacza to powrót do sal rozpraw ponad 2 tys. sędziów.

A jak na tym skorzystają obywatele?

Nadmiernie rozbudowaną, zbiurokratyzowaną strukturę sądownictwa zamieniamy w prostą, przejrzystą i przyjazną obywatelom. Wszystko będzie po prostu przebiegać znacznie szybciej. Dzisiaj sędziowie z sądów rejonowych dostają do prowadzenia nawet 1,3 tys. spraw rocznie, a ci z sądów apelacyjnych średnio niewiele ponad 300. Do sądów rejonowych trafia rocznie ok. 14 mln spraw, a do apelacyjnych jedynie ok. 113 tys. Skutkuje to różnym rozkładem pracy sędziów. Na terenie właściwości danego sądu obywatel będzie mógł złożyć pozew tam, gdzie mu wygodnie, natomiast system losowego przydziału spraw wylosuje najmniej obciążonego sędziego, który będzie mógł szybko nadać bieg sprawie.

Jak obecnie to wygląda w praktyce?

Posłużę się przykładem z moich rodzinnych stron. Mieszkaniec Rzeszowa ma w swoim mieście właściwy dla siebie sąd, który jest przeładowany sprawami, i na rozstrzygnięcie musi poczekać długie miesiące. Siedem kilometrów dalej jest Sąd Rejonowy w Strzyżowie, który taką sprawę mógłby wyznaczyć choćby jutro, bo ma wolne terminy, ale formalnie nie można tego dzisiaj zrobić. Po zmianie będzie można, dlatego ta reforma, równomiernie rozkładając pracę między sądami, przyczyni się do przyspieszenia tempa rozpraw.

Czy liczy pan, że środowiska sędziowskie poprą te reformy?

Grupa sędziów zajmująca się głównie politykowaniem nie poprze, bo ich interesuje wyłącznie zachowanie obecnych wpływów „nadzwyczajnej kasty". Dla znakomitej większości sędziów, pracujących codziennie rzetelnie i uczciwie, jest oczywiste, że ta reforma służy wzmocnieniu niezawisłości sądów i wprowadzi przejrzyste reguły awansu. Każdy sędzia stanie się sędzią sądu powszechnego, niezależnie od tego, gdzie będzie orzekał. O awansie nie będą decydowały już układy, lecz staż pracy. Dziś awans zależy od tego, czy ktoś przypodoba się środowisku sędziowskiemu. Jest on narażony na presję ze strony tego środowiska i niejasne reguły awansu. Właśnie to najbardziej godzi w niezawisłość sędziów i przekłada się na ich zarobki. Obecnie pomiędzy sędziami o tym samym stażu pracy różnica w zarobkach może wynosić nawet ponad 4 tys. zł! Dziś sędzia w sądzie rejonowym może otrzymać wynagrodzenie maksymalnie w wysokości piątej stawki awansowej. Choćby nie wiem jak dobrze orzekał, nie przebije tego szklanego sufitu. My rozbijamy ten sufit. Nie tylko uwalniamy stawki awansowe, lecz także podnosimy wysokość poszczególnych stawek. Zarobki będą rosły bez konieczności zmiany miejsca zamieszkania. Dany sędzia będzie mógł się realizować i awansować w tym samym sądzie.

Czy większość sejmowa zagłosuje nad tymi zmianami i czy były one konsultowane z prezydentem?

Były uzgodnione z Prawem i Sprawiedliwością, ale ten projekt wprowadza tak korzystne dla obywateli zmiany, że jego poparcie powinno być oczywiste dla wszystkich posłów, dla których dobro obywateli jest rzeczywiście najważniejsze. Fundamentalną zmianą, przybliżającą sądy do obywateli w stopniu niespotykanym dotąd w historii, będą punkty sądowe, które mają powstać w każdej gminie, czyli w tysiącach miejscowości, gdzie nie było dotąd sądów. Wójtowie i burmistrzowie zawrą odpowiednie porozumienia z prezesami sądów. Da to obywatelom możliwość złożenia pisma sądowego w najbliższej miejscowości i sprawdzenia w takim punkcie, jak przebiega ich sprawa. Będą również mogli brać udział w rozprawie za pośrednictwem sprzętu audiowizualnego, umieszczonego w tych punktach, bez konieczności jechania wielu kilometrów do sądu. Co więcej, jeżeli ktoś będzie chciał z poziomu swojego smartfona skontaktować się z sądem, a nawet brać udział w rozprawie on-line, to również otrzyma taką możliwość. Będzie do tego specjalna, darmowa aplikacja na telefon. Nasze hasło „Sądy bliżej ludzi" staje się faktem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. ADOBE STOCK

Dokopać „foliarzom”

Łukasz Warzecha

Sanitaryści uparcie zagarniają wszystkich krytyków lockdownów czy segregacji sanitarnej do jednego worka z napisem „Foliarze i antyszczepionkowcy”. Przy czym agresja strony sanitarystycznej wyraźnie wzrosła po tym, jak w kilku europejskich krajach zaczęto wdrażać coraz dalej idące ograniczenia wobec niezaszczepionych

W liście opublikowanym w prestiżowym medycznym piśmie „The Lancet” prof. Günter Kampf pisze: „W USA i Niemczech urzędnicy wysokiego szczebla używają określenia »pandemia niezaszczepionych«, sugerując, że osoby zaszczepione nie mają znaczenia w rozprzestrzenianiu się COVID-19. Stosowanie takiej frazy mogło zachęcić jednego z naukowców do twierdzenia, że »niezaszczepieni zagrażają zaszczepionym«. Jednak takie podejście jest zbyt proste.

Pojawia się coraz więcej dowodów, że osoby zaszczepione odgrywają znaczącą rolę w procesie transmisji. […] Zaszczepieni są mniej podatni na ciężki przebieg choroby, lecz nadal są istotną częścią pandemii. Błędem i zagrożeniem jest zatem mówienie o pandemii niezaszczepionych. W swojej historii zarówno USA, jak i Niemcy mają bardzo złe doświadczenia ze stygmatyzowaniem części społeczeństwa z powodu koloru skóry czy religii. Apeluję do urzędników wysokiego szczebla, aby powstrzymali się od szkodliwej stygmatyzacji osób niezaszczepionych, wśród których są nasi pacjenci, koledzy i inni współobywatele, oraz aby postarali się zadbać o społeczną spójność”.

Profesor Kampf jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu Medycznego w Greifswaldzie. „The Lancet” publikował już kilka jego listów dotyczących pandemii COVID. W lutym tego roku prof. Kampf apelował np. o dokładne rozważenie proporcji zysków i strat, wynikających z przyjętych strategii antyepidemicznych, a na początku listopada zwracał uwagę na potrzebę przyjęcia spójnych i jednolitych zasad raportowania w sprawie pandemii.

GWAŁT NA LOGICE

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy w „The Lancet” pojawił się list niemieckiego lekarza, na drugim końcu świata, w Darwin, stolicy australijskiego Terytorium Północnego, na konferencji prasowej szef lokalnego rządu Michael Gunner – członek, jakżeby inaczej, Partii Laburzystowskiej – podczas konferencji prasowej został zapytany przez dziennikarza o swoje agresywne wypowiedzi pod adresem obywateli protestujących przeciwko obowiązkowym szczepieniom niektórych grup zawodowych. Gunner nazywa ich „antyszczepionkowcami”, choć – jak zauważył zadający pytanie – znaczna część spośród nich jest zaszczepiona. Polityk, wyraźnie rozemocjonowany, odpowiedział, że owszem, każdy, kto sprzeciwia się obowiązkowym szczepieniom, jest antyszczepionkowcem i nie ma żadnego znaczenia, że sam się zaszczepił.

Ten ewidentny gwałt na logice na nikim już chyba nie robi wrażenia. Wszak strona prezentująca sanitarystyczne podejście uparcie – od ponad roku – zagarnia wszystkich krytyków lockdownów czy segregacji sanitarnej do jednego worka z napisem „Foliarze i antyszczepionkowcy”. Przy czym agresja strony sanitarystycznej wyraźnie wzrosła po tym, jak w kilku europejskich krajach zaczęto wdrażać coraz dalej idące ograniczenia wobec niezaszczepionych. Prym wiedzie Austria, gdzie całkiem wprost niezaszczepionym odbiera się prawa obywatelskie, gdzie mimo zaszczepienia 65 proc. ludności dwoma dawkami liczba zakażeń bije rekordy (choć pamiętajmy, że jest to również funkcja zakresu wykonywanych testów, a więc można tym parametrem w jakimś zakresie manipulować), gdzie wprowadzono właśnie kompletny lockdown, a od nowego roku szczepienia mają być obowiązkowe.

W Holandii doszło do bardzo ostrych protestów przeciwko epidemicznym ograniczeniom, w trakcie których policja użyła ostrej amunicji. Premier tego kraju Mark Rutte nazwał protestujących „idiotami”.

ZACHWYT BRUTALNOŚCIĄ

W Polsce zachwycona austriackimi pomysłami jest m.in. Rada Przedsiębiorczości (którą tworzą takie podmioty jak Business Center Club, Związek Banków

eprasa.pl b04ffff7fd

Polskich czy Polska Rada Biznesu). W piśmie do marszałek Sejmu Elżbiety Witek członkowie Rady Przedsiębiorczości piszą: „Wiele rządów państw UE, nie zważając na protesty różnych grup społecznych, wprowadza rozwiązania, które mają zahamować rozprzestrzenianie się koronawirusa". Rada uważa zatem za wspaniałe, że rządy brutalnie przeciwstawiają się swoim obywatelom i nie zważają na ich protesty, ale już nie zajmuje się w ogóle analizowaniem, czy przyjmowane regulacje faktycznie w jakimkolwiek stopniu przyczyniają się do zahamowania epidemii.

PiS starał się znaleźć poza własnym klubem poparcie dla projektu wprowadzającego faktyczną segregację sanitarną w miejscu pracy poprzez wyposażenie pracodawców w prawo kontroli statusu szczepień pracownika. Spotkanie jednak zakończyło się bez większego sukcesu – na rząd ze strony opozycji spadła głównie krytyka. Nic dziwnego, bo większość ugrupowań opozycyjnych to zwolennicy ostrzejszego, niż proponuje PiS, rygorystycznego podejścia i jak najszybszego odebrania praw niezaszczepionym. Na razie zresztą projekt nie jest znany w szczegółach, ale jego główna idea już doczekała się krytyki ze strony m.in. Adama Abramowicza, rzecznika małych i średnich przedsiębiorców, który słusznie zauważył, że wprowadzałoby to konfliktową atmosferę w miejscu pracy, a nie jest sprawą pracodawców prowadzenie polityki epidemicznej.

Najdalej w propozycjach epidemicznego zamordyzmu idzie w Polsce Lewica. Partia Włodzimierza Czarzastego przedstawiła niedawno swoją „strategię" (trudno to pisać bez cudzysłowu) pod hasłem „STOP": szczepieni bez lockdownu, testowanie grup szczególnie narażonych, ograniczenia dla niezaszczepionych i nieprzetestowanych oraz „paszport covidowy przepustką do normalności". Trudno ten zbiór sloganów potraktować poważnie. W szczególności punkt ostatni, który jest oksymoronem. Skoro do normalnego życia miałby być potrzebny paszport covidowy, czyli w gruncie rzeczy przymusowe przyjęcie szczepionki, to gdzie tutaj normalność?

Najbardziej jednak intrygujący jest narastający fanatyzm części osób publicznych – i to z różnych stron światopoglądowego spektrum. Szczególne wrażenie zrobił na mnie niedawny facebookowy wpis Agnieszki Romaszewskiej, redaktor naczelnej telewizji Biełsat, która zadeklarowała nie tylko, że nie zgadza się z poglądami osób nieszczepiących się przeciwko COVID, lecz także nie zamierza tych poglądów szanować. To zaś oznacza – ni mniej, ni więcej – postulat wyrzucenia takich osób poza nawias i odmówienia jakiejkolwiek dyskusji z nimi.

MOTYWACJE SANITARYSTÓW

Można zadać sobie pytanie, co motywuje zagorzałych sanitarystów, skoro można ich znaleźć w elektoracie oraz wśród polityków i Lewicy, i Platformy Obywatelskiej, i Polski 2050, i PiS. Z pewnością najmniej jest ich w elektoracie Konfederacji (co zresztą pokazują wszystkie sondaże dotyczące epidemicznych restrykcji).

Pierwsza motywacja to przekonanie, że szczepienie jest certyfikatem bycia mądrym i oświeconym. Ten efekt doskonale znamy z polskiego (i nie tylko) życia publicznego. Kiedyś działało to na przykład w przypadku „Gazety Wyborczej" – pokazywanie się z tym czasopismem świadczyć miało o przynależności do inteligencji. Potrzeba potwierdzenia należenia do elity jest u wielu osób niezwykle silna, a zaszczepienie się i fanatyczne wspieranie „stanowiska nauki" (które tak naprawdę jest w większości kwestii dotyczących pandemii oraz szczepień wciąż niejednoznaczne) daje świadectwo bycia „oświeconym". To poczucie wyższości wzmacnia jeszcze wspierana przez wiele osób publicznych otwarta pogarda dla „foliarskiej ciemnoty". Nic tak nie podpompowuje ego człowieka zakompleksionego jak oficjalne potwierdzenie prawa do poczucia się lepszym i możliwość wyzywania jakiejś grupy od pariasów.

Problem polega na tym, że nasi oświeceni widzą, iż w innych państwach tacy jak oni dostali nie tylko unijny kod QR (unijny – toż samo to jest nobilitujące!), lecz także realne przywileje, które dają namacalne i twarde poczucie wyższości. Iluż zwolenników segregacji sanitarnej z prawdziwym zachwytem pisało o tym, że w Austrii czy we Francji musieli się legitymować certyfikatem szczepionkowym, żeby napić się kawy w lokalu, w Polsce tymczasem wciąż zacofanie i ciemnota – wejść do kawiarni czy restauracji może każdy! Takie odczucia – jak słusznie zauważa w przywołanym na początku liście prof. Kampf – bywały w wielu momentach historii podglebiem dla najgorszych zjawisk. Ale w przypadku segregacji sanitarnej jakoś nikt tych skojarzeń nie przywołuje, choć są całkiem oczywiste.

Jest też drugi powód, być może częstszy w przypadku polityków obozu rządzącego i jego zwolenników. To niechęć wobec grup, które nie chcą się podporządkować narzucanej przez państwo polityce. Prawo i Sprawiedliwość jest w swoim DNA ugrupowaniem – niezależnie od składanych czasami deklaracji – całkowicie antyliberalnym, a właśnie w kwestii polityki epidemicznej mamy konflikt pomiędzy podstawowymi wartościami: indywidualnie pojmowaną wolnością, w imię której każdy miałby prawo do własnej kalkulacji korzyści i strat, oraz narzucaniem przez państwo postępowania zgodnego z arbitralnie określanym dobrem wspólnym.

Dla zwolenników wszechmocy państwa istnienie niepokornych grup, odrzucających obowiązującą narrację, których zarazem nie da się prosto dopasować do sporu na linii PiS – PO, jest dużym problemem, a celem agresywnej polityki covidowej jest złamanie oporu.

Jest wreszcie trzeci czynnik, doskonale rozpracowany przez psychologię. Jeśli zainwestuje się dużo w jakieś przekonanie, ideę, wizję, to niezwykle trudno jest się z nich wycofać. Wiele osób, zestresowanych epidemią, wchodziło w rok 2021 z przekonaniem wytworzonym przez koncerny farmaceutyczne, polityków i covidocelebrytów, że szczepionki wyprowadzą ich na „ostatnią prostą". Że wystarczy przyjąć preparat, a nastąpi cudowny powrót do normalności. To się nie dzieje, widać wyraźnie, że szczepienia nie kończą epidemii, ale zmierzenie się z tym faktem dla wielu osób jest zbyt trudne. Dlatego potrzebują kozła ofiarnego, na którego mogą zrzucić niepowodzenie tej strategii. Tym kozłem zostali niezaszczepieni i antysanitaryści. To daje zawiedzionym nadzieję: normalność jest za rogiem, wystarczy spacyfikować nieposłusznych.

Jednakże jak w przypadku każdej rewolucji – a jest to rodzaj rewolucji – tak i tutaj można zawsze pójść o krok dalej. Tym krokiem dalej jest trzecia dawka szczepionki oraz kolejne. I tak jak zdrajcą sowieckiej rewolucji został niewystarczająco rewolucyjny Lew Trocki, tak tutaj zdrajcami zostaną ci, którzy przyjąwszy dwie dawki, nie będą mieli ochoty na trzecią albo przyjąwszy trzecią, będą się wzdragać przed czwartą. I tak dalej. Michael Gunner z pewnością bez wahania określi ich jako antyszczepionkowców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

Obserwuję unijne instytucje od lat i żadnych sanacyjnych ruchów nie widzę. Nie ma świadomości, że trzeba się zatrzymać, wprost przeciwnie. To, co stworzyła Unia Europejska, staje się coraz bardziej niewydolne – mówi prof. Ryszard Legutko, deputowany do Parlamentu Europejskiego

Prof. Ryszard Legutko: Unia Europejska przestała być wehikułem rozwoju

Kryzys na granicy polsko-białoruskiej wciąż eskaluje. Czy liderom unijnym uda się go wreszcie zażegnać? UE ma przecież narzędzia, by uporać się z białoruskim dyktatorem i pomóc nam w rozwiązaniu tego problemu.

PROF. RYSZARD LEGUTKO: Unia Europejska nie ma siły, by skutecznie oddziaływać na świat zewnętrzny. Nie mówię tylko o siłach zbrojnych. Jest sztucznym tworem, który powstał do współpracy gospodarczej i przekształcił się w unię polityczną, koncentrując się wyłącznie na własnych sprawach. W efekcie więcej problemów tworzy niż rozwiązuje.

Mówi pan, że UE nie jest podmiotem, który może zaangażować się w rozwiązanie kryzysu. Dlaczego?

W sytuacjach kryzysowych odzywają się tylko ci, którzy mają władzę – szefowie najsilniejszych państw europejskich. Ostatnio toczyły się rozmowy m.in. Emmanuela Macrona czy kanclerz Angeli Merkel z Aleksandrem Łukaszenką czy Władimirem Putinem. Ale kto ich do tego upoważnił? Nikt. Robią, co chcą, bo stoją na czele najsilniejszych państw. To pokazuje fałsz Unii, ponieważ Wspólnota jako całościowy organ niewiele może. Do tego dochodzi ambicja Unii, żeby mieć wspólną politykę zagraniczną. Horrendum. Takie kraje jak Polska, Czechy, Węgry nie mają wiele do powiedzenia, czasem rzucą nam na osłodę ciasteczko, byśmy za głośno nie krzyczeli.

Andrzej Duda stwierdził, że nie uznaje rozmów Merkel czy Macrona ani ewentualnych wniosków z nich płynących za wiążące.

Żadne rozstrzygnięcie nie może być przyjęte bez naszej zgody, bo jesteśmy w obecnej sytuacji krajem najbardziej narażonym. Każdy kryzys zarówno wewnętrzny, np. dotyczący wspólnej waluty euro, jak i obecna sytuacja na granicy, zawsze zaczyna się od kanclerz Niemiec czy prezydenta Francji. Dają sygnał, że odgrywają najważniejszą rolę. Dopiero później dołączają Komisja Europejska i Parlament Europejski, ale przecież nie w Brukseli jest realna władza. Ursula von der Leyen, przewodnicząca KE nie ma żadnej mocy do negocjowania z Putinem czy Łukaszenką.

Jaka jest dziś pozycja Łukaszenki na arenie międzynarodowej?

Jeszcze niedawno odliczano dni do jego definitywnego upadku. Było niemal pewne, że to koniec jego polityki, bo jego dyktatura została poważnie nadkruszona. Ja też tak mówiłem, ale byłem w błędzie. Dziś jego pozycja wzrosła i stał się jednym z ważniejszych polityków w Europie. Dzwonią do niego najważniejsi przywód-

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. MICHEL CHRISTEN/EP/EU

cy, mówi się, że coś ma dostać w zamian za zakończenie kryzysu migracyjnego, co później jest dementowane. Ale cały jest w grze i do tego jest mocnym graczem.

Od dawna Unię Europejską wiele dzieli. Dochodzi do sporów nie tylko o migrantów, lecz także o wspomnianą przez pana wspólną walutę, a nawet brexit. Przed Wspólnotą wciąż wiele wyzwań i problemów. Które są najistotniejsze?

Jest ich mnóstwo. Unia przestała być wehikułem rozwoju. To, co stworzyła, staje się coraz bardziej niewydolne. Przede wszystkim dlatego, że powstała unia polityczna, która uruchomiła wszelkie mechanizmy regulacyjne. Obserwujemy niebywały entuzjazm proekologiczny, który zaowocował ambitnymi planami przedstawionymi przez Fransa Timmermansa, holenderskiego wiceszefa Komisji Europejskiej, wzbudzającymi zaniepokojenie polityków w wielu krajach UE. To wydaje się przedsięwzięciem zbyt kosztownym i ekstrawaganckim.

Jak przekonuje Frans Timmermans, to niemożliwe, by Polska, której udało się osiągnąć największy rozwój gospodarczy oraz najniższe bezrobocie w UE, nie mogła być liderem zielonej transformacji. Czy rzeczywiście?

Nasz udział, jako całej UE, w emisji jest poniżej 10 proc., a więc stworzenie gospodarki bezemisyjnej bardzo uderzy w kraje Wspólnoty, ale w skali globalnej nie przyczyni się znacznie do spadku emisyjności. Uzasadnienie tej polityki jest szalone – mówi się, że UE musi dać lekcję ekologii całemu światu. Stawiamy się w pozycji prymusa, co jest niepoważne i niemądre. Żaden z ważnych polityków unijnych nie odważy się tego procesu przyhamować. Nie da się rozmawiać rzeczowo, bo presja ideologiczna jest silna. Z tym są związane też interesy – jeśli dążymy do tego, by w całej Europie wprowadzić gospodarkę bezemisyjną, to musimy pamiętać, że tylko nieliczne firmy mogą ten rynek zaopatrzyć w technologię.

Zatrzymajmy się na chwilę przy wspomnianych przez pana interesach poszczególnych krajów. Polska znalazła się pod pręgierzem, gdy Czesi wnieśli skargę do Trybunału Sprawiedliwości UE przeciwko nam w sprawie kopalni węgla brunatnego w Turowie. Tymczasem w Czechach i sąsiednich Niemczech kopalnie działają i mają się dobrze. I też, czego zdają się nie dostrzegać nasi sąsiedzi, wpływają na system cieków wodnych.

To kolejny problem Unii. Rodząca się oligarchizacja – wszystkie kraje są równe, ale niektóre równiejsze. Jeśli ktoś jest mocny, to wykorzystuje swoje możliwości i nie będzie z siebie robił św. Franciszka. UE jest opanowana przez lewicę, a ta wypowiedziała bezpardonową wojnę rządom prawicowym Polski i Węgier. Europejska Partia Ludowa, która pierwotnie miała być siłą konserwatywną w Europie, przestała nią być, przyjęła lewicową agendę jako swoją – włączając w to radykalny federalizm, a także „Fit for 55", czyli pakiet aktów prawnych pod wspólnym szyldem „Gotowi na 55" [55 odnosi się do 55 proc., czyli nowego celu przejściowego redukcji emisji w Unii Europejskiej na 2030 rok – przyp. red.] i całą ideologię LGBT.

Wszystko to zmierza, jak pan często mówi, do radykalnej restrukturyzacji Wspólnoty.

Rodzą się oligarchia i rodzaj wewnętrznej dyktatury. Chcą Polskę skolonizować, przywołując hasło praworządności. Zachodnia Europa uznaje narody Europy Wschodniej za dzikusów i głosi, że ma wyższą kulturę prawną. Stąd bierze się kolejny problem.

Jaki?

Napięcia między Europą Zachodnią i Wschodnią. Nie chcemy być traktowani jako gorsi. Często pytają mnie zachodni europarlamentarzyści: „O co wam chodzi? Przecież tyle dla was zrobiliśmy. Daliśmy wam najpierw Buzka jako szefa Parlamentu Europejskiego, potem Tuska jako przewodniczącego Rady Europejskiej. I jeszcze wam mało". Oni potraktowali Buzka i Tuska jako paciorki, za które winniśmy im posłuszeństwo.

Głos prawicy jest jednak coraz silniejszy w Europie.

Nie wiem, czy dojdzie do wyrównania tych sił. Wiem natomiast, że w polityce funkcjonują stałe mechanizmy, a więc musi zaistnieć równowaga i bez niej nie ma szans na budowanie dobrego ładu w Europie. Czy taka równowaga powstanie, zobaczymy. Możemy sobie wyobrazić, że we Włoszech będą przyspieszone wybory w przyszłym roku i prawica suwerennościowa obejmie rządy, a Marie Le Pen lub Eric Zemour wygra wybory we Francji, ale czy te scenariusze się zrealizują? Rzeczywistość lubi płatać figle. Siły suwerennościowe są widoczne w Europie, ale nie mają wystarczająco wpływowej reprezentacji w UE ani nie oddziałują na politykę swoich krajów. Są izolowane i – co ważne – nie mają swoich mediów w Europie Zachodniej. Polska jest tu ewenementem, dlatego co chwila potępiają nas w PE za sytuację medialną. Nie dlatego, że nie ma u nas wolnych mediów, ale dlatego, że właśnie jeszcze takie mamy.

W jakim kierunku zmierza Unia i jaki my, jako Polska, możemy mieć wkład w to, jak będzie wyglądała UE w przyszłości?

Obserwuję unijne instytucje od lat i żadnych sanacyjnych ruchów nie widzę. Nie ma świadomości, że trzeba się zatrzymać, wprost przeciwnie. Widzę ten integracyjno-federalistyczny amok – w PE, w KE, a także w TSUE. Nie należy się zatem spodziewać, że Unia się zreflektuje. Jeśli nie zrobiła tego po brexicie, to trudno oczekiwać, że to uczyni rychło. W Polsce wciąż jest duża sympatia do UE i nie ma przyzwolenia na kroki zmierzające do wyjścia z Unii. Musimy więc siły suwerennościowe w Polsce i poza nią mobilizować i cały czas opierać się postępującej oligarchizacji. Prawica europejska, a raczej prawice europejskie z różnych krajów powinny działać solidarnie i mocno przedstawiać alternatywną wizję europejskiej współpracy. Inaczej grozi nam despotyzm federalistycznej lewicy, ze wszystkimi tego konsekwencjami – szalejącą ideologią, cenzurą, indoktrynacją i wszystkimi grzechami, jakie starsi Polacy pamiętają z dawnych czasów.

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. DANIEL SZYSZ/REPORTER

Ciekawie dopiero będzie

Jacek Bartosiak

Tematem książki „Strollowana rewolucja" jest przeżywanie polskości w nowych czasach i podczas kolejnych przemian cywilizacyjnych

Przez wiele lat przymierzałem się – szczerze mówiąc, nadal się przymierzam, ale pewnie nigdy nic z tego nie będzie – do opisania historii pokolenia rozbiorów. W formie powieści, scenariusza serialu, eseju – to drugorzędna sprawa.

Fascynuje mnie, jak wiele mógł przeżyć człowiek urodzony, powiedzmy, w roku 1775. Jako wchodzący w życie młodzieniec łapał się na Konstytucję 3 maja i wojnę o nią, na hańbę sejmu grodzieńskiego i nadzieję insurekcji kościuszkowskiej, potem przeżywał katastrofę rozbiorów i porozbiorową depresję. Legiony, epopeję napoleońską, wzlot i upadek Księstwa Warszawskiego. Po nich kolejnego 3 maja mógł się cieszyć wraz z innymi z restytuowania Polski jako suwerennego Królestwa Polskiego, owszem, w personalnej unii z Rosją, ale przecież z własną konstytucją, prawami, sejmem i wojskiem, a wkrótce potem przeżywał wraz z innymi gorzkie rozczarowanie, gdy to wszystko okazało się pozorem. Mógł jako człowiek w sile wieku uczestniczyć w zrywie i upadku kolejnej insurekcji, dziś zwanej powstaniem listopadowym, obserwować późniejszą krzątaninę emisariuszy i spiskowców, zwieńczoną buntami Wiosny Ludów, a w końcu nawet ze zgrzybiałej starości, oglądając jeszcze katastrofę kolejnego powstania i falę represji po nim, grzebiących sprawę polską, jak miałby uznać, ostatecznie.

Cóż za emocjonalny roller-coaster! Ileż nadziei i rozczarowań, daremnych triumfów i nieostatecznych klęsk… A w tle tego wszystkiego cały świat zmieniał się nie do poznania, diametralnie. Z rolniczego w przemysłowy, z europejskiego w globalny, z monarchiczno-arystokratycznego w mieszczańsko-republikański, z uniwersum rycerskiego honoru w targowisko kupieckich i narodowych interesów".

Tak frapująco zaczyna się najnowsza książka Rafała A. Ziemkiewicza, który od razu w ten szczególny sposób wprowadza nas w nastrój niezbędny do tego, by połknąć całą pozycję z tzw. marszu.

eprasa.pl b04ffff7fd

Ziemkiewicz kontynuuje opowieść pod innym kątem: tym razem wątek wiedzie po kolejnych odsłonach i etapach własnego życia – od PRL począwszy, a na obecnych, coraz bardziej niespokojnych (i niepewnych) czasach kończąc. Puentując ciekawe otwarcie książki następującą konstatacją: „Z czasem doszedłem do wniosku, że mojemu pokoleniu dana została może wcale nie gorsza historyczna jazda".

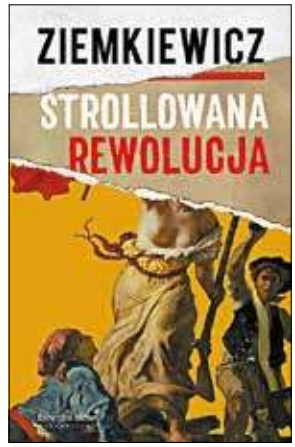

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„STROLLOWANA REWOLUCJA"
FABRYKA SŁÓW 2021

KOLEJNY KONIEC ŚWIATA

Od PRL do III RP. Od sowieckiej tyranii do dzisiejszego schyłku Zachodu, który Ziemkiewicz, jak przyznaje, stanowczo idealizował wcześniej w swojej młodości, od biedy lat 70. i 80. w Polsce Ludowej, przez wielkie zmiany III RP, wejście do Unii Europejskiej, integrację z Zachodem, aż do obecnego – jak pisze autor – postępującego zacofania zachodniej Europy względem chociażby Chin czy reszty świata. Upadek edukacji, wiedzy, postępy ideologii, nawet cenzury. Jak podsumowuje Ziemkiewicz – to kolejny „koniec świata", które to końce przychodzą co kilka pokoleń. A że „zmierzch zapada łagodnie", można „nie zauważyć końca imperium" jak w antycznym Rzymie. „Wszystko dzieje się tak niepostrzeżenie, że gdy nagle wybuchnie rewolucja, wszystkim wydaje się ona przyczyną, choć w istocie jest logicznym i nieuniknionym skutkiem. O tym właśnie będzie ta książka".

I o tym właśnie ona jest – o schyłku, o wielopoziomowym kryzysie, który na kolejnych stronach książki jest omawiany i rozbierany na czynniki pierwsze, o coraz większym towarzyszącym mu niepokoju.

Jest zatem o naszej cywilizacji, a dokładnie o europejskiej cywilizacji, o Zachodzie, o tym Zachodzie, o którym marzyli Polacy, a i sam autor chyba też, bo przeżywa właśnie nim namiętne rozczarowanie. Na tym Zachodzie, gdzie Ziemkiewicz, używając szczodrze swojego rzadkiego daru swobodnego, acz potoczystego pióra, zachodzi kumulacja zjawisk zwiastujących głęboki kryzys duchowy, w tym załamanie wiary cywilizacji samej w siebie. To miało otworzyć drogę „strollowanej rewolucji", tytułowej bohaterce książki.

Szerokim gestem dzieląc się z czytelnikiem wartkim tokiem myśli, odczuć, uczuć, wrażeń, diagnoz tak uporządkowanych i wyraźnie jeszcze nieuporządkowanych (ale którymi chce w swoim stylu dzielić się szczodrze z czytelnikiem), Ziemkiewicz przez kolejne rozdziały przedstawia swoje widzenie obecnego stanu naszej (zachodniej – europejskiej?) cywilizacji. A zły jej stan bije z ekranów komputerów, telewizorów, uderza nas głosem z YT, z naszych supersmartfonów, a nawet tu i ówdzie z tradycyjnych radioodbiorników. W tłoku bombardujących nas informacji Ziemkiewicz wyłapuje dla nas w swojej książce różnorakie „kwiatki", bogato obrazując przykładami to, czym się dzieli z czytelnikiem.

Nie we wszystkim zgadzam się z autorem, zwłaszcza w obyczajowych sprawach, które podnosi w książce. Uważam także, że nie wszystko jeszcze stracone, jeśli chodzi o europejską cywilizację. Jestem bowiem zdania, że europejska cywilizacja wcale nie jest pokojowa ani taka „eko", jak się wydaje obecnie. Przeżywa załamanie, owszem, ale jest wyjątkowa i ma zdolności do samoodbudowy lub nawet zmartwychwstania. Ta zdolność jest wpisana głęboko w to wszystko, co zbudowało Europę przez ostatnie dwa i pół tysiąca lat.

WOŁANIE O POLSKĘ

Pomimo że Ziemkiewicz dotyka niemal wszystkiego: rolnictwa, atomu, klimatu, parad i LGBT, energetyki, wojska, Zielonego Ładu, swojego ulubionego tematu elit, wreszcie demokracji i mediów, książka (jak większość jego książek, które miałem przyjemność czytać) jest wołaniem o Polskę z marzeń Rafała A. Ziemkiewicza. Zresztą to jest niemal wprost wyłożone na samym końcu książki.

Tematem jej w istocie jest zatem przeżywanie polskości w nowych czasach i kolejnych przemianach cywilizacyjnych. Wybija to z każdej strony tej książki napisanej językiem, który jak zawsze u Ziemkiewicza leci tak wartko i szybko, że zastanawiam się już któryś raz, czytając jego prace, jak można tak szybko składać pismem myśli kłębiące się przecież – zdaje się – z prędkością światła. Chciałbym tak umieć, ale to już inna opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Wydawnictwo bernardinum POLECA:

KS. JAROSŁAW PIŁAT
ADWENT
KOMENTARZE DUCHOWE NA KAŻDY DZIEŃ

Lektura tej pozycji to duchowa pomoc w codziennym przygotowaniu się do Świąt Bożego Narodzenia. Adwent jest czasem radosnego oczekiwania, a przede wszystkim przygotowaniem do przyjęcia niezwykłej bliskości z Bogiem.

Wydawnictwo „Bernardinum" Sp. z o.o.
tel. +48 58 531 64 81, kom. 662 014 683
www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl; zakupy@bernardinum.com.pl

eprasa.pl b04ffff7fd

Korpus Ochrony Pogranicza patrolujący okolice granicy z Rosją FOT. NAC

Granica II RP w ogniu

Maciej Rosalak

Sto lat temu – po wojnie 1920 r. i zawarciu pokoju w roku następnym – Rosja Sowiecka rozpoczęła z Polską niewypowiedzianą wojnę dywersyjną

Położenie II Rzeczypospolitej po zakończeniu walk o niepodległość, kształt terytorialny i ustrój państwa było nader trudne. Na całej, ok. pięciotysięcznokilometrowej granicy jedynie dwa krótkie jej odcinki – czyli z Łotwą i Rumunią – łączyły nas z krajami przyjaznymi. Stosunek Niemiec (długość wspólnej granicy – ponad 1900 km) i Czechosłowacji (prawie 1000 km) do polskiego państwa, które pojawiło się po pierwszej wojnie światowej i zburzyło „spokój" zaprowadzony przed wiekiem na kongresie wiedeńskim, był zdecydowanie wrogi. Prowokacje i przenikanie obcych agentów zdarzały się nader często.

Z kolei Litwini, Białorusini i Ukraińcy – jak się okazało po stu z górą latach, które upłynęły od rozbiorów I Rzeczypospolitej – mieli już całkiem odmienne aspiracje państwowe od Polaków. Litwini na przykład wysyłali z Kowna zbrojne grupy do napaści na polskich policjantów, a Ukraińcy po traktacie ryskim (1921) zaczęli się mścić, organizując już wtedy takie ataki terrorystyczne jak później UPA. Ale najbardziej zagrożona była granica ze Związkiem Sowieckim. Bez przesady można powiedzieć, że granica ta stanęła w ogniu.

BANDYTYZM PAŃSTWOWY

Rozległe tereny po obu stronach owej granicy (ponad 1400 km) od Dźwiny na północy do ujścia Zbrucza do Dniestru na południu były zniszczone walkami podczas pierwszej wojny światowej, rewolty bolszewików i ich agresji na Polskę. Panowały głód i wszelkiego rodzaju niedobory, dwory zostały w dużej mierze rozgrabione i zniszczone, a wioski popalone. Włóczyły się bandy dezerterów i zdemobilizowanych żołnierzy, ludność była zdemoralizowana poprzez mordy, grabieże i gwałty czerwonoarmistów, szerzyły się bandytyzm i przemyt. Przypomnijmy, że nawet obdarzony niepospolitym talentem literackim Sergiusz Piasecki został skazany na śmierć przez sąd doraźny w Lidzie za zbrojny napad na pasażerów kolejki do Wasiliszek. Na szczęście prezydent RP wziął pod uwagę jego zasługi dla polskiego wywiadu i w 1926 r. zamienił egzekucję na 15 lat więzienia. Interwencja pisarzy polskich przyniosła mu w 1937 r. ułaskawienie i dzięki temu mamy takie arcydzieła jak „Piąty etap", „Drogą pod mur" czy „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" – dające pojęcie o bezprawiu na naszych Kresach.

eprasa.pl b04ffff7fd

Jakby bezprawia było tu mało, sowiecka policja polityczna rozpoczęła niemal regularną wojnę dywersyjną przeciw Polsce. Kierował nią – mający odpowiednie doświadczenie z wojny lat 1919–1920 – Zarząd Wywiadowczy (Razwiedupr). Wspomagały go kolejno ponurej sławy Czeka i OGPU (Zjednoczony państwowy zarząd polityczny, 1923–1936). Na terytorium państwa polskiego służby te zakładały zakonspirowane placówki komunistyczne, aby szerzyły antypolską agitację i stanowiły oparcie dla grup dywersyjnych, szkolonych i uzbrajanych na terenie Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich (oficjalnie taką nazwę nadano Rosji Sowieckiej w 1922 r.).

Celem państwowego bandytyzmu była destabilizacja Rzeczypospolitej, z której istnieniem tuż za swoją granicą Sowieci nigdy się nie pogodzili. Przegrali z nią wojnę, podpisali traktat pokojowy, ale nadal stała im na drodze do zaniesienia „sztandaru światowej rewolucji" do zachodniej Europy. Pierwszym etapem tej drogi miało być wywołanie rebelii Białorusinów i Ukraińców przeciw władzom polskim i oderwanie wschodnich województw od II RP. Dywersanci napadali na polskie posterunki graniczne, policję, pociągi, siedziby władz administracyjnych, służbę leśną, majątki ziemskie, a nawet całe mniejsze miasta. Do początku 1924 r. takich napadów przeprowadzono ok. 200.

Największe nasilenie terroru na Kresach północno-wschodnich nastąpiło właśnie w 1924 r. Zarejestrowano wówczas 189 napadów rabunkowych i akcji dywersyjnych oraz 28 zamachów sabotażowych, w których uczestniczyły łącznie setki osobników. Na pewno część z nich trudniła się zwykłą przestępczością, ale – jak szacują badacze tego tematu – większość działała w ramach dywersyjnej akcji bolszewickiej. Destabilizacja żywiołu polskiego, który dominował na Wileńszczyźnie przed drugą wojną światową, nie miała większych szans powodzenia, ale zwłaszcza tuż po zakończeniu konfliktu 1920 r. wywoływała poczucie zagrożenia i niepokój. Historyk Michał Wołłejko („HDR" nr 9/2013) przywołuje pamiętnik Marii Wołłejko: „Wspominała ona, że gdy pojawiła się na Nowogródczyźnie u brata swego męża, który próbował z mozołem odbudowywać majątek i gospodarzyć, jej ogromne zdziwienie wzbudził widok pokoju, w którym tenże gościnnie mieszkał (dwór był spalony). Pomieszczenie było od podłogi po sufit wypełnione wszelakiego rodzaju bronią, w tym białą. Jak wyjaśnił, zamęczony zresztą później w sowieckim łagrze pod Archangielskiem, gospodarz, bogaty arsenał miał być pomocny na wypadek napadu, których wiele miało wówczas miejsce w okolicy.

Z bronią nie rozstawali się też pracownicy administracji państwowej na Kresach. »Przyjechawszy do Nieświeża jako urzędnicy cywilni, niechcący pełniliśmy przez pewien czas obowiązki garnizonu wojskowego. Trudno to inaczej określić, jeżeli bez przerwy zwłaszcza w nocy musieliśmy mieć broń przy sobie, gotowi na wszelkie ewentualności« – wspominał Zygmunt Domański".

ATAK NA STOŁPCE I POWOŁANIE KOP

Nocą z 3 na 4 sierpnia 1924 r. doszło do najbardziej spektakularnego ataku bolszewickich dywersantów: napadu na przygraniczne wtedy miasteczko Stołpce (w linii prostej – 70 km od Mińska). Ponad 50 wyszkolonych funkcjonariuszy pod dowództwem Stanisława Waupszasowa, do których przyłączyło się prawdopodobnie drugie tyle miejscowych komunistów, utworzyło cztery plutony uzbrojone nie tylko w karabiny i granaty, lecz także po trzy karabiny maszynowe w każdym. Szturmowały one jednocześnie starostwo, pocztę, stację kolejową, komendę i koszary policji oraz znajdujący się w ich pobliżu areszt. Mimo zaskoczenia i przewagi w posiadanej broni napad sowiecki nie powiódł się w pełni. W heroicznej obronie jeden policjant wraz z woźnym i urzędnikiem odparli napastników spod starostwa, którego budynek częściowo się spalił. Bolszewicy podpalili też, ale nie zajęli jej, komendę policji. Dworzec po zajęciu zniszczyli. Tu zaskoczeni policjanci nie stawili oporu. Z aresztu wypuścili uwięzionych – w tym komunistycznych przywódców białoruskich Josifa Loginowicza i Stanisława Martensa. W urzędzie pocztowym zrabowali pieniądze. Obrabowali też oczywiście wszystkie sklepy i ukradli konie.

Na huk wystrzałów z pobliskiej wioski Okińczyce ruszył na odsiecz kwaterujący tam pluton 26. Pułku Ułanów. Odparły ich serie sowieckich km-ów. Dopiero pojawienie się strażników granicznych skłoniło napastników do odwrotu. Daleko do domu nie mieli. Musieli się jednak spieszyć, bo zostawili w rękach Polaków dwóch kolegów oraz część zrabowanych rzeczy, broni i koni. Dzięki szybkiej obławie ujęto jeszcze kilku innych dywersantów. Z ich zeznań wynikało, że zostali wyszkoleni w Mińsku przez oficerów bolszewickich. Podczas napadu na Stołpce poległo siedmiu policjantów i trzy osoby cywilne. Pięć kolejnych osób było ciężko rannych. Bezczelny, zbrojny atak na naszym terytorium przyspieszył decyzję o utworzeniu Korpusu Ochrony Pogranicza. Wydano ją 12 września 1924 r., gdy premierem był – po raz drugi – Władysław Grabski.

Korpus Ochrony Pogranicza podlegał wprawdzie MSW, ale stanowił część składową polskich sił zbrojnych. W jego skład wchodziły brygady ochrony pogranicza oraz bataliony, kompanie i strażnice, a liczył od 25 do 30 tys. żołnierzy. Do służby wybierano najlepszych z najlepszych poborowych. Jednostki grupowano w trzech rzutach: strażnice przy linii granicznej; odwody kompanijne; odwody batalionowe wraz ze szwadronami kawalerii. Na pograniczu wschodnim wyodrębniono jeszcze brygady i pułki. Na przykład w końcu 1934 r. było tu sześć brygad: „Grodno", „Wilno", „Nowogródek", „Polesie", „Wołyń" i „Podole", pięć pułków: „Głębokie", „Wilejka", „Wołożyn", „Sarny" i „Czortków", 20 szwadronów kawalerii – w tym szkolny „Niewirków" – sześć kompanii saperów, 24 bataliony graniczne, pięć batalionów odwodowych. Takie siły i taka ich organizacja zapewniły nareszcie skuteczną ochronę Kresów. Wśród pierwszych zadań KOP wymieniono strzeżenie nienaruszalności znaków i urządzeń granicznych oraz zwalczanie przemytu i wykroczeń skarbowych, a także wykroczeń w zakresie postanowień o granicach państwa… I dziś są to główne zadania Straży Granicznej.

Pierwszym dowódcą KOP został gen. Henryk Minkiewicz (zamordowany w 1940 r. w Katyniu), a ostatnim – gen. Wilhelm Orlik-Rückemann, który na czele Zgrupowania KOP dał się we znaki sowieckiemu najeźdźcy pod Szackiem i Wytycznem pod koniec września 1939 r.

BOLSZEWICKIE EASTERNY

Minęło południe 24 września 1924 r., gdy pociąg z Brześcia nad Bugiem do Łunińca, na odcinku między Parachońskiem i Łowczą, został ostrzelany z karabinów. Tory zostały wcześniej wysadzone i maszynista musiał zatrzymać parowóz. Pociągiem jechało kilkunastu policjantów,

eprasa.pl b04ffff7fd

Skutki sowieckiego dywersyjnego napadu na Stołpce opisane przez tygodnik „Światowid" z 1924 r. U góry: trzej schwytani sprawcy FOT. DOMENA PUBLICZNA

ale też wojskowych i cywili posiadających broń. Mało kto odpowiedział ogniem. Strzelał i zginął żydowski kupiec. Strzelali jeszcze i zostali ranni: jeden policjant (o nazwisku, notabene, Dmowski) oraz senator z ramienia PSL „Piast" Bolesław Wysłouch. Części pasażerów udało się opuścić wagony. Wtedy 40 uzbrojonych napastników wdarło się do pociągu. Zabrali znaczną ilość pieniędzy wiezionych w wagonie pocztowym, a następnie obrabowywali pasażerów kolejnych wagonów. Istny eastern.

Napastnikami byli podwładni czekisty Kiryłła Ostrowskiego, a ich głównym celem była przewożona kasa. Ale gdy odkryli wojewodę poleskiego Stanisława Downarowicza, któremu towarzyszyli jeszcze biskup miński Zygmunt Łoziński oraz komendant okręgowy Policji Państwowej insp. Józef Mięsowicz, zapragnęli ich oraz policjantów z obstawy upokorzyć. Wedle świadectw niektórych współpasażerów wychłostali ich i kazali się im rozebrać. A wojewoda otrzymał – niby bilet wizytowy – kartkę z napisem: „Ataman Trofim Kalinienko, Kwatera Główna Timkowicze, dnia 24.IX.1924 roku". Oddział Ostrowskiego mimo pogoni uszedł do Związku Sowieckiego, a szef resortu spraw wewnętrznych Zygmunt Hübner, który przyjechał na Kresy, aby dokonać inspekcji powiatów leżących nad granicą, długo czekał w Łunińcu na pana wojewodę, senatora, biskupa i inspektora policji.

Kompromitacja władz Rzeczypospolitej – a w ich osobach państwa polskiego – była o wiele bardziej dotkliwa niż strata zrabowanych pieniędzy. Wojewodę i inspektora wprost zmiażdżyła krytyka prasy. Zwłaszcza że podczas napadu – zamiast organizować obronę – byli głównie zajęci ukrywaniem w przedziale kosztowności. Wojewodę, oskarżonego o „niegodną postawę", wkrótce zdymisjonowano.

Inny głośny wtedy napad na pociąg – 3 listopada 1924 r. pod Baranowiczami na Nowogródczyźnie – skrupulatnie opisuje meldunek sytuacyjny Dowódcy Okręgu Korpusu IX (za: Piotr Cichoracki, „Stołpce – Łowcza – Leśna 1924"):

„Kilku bandytów odczepiło lokomotywę i ustawiło na wagonie bagażowym karabin maszynowy. Grupa bandytów skierowała się ku tyłowi pociągu w widocznym celu zamknięcia odwrotu. Reszta rzuciła się do wagonów. Bandyci odbierali lepsze ubrania i rzeczy wartościowe. W zachowaniu się bandytów było wielkie zdenerwowanie. Zwłaszcza herszta bandy, który wpadłszy do przedziału, w którym siedział por. Słowiński, zapytał go: »Kapral czy wyższy?«. Na odpowiedź: »Jestem oficer«, krzyknął: »My za was krew tu przelewamy, a wy w polskiej armii służycie«. Przy tych słowach przyłożył oficerowi do głowy parabellum, lecz nie wystrzelił. […] W czasie rabunku został zabity przez herszta bandy jeden policjant, udający się służbowo do Baranowicz. Ochrony pociągu nie było. Wagon pocztowy i bagażowy zostały obrabowane. Rabunek trwał ok. 20 minut. Po rabunku część bandy cofnęła się w kilku kierunkach, druga zaś przyczepiła lokomotywę do pociągu i kazała maszyniście cofnąć się osiem kilometrów w tył, wsiadła do pociągu i odjechała. […] Banda liczyła ok. 40 ludzi. W skład jej wchodziły osoby od 18 do 43 lat. Wszyscy bardzo dobrze uzbrojeni. Każdy miał karabin rosyjski lub mauzer niemiecki, poza tym rewolwer lub pistolet – nagant lub parabellum. Amunicji mieli pod dostatkiem w skórzanych torbach przy boku. Poza tym bandyci mieli 3 rkm. Ubrani byli niejednolicie w paltach, kurtkach, frenczach. Posługiwali się przeważnie językiem rosyjskim. Niektórzy zwracali się do pasażerów po polsku. Herszt bandy: brunet, średniego wzrostu, szczupły, wąsy strzyżone po angielsku, włosy zaczesane w tył. Na twarzy blizna. Ubrany był w skórzaną kurtkę jak bolszewiccy komisarze".

Za zabójstwo policjanta i zranienie dwóch oficerów WP urządzono obławę wojska i nawet osaczono dywersantów. Większość wprawdzie zbiegła, ale ze schwytanych czterech rozstrzelano, a dalszych czterech skazano na dożywocie. Masowe aresztowania znacznie przerzedziły komunistyczną konspirację. Za ujęcie Waupszasowa i Ostrowskiego wyznaczono wysokie nagrody.

Apogeum sowieckiej dywersji przypadło na rok 1924, jakby po śmierci Włodzimierza Lenina (21 stycznia 1924 r.) bolszewicy postanowili dla uczczenia jego pamięci usunąć ze szczętem polską zawalidrogę. Potem fala agresywnych wystąpień zmalała, a kiedy w połowie 1925 r. stwierdzili, że z masowego ruchu partyzanckiego nic na Kresach nie wyjdzie, rozformowali oddziały dywersyjne i – choć spokoju na granicy nie dawali – zakończyli bandyckie wyprawy. Do czasu. 17 września 1939 r. ruszyli na nas milionową już bandą, z działami, czołgami i samolotami…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

Już jest piąty tom DZIEJÓW POLSKI!

Premiera w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie 30.11.2021 r.

Wchodzimy w czasy nazywane epoką królów elekcyjnych; w opisywanym czasie Rzeczpospolita trzykrotnie zmierzyła się z bezkrólewiem. Mimo burzliwych debat i już wtedy widocznych interwencji zagranicznych mocarstw, udawało się każdorazowo wybrać monarchę. Wewnątrz kraju coraz potężniejsze stawały się łączące się we frakcje rody magnackie, zewnętrznie pozostawało zagrożenie ze strony Moskwy. Mimo tych wyzwań ówczesną Rzeczpospolitą należy określić mianem imperium, ale – jak podkreśla Andrzej Nowak – jedynym w swoim rodzaju w historii ludzkości. Oparte ono było bowiem na wolności, na dialogu władcy z obywatelami (a nie poddanymi), na szukaniu konsensusu, na sile argumentów, a nie na argumencie siły. W sejmikach i sejmie wykuła się zupełnie unikatowa polska elita, emanująca swą kulturą na całą Europę. Również militarnie Rzeczpospolita weszła w okres świetności.

Czy polski król mógł zostać wówczas carem? Czy dzieje mogły potoczyć się inaczej? Czy wiktorię chocimską można było wykorzystać lepiej? Rozważania prof. Andrzeja Nowaka łączą historyczne fakty z wciąż aktualnymi problemami. Autor po mistrzowsku przedstawia nie tylko dzieje Polski, ale konfrontuje czytelnika z pytaniem o głębszy sens historii.

170 ilustracji, 488 str., 19,5 x 24 cm, twarda oprawa, tłoczenia, złocenia

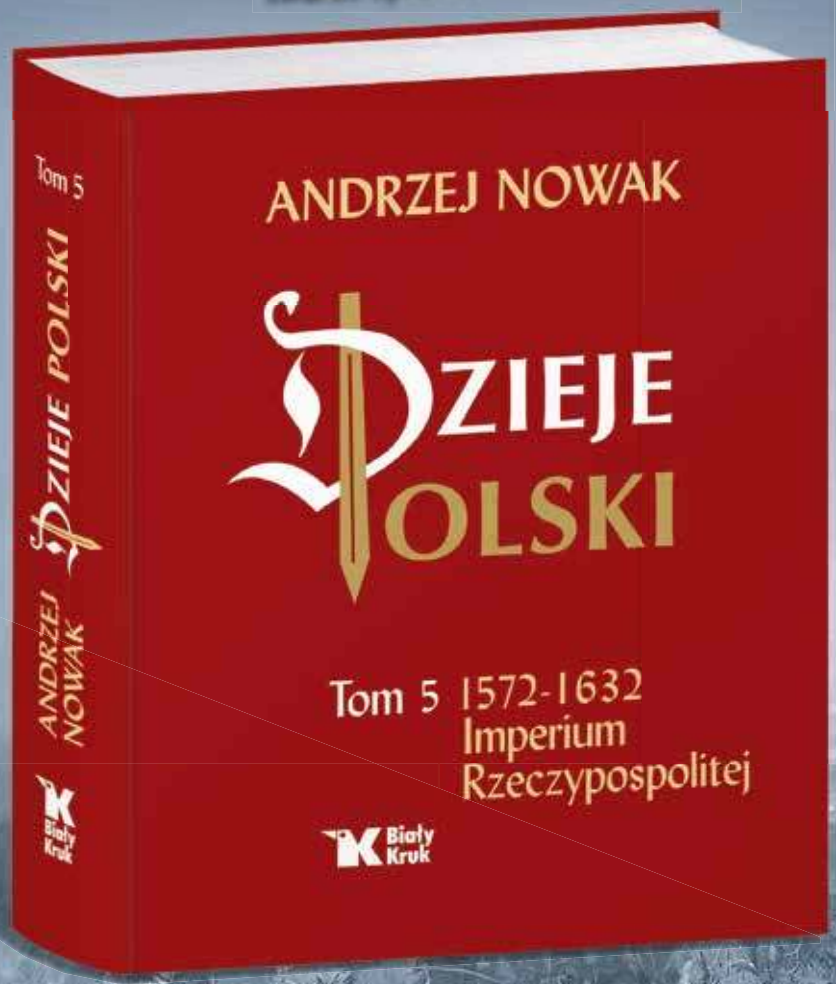

Dla czytelników „Do Rzeczy” 35% taniej!
Wejdź na stronę bialykruk.pl i wykorzystaj kod rabatowy WPIS35

ZAMÓWIENIA: 12/260 32 90, 12/254 56 04, 12/254 56 02 lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl.
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl b04ffff7d

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Masakra w Natolinie

Jestem pogrobowcem" – pisze prof. Tomasz Szarota w poruszającej monografii „Zapomniana egzekucja". Ojciec znanego historyka, Rafał Marceli Blüth, został zamordowany przez Niemców w listopadzie 1939 r. w Lesie Natolińskim pod Warszawą. Teraz, po 82 latach od tragedii, jego syn napisał o tej masakrze książkę.

W natolińskiej egzekucji zginęło 15 mężczyzn pochodzących z różnych grup społecznych. Większość została stracona za nielegalne posiadanie broni. Jeden przebywał na ulicy po godzinie policyjnej, inny zelżył Niemkę. Ojciec profesora został z kolei aresztowany, gdy w jego domu znaleziono maszynopis tłumaczonej przez niego – zabronionej w III Rzeszy – sztuki teatralnej oraz… dwie maski gazowe.

Profesor Szarota ze szczegółami opisuje egzekucję. Jej motyw, przebieg, a także prace ekshumacyjne, do których doszło dopiero w 1971 r. Ciała ofiar zostały znalezione przypadkowo, w trakcie poszukiwań szczątków prezydenta Stefana Starzyńskiego. Jednym z rozstrzelanych był hrabia Zdzisław Zabiełło. Ziemianin wywodzący się z Wielkiego Księstwa Litewskiego, który przed wojną gospodarzył w majątku Wilga w okolicach Garwolina. Hrabia został aresztowany przez gestapo w wyniku donosu swojego zarządcy Eugeniusza Sulerzyckiego. Poinformował on Niemców, że ziemianin… strzelał z broni myśliwskiej do lotników Luftwaffe. Było to oczywiście piramidalną bzdurą.

Niemcy w trakcie drugiej wojny światowej przelali w Polsce morze krwi. Grozę okupacyjnego terroru – lepiej niż operowanie wielkimi cyframi – oddaje jednak przedstawienie dramatycznych losów poszczególnych ofiar. Byłoby dobrze, żeby na temat każdej z dokonanych w Polsce zbrodni powstała tak znakomita książka jak „Zapomniana egzekucja" prof. Szaroty.

Niestety, zakończenie książki nastraja pesymistycznie. Profesor ujawnia, że swoją monografię planował zakończyć opisem uroczystego odsłonięcia pomnika ofiar w Natolinie. Niestety, nie było o czym pisać. Mimo usilnych zabiegów Tomasza Szaroty pomnik nie powstał. Książka trafiła do czytelników wcześniej… ©℗

★★★★★★
TOMASZ SZAROTA
„ZAPOMNIANA EGZEKUCJA. NATOLIN, LISTOPAD 1939"
BELLONA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ekshumacja Śmigłego i genetyka

Zawsze uważałem, że należy wymazywać białe plamy z dziejów Polski i dlatego głosiłem konieczność ekshumacji szczątków marsz. Śmigłego-Rydza. Chodziło nie tylko o wyjaśnienie, czy faktycznie go tam pochowano, lecz także o to, czy możliwe byłoby ustalenie przyczyn jego śmierci. Informacje na temat okoliczności zgonu są bowiem mocno podejrzane i stały się podstawą głoszenia różnych spiskowych teorii. Gdyby zresztą chociaż jedna z nich się potwierdziła, to dzieje Polski okresu okupacji należałoby napisać na nowo.

Gdy 15 listopada obecnego roku pod egidą IPN otwarto grób marszałka na Starych Powązkach, pierwsze relacje wskazywały, że mogiła faktycznie zawiera szczątki Śmigłego. Dużo więcej powiedzą jednak oględziny antropologiczne, a co ważniejsze – badania genetyczne, które mają być przeprowadzone w okresie późniejszym. I tutaj chciałbym zwrócić uwagę na pewien znamienny fakt. Marszałek nie miał dzieci, zatem logiczne wydaje się pobranie materiału genetycznego od kogoś z rodziny jego ojca, czyli potomków Rydzów z okolic Krakowa. Tylko że według moich podejrzeń głoszonych wraz z dr. Tymoteuszem Pawłowskim i zawartych w naszej biografii Śmigłego może dojść do pewnego paradoksu. Na Powązkach może faktycznie pochowano Śmigłego, ale badania genetyczne temu zaprzeczą. Według naszych podejrzeń Tomasz Rydz nie był biologicznym ojcem Śmigłego. Poślubił tylko jego matkę, dał dziecku swoje nazwisko i niebawem zmarł na gruźlicę.

W tej sytuacji jedyną możliwością przeprowadzenia wiarygodnych badań jest pobranie materiału genetycznego z grobu matki Śmigłego w Brzeżanach na Ukrainie. Mogiła Marii Babiak zachowała się do dzisiaj na tamtejszym cmentarzu i wydaje się, że nie byłoby z tym problemów, jeżeli oczywiście miejscowe władze wyraziłyby zgodę. Wydaje mi się, że jest to jedyna droga, by mieć pewność, kto spoczywał na Powązkach. Czy natomiast badania toksykologiczne szczątków marszałka coś wykażą, to inna bajka, mam bowiem wrażenie, że po 80 latach nie zachowały się ślady możliwe do odkrycia. Niektórzy bowiem uważają, że marszałek został otruty, a inni – że podawano mu środki, które doprowadziły do ataku serca. Jednak w latach 40. XX w. nie używano już arszeniku, a poza tym za ewentualną śmiercią Śmigłego stali wysokiej klasy fachowcy z ZWZ Grota-Roweckiego.

Natomiast to, dlaczego Tomasz Rydz prawdopodobnie nie był biologicznym ojcem marszałka, postaram się wyjaśnić w jednym z najbliższych numerów „Historii Do Rzeczy". ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

Wielki zielnik klasztorny

Co rośnie, kwitnie i dojrzewa wokół ciebie, powinno służyć zdrowiu. Żyć i maszerować równym krokiem wraz z naturą - to wspaniałe uczucie. Sadzić, zbierać, korzystać i chronić. Każdy dzień wzywa i zachęca - do dzieła!

ojciec Hermann-Josef Weidinger

WYDAWNICTWO AA

Dzieło można zamówić w księgarni internetowej:
www.Religijna.pl lub pod numerem tel. **12 345 42 00**

eprasa.pl b04ffff7fd

Ákos Engelmayer otrzymał nagrodę Strażnik Wartości, Custos Virtutum, ustanowioną przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Z Ákosem Engelmayerem, laureatem nagrody Strażnik Wartości, mieszkającym w Polsce węgierskim dziennikarzem, historykiem, wykładowcą i dyplomatą

rozmawia Jacek Przybylski

To jest wojna

JACEK PRZYBYLSKI: Jako weteran powstania węgierskiego i zrywu Solidarności w latach 80. ma pan na koncie już wiele odznaczeń i orderów, w tym choćby Krzyż Komandorski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej czy medal Polonia Mater Nostra Est. Kilkanaście dni temu został pan wyróżniony także nagrodą Strażnika Wartości. Czy te wartości są wciąż wspólne dla Węgrów i Polaków?

ÁKOS ENGELMAYER: Nie dla każdego Węgra i nie dla każdego Polaka. Wartości, które są mi bliskie, wyznają też moi polscy przyjaciele. To oczywiście nie znaczy, że są one ważne dla całego społeczeństwa węgierskiego czy polskiego.

Jakie wartości są więc dla pana najważniejsze?

Ojczyzna. Tradycja. Rodzina.

Dla wielu to już bardzo niemodne słowa. Sądzi pan, że w czasach budowy ponadnarodowego europejskiego imperium, w którym coraz więcej jest przeciwników tradycyjnie postrzeganej rodziny, te wartości mają szansę przetrwać?

Muszą przetrwać, bo inaczej koniec z nami. I chociaż ja już nie doczekam odpowiedzi, to z przerażeniem obserwuję to, co się teraz dzieje w Europie. Mimo wszystko chciałbym jednak wierzyć, że te wartości przetrwają, bo przez całe życie starałem się działać tak, by je chronić.

eprasa.pl b04ffff7fd

Polska i Węgry wydają się być jednak osamotnione wśród krajów Unii Europejskiej w walce o ojczyznę czy rodzinę. Może nie warto już walczyć o tradycyjną rodzinę czy pamięć o chrześcijańskich korzeniach Europy i skupić się na rozwoju wewnątrz unijnej wspólnoty?

Jako opozycjonista, a potem jako dyplomata walczyłem na rzecz członkostwa Węgier w Unii Europejskiej. To była jednak zupełnie inna Unia niż dziś. Nam nie o taką wspólną Europę wówczas chodziło. Unia Europejska przekreśliła cele jej założycieli, czyli chrześcijańskie korzenie. Co z tego wyniknie? Nie wiem. I tu nie chodzi jedynie o odpowiedź na pytanie, czy przyjmować setki tysięcy migrantów z krajów muzułmańskich czy też nie. Liberalne elity w Brukseli już doprowadziły do zniszczenia tysiącletnich fundamentów Europy. I to jest straszne!

Ja nie twierdzę, że ktoś niewierzący czy będący zwolennikiem lewicy nie przestrzega dziesięciu przykazań, bo może oczywiście nie kraść, nie mordować etc. Unijne władze podważyły jednak fundament naszego kontynentu.

Co czeka Europę bez fundamentu?

Jestem starym człowiekiem. Przeżyłem wiele zakrętów historii. I gdy teraz oglądam w telewizji organizowany przez reżim Łukaszenki atak migrantów na Polskę, to z jednej strony bardzo współczuję tym biednym ludziom, a z drugiej strony nie mam wątpliwości: to jest wojna!

Już kilka tygodni temu byłem przekonany, że w tym konflikcie chodzi o to, aby stworzyć dogodną sytuację dla Władimira Putina. Aby prezydent Rosji mógł zaoferować swoją pomoc w rozwiązaniu sporu i aby móc przekonać Zachód, że Moskwa jest niezbędna.

Zachodnie elity są aż tak naiwne?

Tak. Zachodni liderzy znowu zawodzą na całej linii. Tymczasem moim zdaniem mamy do czynienia z sytuacją porównywalną z Anschlussem Austrii w 1938 r., Monachium i okresem tuż przed zbrojną inwazją Niemiec i Rosji na Polskę. Straszne jest to, że mimo tamtych doświadczeń Zachód ze wszystkimi swoimi pięknymi słowami i wielkimi hasłami dziś znowu przegra. To dla mnie osobista tragedia.

Czy słowo „wojna" nie jest tu jednak przesadą?

Nie. To jest wojna. Pierwsza wojna światowa była inna niż wszystkie poprzednie konflikty. Wówczas Niemcy pierwszy raz w historii użyli na większą skalę gazów bojowych. Druga wojna światowa też była inna. Wtedy jej losy rozstrzygnęła bomba atomowa. Dziś broni nuklearnej nikt raczej nie użyje. Mamy jednak do czynienia z wojnami hybrydowymi, „zielonymi ludzikami" i dezinformacją na masową skalę. Nawet w gronie rodzinnym prowadziłem zacięte dyskusje o tym, czy należy otworzyć granicę dla migrantów. Ale chociaż los tych ludzi jest straszny, to nie ma wątpliwości, że Łukaszenka używa ich do prowadzenia wojny hybrydowej. Jeśli to jest wojna, to i są ofiary. A tę wojnę powinniśmy wygrać. Niestety jej nie wygramy.

Dlaczego?

Bo zachodnie elity usiądą do stołu z Putinem i zaczną rozmowy o gazie, o ropie naftowej, o konieczności promocji tolerancji i humanizmu. Prezydent Rosji bez skrupułów wykorzysta tę słabość Zachodu. Jego cel jest bowiem jasny: ponowne podporządkowanie Moskwie Europy Środkowej. Czy zaatakuje zbrojnie? Nie wiem i raczej tego nie dożyję.

Według mnie nadzieją dla naszej części Europy jest jeszcze postawa Polski i Węgier, które – choć popełniają czasami poważne błędy, o których nie chcę mówić – to jednak próbują przeciwstawiać się niszczeniu fundamentów Starego Kontynentu i walczyć z bolszewikami. Czy się uda? Nie wiem. Przekona się pan jednak szybko, że ustępstwa władz Unii Europejskiej na rzecz Putina i Łukaszenki to kwestia zaledwie kilku najbliższych tygodni.

Realizacja drugiej nitki gazociągu Gazpromu była tego zapowiedzią.

Tak.

Mimo to Węgrzy mają jednak inny stosunek do Rosji niż Polska. Ta sprawa może podzielić nasze narody?

Chyba nie. Przy czym ja oskarżenia o to, że Viktor Orbán jest promoskiewski, nie podzielam i nie rozumiem. Doświadczenia Polaków i Węgrów po drugiej wojnie światowej związane z sowiecką okupacją są niemal identyczne. Obchodziliśmy w tym roku 65. rocznicę krwawych wydarzeń na Węgrzech w 1956 r. Trzeba jednak brać pod uwagę, że Węgry są dużo mniejszym krajem niż Polska i są jeszcze bardziej zależne zarówno od rosyjskich surowców energetycznych, jak i od technologii związanej z obsługą sowieckich elektrowni atomowych. Budapeszt jest więc bardziej zależny od Moskwy niż Warszawa. Węgrzy wcale nie są jednak tak bardzo prorosyjscy, jak próbują to przedstawiać niektóre polskie media. Kilka lat temu popularna gazeta donosiła, że Putin złożył wizytę na Węgrzech – bardzo mi przykro, ale to prawda – i dodała, że przy tej okazji odsłonięto pomnik poległych sowieckich żołnierzy w 1956 r. Guzik prawda! W Ostrzyhomiu odsłonięto wówczas pomnik rosyjskich jeńców, którzy tu umarli podczas pierwszej wojny światowej. W niektórych polskich mediach ukazano to w taki sposób, aby zrobić z Orbána agenta Putina.

Przeraża mnie jednak to, jak bardzo prorosyjscy są członkowie skrajnie prawicowych ruchów jak Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen czy uczestnicy niedawnego skandalicznego antysemickiego marszu w Kaliszu. To są agenci sowieccy. Nie rosyjscy! Sowieccy! Jestem przekonany, że we wszystkich naszych krajach działają agenci sowieccy. I straszne jest to, że Zachód tego nie widzi i nie chce widzieć. Weźmy przykład pani kanclerz Angeli Merkel, która zgodziła się na budowę obu nitek gazociągu Gazpromu. Dlaczego to zrobiła? Bo tak wierzy w przyjaźń między narodami? A Gerhard Schröder? Niech pan sobie wyobrazi, co by było, gdyby po zakończeniu sprawowania rządów Orbán czy Morawiecki zostali zatrudnieni na wysokim stanowisku w Gazpromie. Przecież to wywołałoby burzę na całą Europę. Tymczasem poza byłym kanclerzem Niemiec Schröderem rosyjski gigant energetyczny zatrudnia też na wysokich stanowiskach innych znaczących polityków zarówno z Niemiec, jak i z Austrii. Otrzymując od Rosjan potężne wynagrodzenie, stają się sowieckimi agentami. Tymczasem zachodnia Europa woli przedstawiać w roli agentów Kaczyńskiego i Orbána.

Mówi pan, że celem Władimira Putina jest odzyskanie kontroli nad Europą Środkową. W 1956 r. Sowieci zbrojnie odzyskali panowanie nad Węgrami. Czy i tym razem spodziewa się pan militarnej interwencji na terenie Polski czy Węgier?

Myślę, że pierwszym celem dla Rosji będzie Ukraina. Według mnie ta cała awantura z Białorusią i tzw. kryzysem migracyjnym to przygotowanie do zbrojnej agresji na Ukrainę.

Pan brał czynny udział w antykomunistycznej rewolucji na Węgrzech, przez co dostał pan „wilczy bilet" i nie mógł pan studiować we własnym

eprasa.pl b04ffff7fd

kraju. Wojska sowieckie szybko krwawo stłumiły niepodległościowe dążenia Węgrów, a pan zamiast robić karierę, musiał dorabiać na życie jako zecer. Warto było aż tyle poświęcać dla krótkiego buntu przeciw bolszewikom i obrony wartości i tak stłumionych przez Rosjan?

Warto. Zawsze warto jest bronić własnych wartości. Walka o najważniejsze z tych wartości jest nie tylko prawem, lecz także obowiązkiem każdego uczciwego człowieka. To może być duże zaangażowanie, a może być jedynie skromne, np. wyrażające się w odmowie podpisania jakiegoś dokumentu, w nieprzystąpieniu do jakiejś partii etc. Sama chęć pozostania uczciwym człowiekiem to już bardzo dużo w walce ze złem.

Ja całe swoje życie starałem się takim człowiekiem być, choć muszę przy okazji powiedzieć, że cały czas miałem ogromne szczęście. W 1956 r., mimo udziału w powstawaniu węgierskim, nie zostałem skazany na więzienie. Mimo że komuniści stanowczo walczyli z „kontrrewolucją" i nie wolno było dobrze mówić o wydarzeniach z tamtych dni, to ja w latach 1961 i 1962 publicznie mówiłem na uniwersytecie o rewolucji z 1956 r. i podkreślałem wówczas, że ten ustrój przeżyję.

W latach 60. przyjechałem do Polski. Poznałem moją żonę, Krystynę, i tu studiowałem. Mogłem tu robić dużo więcej dla Węgier i kultury węgierskiej niż we własnej ojczyźnie, gdzie byłem tylko zwykłym robotnikiem, i to pod obserwacją służby bezpieczeństwa. W Polsce w zasadzie tylko raz byłem zatrzymany za działalność w antykomunistycznym podziemiu, ale skończyło się jedynie na straszeniu mnie przez esbecję. To, że zostałem ambasadorem Węgier w Warszawie, było zaś wielką, nieoczekiwaną przygodą. I chyba całkiem sporo udało mi się zdziałać.

Uczciwym człowiekiem był też prof. Wacław Felczak, patron Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej, który przyznaje teraz nagrody Strażnik Wartości...

Wacek Felczak za działalność w czasie wojny i po niej został skazany przez komunistów na dożywocie. Pamiętam, że moi przyjaciele poloniści – m.in. Istvan Kovács, czyli ojciec obecnej węgierskiej ambasador w Polsce – utrzymywali z nim bardzo bliskie kontakty. Ja wiedziałem, kim on jest, ale początkowo nie chciałem się do niego pchać, bo on – nie bez powodu – bardzo ostrożnie podchodził do tych Węgrów, którzy szukali z nim kontaktu. Dopiero pod koniec lat 70. spotkaliśmy się podczas posiedzenia wspólnej polsko-węgierskiej komisji historycznej w Warszawie. Od tego dnia się przyjaźniliśmy. Ilekroć z moją żoną jechaliśmy do Budapesztu, to zawsze zatrzymywaliśmy się u niego. Gdy przed śmiercią leżał w szpitalu, co tydzień jechałem z Podkowy Leśnej do Krakowa, aby go odwiedzić. Wacław Felczak opowiadał nam wiele o swoich doświadczeniach z czasów konspiracji. Z książki „Profesorowie UJ w aktach UB i SB" dowiedziałem się też, że prof. Felczaka obserwował m.in. jeden z jego krakowskich kolegów, który regularnie bywał u niego w mieszkaniu. Po 1989 r. Wacław Felczak otrzymał te wszystkie materiały, ale zastrzegł je na kolejne 30 lat. Nie potrafiłem tego zrozumieć i nadal nie rozumiem. Dopiero od Wałęsy otrzymał tytuł profesora. Wówczas zorganizowałem dla niego uroczystość w rezydencji, na którą – na jego prośbę – zaproszeni byli niemal wyłącznie Węgrzy. Po kilku minutach jego przemowy zorientowaliśmy się, że ogłasza właśnie swój polityczny testament, w którym odnosił się do Węgier, Polski etc. Wcześniej wygłosił podobny wykład dotyczący przyszłości współpracy wyszehradzkiej w Krakowie.

6 października 1993 r. – w dniu tradycyjnej żałoby narodowej na Węgrzech, związanej z rocznicą egzekucji w roku 1849 13 generałów węgierskiej Wiosny Ludów oraz premiera pierwszego niezależnego rządu węgierskiego, hrabiego Lajosa Batthyánya – Wacława Felczaka zabrano do szpitala. Zmarł 23 października, a więc w rocznicę wybuchu powstania węgierskiego w 1956 r.

Na jego pogrzebie na Cmentarzu Zasłużonych na Pęksowym Brzyzku w Zakopanem w kolejce do mikrofonu stał wówczas przede mną starszy pan, który strasznie się denerwował. Gdy zaczął mówić, szybko zorientowałem się, że to Stanisław Marusarz [polski skoczek narciarski, czterokrotny olimpijczyk i podporucznik Armii Krajowej – przyp. red.], który podobnie jak Wacław Felczak w czasie wojny był kurierem tatrzańskim. Opowiedział, jak po ucieczce z gestapowskiego więzienia kierował się przez Tatry na Węgry. Zobaczył na śniegu ślady nart prowadzące do szałasu, wyjął pistolet i krzyknął: „Hände hoch", bo był przekonany, że to Niemcy. Jak się okazało, przypadkowo wymierzył wówczas do swojego dowódcy... Wacława Felczaka. To, że podniósł broń na własnego dowódcę z czasów okupacji, musiało go męczyć przez dziesiątki lat, bo gdy tylko opowiedział tę historię na pogrzebie i przeprosił za to zmarłego Wacława Felczaka, sam też nagle upadł, dostał zawału serca i umarł na moich rękach. Dla mnie postać prof. Felczaka to najlepszy symbol relacji polsko-węgierskich i symbol tego, że o pewne wspólne wartości warto walczyć i trzeba walczyć.

Profesor Felczak jest patronem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej w Warszawie i Fundacji im. Wacława Felczaka w Budapeszcie...

Takie instytucje są bardzo potrzebne. Cieszę się, że wspierają one nie tylko oficjalne inicjatywy, lecz także wiele oddolnych działań ludzi. Bo to jest największa rzecz, gdy na rzecz przyjaźni między naszymi narodami działają nie tylko ambasady czy instytuty, lecz także zwykli ludzie.

Ja jestem tego dobrym przykładem. Całe moje życie, choć – jak wspominałem – miałem w jego trakcie bardzo dużo szczęścia, konsekwentnie starałem się działać na rzecz wartości.

W ramach akcji dożywienia węgierskich dzieci w latach 1947–1948 byłem w Holandii. Miałem 10 lat i kilka przygód, które opisywała holenderska prasa. Jeden z artykułów, który posiadam, kończy się informacją o tym, że recytowałem wiersz po węgiersku. Była to „Pieśń narodowa" Sándora Petöfiego, od której odczytania rozpoczęła się węgierska Wiosna Ludów i który kończy się słowami: „Przysięgamy, że nigdy niewolnikami nie będziemy". Nie wiem, dlaczego jako 11-letnie dziecko wybrałem właśnie ten wiersz. Ale od małego byłem i nadal jestem „zwierzęciem politycznym".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ IM. WACŁAWA FELCZAKA

eprasa.pl b04ffff7fd

Czytaj Słowo z najlepszym przewodnikiem – seria *Katolicki Komentarz do Pisma Świętego*!

„Oto wreszcie możemy zaoferować przeciętnemu czytelnikowi komentarz bardzo rzetelny, napisany pięknym, zrozumiałym językiem, a zarazem głęboki pod względem treści duchowych”. BIBLISTKA, **Danuta Piekarz**

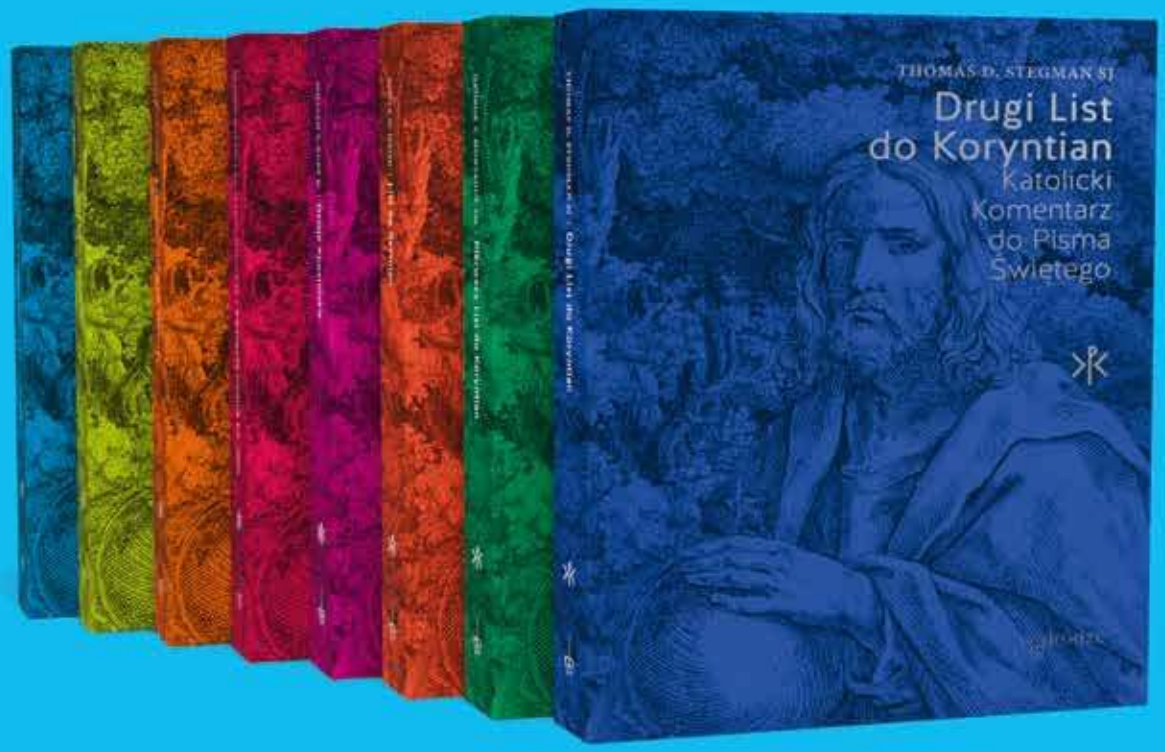

w|drodze

Dla czytelników „Do Rzeczy” specjalna cena 350 zł za 8 tomów serii (oszczędzasz 90 zł).
Przy zakupie na wdrodze.pl, wpisz kod rabatowy: komentarz *

wdrodze.pl | sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 61 101 47 27

* oferta ważna do 5.12.2021 r.

eprasa.pl b04ffff7fd

Podział graniczny

Dominika Ćosić z Brukseli

Kryzys na granicy polsko-białoruskiej uwypuklił stare i pokazał nowe podziały wewnątrz Unii Europejskiej. Jednym z nich jest podejście do kwestii polityki migracyjnej, drugim – świadomość zagrożenia ze strony Rosji i Białorusi

Choć teoretycznie cała wspólnota zdaje sobie sprawę z powagi kryzysu i potępia hybrydowe ataki przeciwko Polsce, Litwie i Łotwie, to jednak świadomość zagrożenia jest zróżnicowana i inaczej definiowane jest jego źródło. O ile południe Europy i europejska prawica widzą to w kategorii niekontrolowanego napływu imigrantów, o tyle dla wschodu i północy UE to przede wszystkim coraz większe niebezpieczeństwo ekspansji nawet militarnej Rosji.

Przez kilka pierwszych miesięcy tego kryzysu niespecjalnie przebijał się on do europejskiej i światowej opinii publicznej. Temat był nośny jedynie w Polsce, na Litwie, Łotwie i częściowo w Estonii. Kiedy już zaczął się pojawiać w doniesieniach medialnych, to głównie pod kątem sytuacji samych migrantów i w kontekście kryzysu migracyjnego i humanitarnego. Coraz częściej pojawiały się oskarżenia pod adresem przede wszystkim polskich służb o brutalność i bezduszność. Zagraniczni dziennikarze krytykowali Polskę za niedopuszczanie w pobliże granicy mediów i organizacji pozarządowych. Jednak we wrześniu Komisja Europejska, a przede wszystkim jako pierwsza komisarz ds. migracji i polityki wewnętrznej Ylva Johansson zaczęła mówić o wykorzystywaniu migrantów przez reżim białoruski jako broni w celu destabilizowania sytuacji. Przy tej okazji pojawiało się także zawsze wezwanie do przestrzegania praw człowieka. Od tej pory określenie „ataki hybrydowe" stało się częścią oficjalnej narracji instytucji unijnych.

KRYZYS POLITYCZNY

Dopiero ostatnie dwa tygodnie przyniosły zmianę nastawienia. Po próbach przedarcia się na teren Polski białoruskich „zielonych ludzików" i zwłaszcza po kolejnych masowych szturmach migrantów na polską granicę dostrzeżono mocno ten inny punkt widzenia – kryzys polityczny, nie humanitarny, jak to przyznała nawet przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen.

Znamienne jednak, że ta wiedza nie do wszystkich krajów jednakowo dotarła. Zagrożenie ze strony nielegalnej migracji (przy pełnej pomocy Rosji i Białorusi) dostrzegły przede wszystkim kraje leżące na granicach zewnętrznych UE: Grecja, Włochy, Hiszpania, Węgry, Chorwacja, Słowenia, Litwa, Łotwa, Estonia. Wszystkie one narażone są na masową nielegalną imigrację, stąd wyrazy solidarności ze strony na przykład Grecji i jednoczesne wezwanie instytucji unijnych do udzielenia pomocy Polsce.

Inną postawę przyjął np. Luksemburg, którego premier Xavier Bettel podczas październikowego unijnego szczytu emocjonalnie oświadczył, że Unia nie może dawać wspólnych pieniędzy na budowę czegoś tak odrażającego jak mury i zasieki na granicach zewnętrznych, które wywołują najgorsze skojarzenia, i że sam pomysł jest niehumanitarny. Luksemburg jest w tej szczęśliwej sytuacji, że największa mniejszość narodowa tam to przecież Europejczycy – Portugalczycy, świetnie zintegrowani. Nie było też tam żadnego zamachu terrorystycznego.

Jednak już na przykład Holandia, która obawia się masowej imigracji, przychyla się do stanowiska polskiego. Ten kraj obok Niemiec jest jednym z najbardziej popularnych kierunków docelowej migracji. Biorąc pod uwagę silne nastroje antyimigranckie w społeczeństwie holenderskim, rząd Marka Ruttego przynajmniej powstrzymał się od krytykowania Polski.

Ciekawa sytuacja jest z Francją, której większość mediów początkowo bardzo krytykowała postawę Warszawy, ale w ciągu ostatnich dni zmienia zdanie, co widać choćby po serii tekstów

eprasa.pl b04ffff7fd

Dopiero we wrześniu Komisja Europejska atak na polską granicę zaczęła uznawać za kryzys polityczny. Na zdjęciu: Ursula von der Leyen, szefowa KE FOT. MATHIEU CUGNOT/EP/EU

w np. „Le Figaro". Na zmianę stanowiska wpłynęły wydarzenia z ostatniego tygodnia, a także tocząca się już kampania przed zaplanowanymi na wiosnę wyborami parlamentarnymi. Jednym z głównych tematów kampanii jest polityka migracyjna, w przypadku Francji związana z walką z radykalnym islamem i terroryzmem. Kandydaci związani z prawicą Marine Le Pen i Éric Zemmour, a nawet Michel Barnier potępili szturm migrantów na granicę. Le Pen wzywała władze francuskie do udzielenia Polsce zbrojnej pomocy. Z kolei Zemmour pisał o broniącej Europy Polsce i przez tę Europę krytykowanej. Te opinie, a także popularność obojga polityków wymusiły także na Macronie i jego rządzie zmianę tonu. Tym bardziej że według sondaży ponad 60 proc. obywateli francuskich popiera działania polskiego rządu.

Podobnie jest w Niemczech czy Austrii, której wielu obywateli publicznie dziękuje Polsce za ochronę europejskich granic. I tamtejsi prawicowi politycy krytykują własne rządy za złą politykę migracyjną.

NA RUBIEŻACH I W ŚRODKU

W pewnej grupie państw kryzys jest postrzegany jeszcze inaczej – przez pryzmat coraz bardziej inwazyjnej polityki Białorusi, czyli faktycznie Rosji. To zrozumienie przejawiają głównie kraje z byłego bloku wschodniego, które znają metody i mentalność rosyjskich polityków i obecny kryzys przy granicy odbierają jako rodzaj zasłony dymnej, która ma odwrócić uwagę od prawdziwych planów Kremla. Tak to widzą na przykład Czechy (zaproponowały Polsce przysłanie wsparcia militarnego), Słowacja oraz Litwa, Łotwa i Estonia. Minister spraw zagranicznych Litwy Gabrielius Landsbergis trafnie zauważył, że Białoruś i Rosja, grając eskalowaniem kryzysu migracyjnego, chcą udowodnić, że UE jest albo nieludzka i bezwzględna wobec imigrantów, albo słaba.

W przypadku Łotwy i Estonii potencjalnym problemem jest spora mniejszość rosyjska i już teraz rozważany jest wariant prowokacji z tym związanych – na przykład sfabrykowany atak na Rosjan w jednym z tych krajów, który sprowokowałby manifestacje ludności rosyjskiej proszącej Rosję o „pomoc".

Szwecja i Finlandia także wiedzą, że groźniejsze od wywołanego kryzysu migracyjnego są po prostu Rosja i wykonująca za nią brudną robotę Białoruś. Fiński minister spraw zagranicznych ostatnio powiedział, że to nie kryzys migracyjny jest problemem, lecz Białoruś i Rosja, które chcą podzielić UE za pomocą wykreowanego przez siebie kryzysu politycznego o potencjale militarnym.

Kryzys przy granicy z Białorusią sprawił, że odżył temat uwspólnotowienia polityki migracyjnej, a także dotyczącej granic. KE wręcz zaczęła Polsce stawiać ultimatum – w zamian za pieniądze na budowę zabezpieczeń chce, by w rejon przygraniczny mogli się udać i zaczęli tam pracować urzędnicy Frontexu, a także by Polska zrezygnowała z odrzucania migrantów z granicy. Część polityków zaczęła wręcz mówić, że problemu nie byłoby na taką skalę, gdyby to UE zajmowała się ochroną granic zewnętrznych. Bardzo to naiwne przekonanie, bo Rosja i tak zrobiłaby to, co chciała. I wreszcie – kto zarządzałby całym systemem? Czy nie byliby to politycy, którzy uznaliby, że trzeba wpuścić wszystkich?

CZY WARTO ROZMAWIAĆ?

Kanclerz Angela Merkel w sprawie tego kryzysu najpierw zadzwoniła do Putina, który odesłał ją do Łukaszenki. Rozmowa odchodzącej niemieckiej kanclerz z Łukaszenką to de facto uwiarygodnienie białoruskiego dyktatora, którego wyboru na prezydenta UE nie uznaje. W dodatku w następstwie tej rozmowy Mińsk nie tylko nie wycofał się ze swoich działań, lecz wręcz je zintensyfikował, upokarzając tym samym i Niemcy, i UE.

Zatem na istniejące już podziały wewnątrz UE nałożyły się teraz nowe. Bo choć teoretycznie cała UE potępia działania Białorusi, to daje się wyczuć podział na kraje graniczne, które boją się fali niekontrolowanej imigracji i chciałyby bardziej zdecydowanych działań, i kraje mniej tym zainteresowane. Jest także podział na kraje jako główny problem postrzegające samo zjawisko niekontrolowanej imigracji, kolejne fale migrantów i wreszcie pozaeuropejskich migrantów jako zasadniczy problem i kraje, które boją się imperialnej polityki Rosji. W zbiorze wspólnym poza Polską są kraje z naszej części Europy – Czechy, Litwa, Łotwa i Estonia. Wystarczy porównać reakcje na przykład Marine Le Pen i polityków skandynawskich. Le Pen krytykuje instytucje unijne przede wszystkim za to, że wciąż nie dość się troszczą o uszczelnienie granicy zewnętrznej i nawet utrudniają pracę Polsce. Skupia się w tym na krytykowaniu samego zjawiska, mniej jego przyczyn. Z kolei dla polityków litewskich to wciąż za mała aktywność instytucji unijnych i zbytnie pobłażanie reżimowi w Mińsku.

SZUKAĆ SPRZYMIERZEŃCÓW

Polska powinna teraz szukać sprzymierzeńców, odwołując się do argumentacji dostosowanej do danego kraju. I zacząć mocniej szerzyć swoją wersję wydarzeń. Przegrywając wojnę informacyjną, przegramy o wiele więcej. Zdają sobie z tego sprawę i szef naszej dyplomacji, i premier Mateusz Morawiecki, który podjął ofensywę dyplomatyczną, osobiście spotykając się z przywódcami Litwy, Łotwy i Estonii, następnie Węgier, Czech i Słowacji itd. Jednocześnie Polska prowadzi wciąż rozmowy z krajami, które są źródłem nielegalnej imigracji. Temu także służyło spotkanie w Warszawie premiera z szefem OECD.

Z jednej strony Polska stara się zapobiec eskalacji kryzysu imigracyjnego, z drugiej – zaczęła wreszcie pokazywać swoją wersję wydarzeń. I to jest bardzo istotne, bo – jak powiedział mi jeden z włoskich dziennikarzy – mało który rząd ośmieli się krytykować Polskę za odsyłanie imigrantów, gdy prawie wszystkie rządy krajów europejskich robią to samo: od Grecji, przez Włochy i Chorwację, do Francji i Wielkiej Brytanii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. SEAN KRAJACIC/POOL/GETTY IMAGES

Niewinny, ale winny

Piotr Włoczyk

Głośny proces Kyle'a Rittenhouse'a pokazał, że w kwestiach rasowych lewa strona amerykańskiej sceny politycznej za nic ma fakty. Liczy się tylko ideologia – biały mężczyzna z bronią to prawie na pewno rasista i dlatego musi być winny

Największe amerykańskie media i politycy Partii Demokratycznej wydali wyrok od razu. Siedemnastoletni Kyle Rittenhouse, który w sierpniu zeszłego roku zastrzelił podczas zamieszek w mieście Kenosha dwie osoby, musiał być białym suprematystą. W tej opowieści zastrzeleni byli pokojowymi demonstrantami, którzy podczas manifestacji w obronie praw czarnej ludności zostali napadnięci przez ziejącego nienawiścią białego nastolatka z karabinem półautomatycznym. Wydanie takiego wyroku było tym łatwiejsze, że Kyle Rittenhouse dał się poznać w mediach społecznościowych jako osoba wspierająca służby mundurowe, a na dodatek zwolennik Donalda Trumpa. Joe Biden z miejsca ogłosił wówczas na Twitterze, że Rittenhouse to biały suprematysta.

Piętnaście miesięcy po tragicznych wydarzeniach z Kenoshy lewa strona amerykańskiej sceny politycznej, na czele z Joe Bidenem, przeżyła szok. Ława przysięgłych była jednomyślna w tej sprawie: Kyle Rittenhouse jest człowiekiem niewinnym. Zabicie dwóch osób protestujących pod flagami Black Lives Matter i ranienie trzeciego mężczyzny nie było morderstwem – jak chciała to przedstawić prokuratura – lecz była to samoobrona. Siedemnastolatek strzelał nie dlatego, że chciał pozabijać przeciwników politycznych, tylko dlatego, że zaatakowany przez nich poczuł zagrożenie życia. Było to oczywiste dla każdego rozsądnego człowieka, który widział nagrania pokazujące te wydarzenia (były one dostępne w Internecie niemal od razu).

SĄD SĄDEM...

Po decyzji ławy przysięgłych Joe Biden musiał w końcu usłyszeć od dziennikarzy pytanie, na które na pewno nie miał ochoty odpowiadać: „Czy wciąż uważa pan, że Kyle Rittenhouse to biały suprematysta?". Amerykański prezydent powiedział, że wprawdzie nie podoba mu się ten wyrok, jednak dla niego jest to koniec sprawy. „Uznaję to, co orzekła ława przysięgłych. Ten system działa i trzeba go szanować" – odpowiedział, wyraźnie niechętnie, Joe Biden.

Takie podejście ewidentnie jednak nie jest normą ani w Partii Demokratycznej, ani w czołowych amerykańskich mediach, ani też tym bardziej wśród lewicowych aktywistów. Gubernator Kalifornii Gavin Newsom, gwiazda demokratów, ogłosił

eprasa.pl b04ffff7fd

po decyzji ławy przysięgłych: „Ameryka obecnie: możesz łamać prawo, nosić broń przeznaczoną dla wojska, strzelać i zabijać ludzi, a i tak ujdzie ci to płazem".

Tiffany Cross, gwiazda publicystyki stacji MSNBC, powiedziała z kolei, że oburza ją „fakt, że biali suprematyści chodzą sobie spokojnie po Kongresie i popierają tego małego morderczego białego suprematystę, a także fakt, że może on chodzić po ulicach jako wolny człowiek".

CNN, jak zwykle w takich sytuacjach, również bardzo krytycznie przedstawiało efekt procesu Rittenhouse'a. John Blake, producent CNN, który przygotowuje materiały na tematy rasowe, napisał z tej okazji tekst pt. „W dzisiejszej Ameryce nie ma niczego bardziej przerażającego od wściekłego białego mężczyzny". „Ostatnie wydarzenia przekonały mnie, że czas, by wytoczyć proces wizji białej męskości, która pozwala niektórym białym mężczyznom czuć się tak, jakby mogli rządzić i dokonywać gwałtów bez jakichkolwiek konsekwencji" – czytamy w tekście Blake'a, który ukazał się na stronie internetowej CNN. Podobny przekaz można było usłyszeć z ust prowadzących główne programy publicystyczne w CNN, którzy stawali na rzęsach, żeby pokazać, że niewinność Rittenhouse'a to tak naprawdę koronny argument przemawiający za koniecznością przebudowy amerykańskiego systemu sprawiedliwości. Prawo do samoobrony musi być ograniczone, by biali nie mogli w ten sposób uciekać sprawiedliwości.

Uniewinnienia nastolatka nie mógł nie skomentować Colin Kaepernick, zawodnik NFL, który zapoczątkował gest klękania na jedno kolano: „Właśnie byliśmy świadkami tego, jak system bazujący na białej supremacji dał zielone światło aktom terroru w wykonaniu białego suprematysty. To kolejny dowód, że trzeba obalić nasz obecny system. Biała supremacja nie może być zreformowana".

KARABIN I APTECZKA

Jak w rzeczywistości wyglądał ten „akt terroru w wykonaniu białego suprematysty"? Ława przysięgłych nie miała w tej sprawie wątpliwości: Kyle Rittenhouse nie pojawił się ze swoim karabinem na ulicach Kenoshy po to, by zabijać protestujących pod flagą BLM. Śmierć 36-letniego Josepha Rosenbauma i 26-letniego Anthony'ego Hubera była efektem prawa do samoobrony. Rittenhouse wyszedł tego dnia na ulice Kenoshy nie tylko z karabinem, lecz także z apteczką i – jak zeznawali świadkowie – tuż przed tragicznym zajściem udzielał pomocy medycznej rannym protestującym. Chłopak dołączył do grupy uzbrojonych mężczyzn, którzy stali przy głównej ulicy miasta, by zabezpieczyć stojące przy niej budynki przed zniszczeniem (w ciągu poprzednich dwóch nocy tłumy demonstrantów demolowały centrum miasta, podpalając samochody i budynki).

Na umieszczonym na YouTube nagraniu z tamtego wieczora Rittenhouse opowiadał w rozmowie z lokalnym dziennikarzem, że wyszedł na ulicę, by pomagać ludziom. „Jeżeli ktoś jest ranny, to ja lecę na miejsce, choćby było niebezpiecznie. Dlatego mam karabin – oczywiście muszę się zabezpieczyć. Ale mam też ze sobą apteczkę".

W pewnym momencie nastolatek odłączył się od grupy uzbrojonych mężczyzn. Na nagraniu widać, jak goni go Joseph Rosenbaum (36-latek skazany za molestowanie dzieci, który w więzieniach spędził 14 lat), po czym rzuca się na niego. Rittenhouse wystrzelił do niego wówczas z bardzo bliskiej odległości, zabijając go na miejscu. Nastolatek rzucił się do ucieczki, widząc, że w jego stronę biegnie większa grupa protestujących. W pewnym momencie jednak potknął się i wywrócił. Wówczas Anthony Huber zaczął go okładać po głowie deskorolką, a stojący obok mężczyzna zaczął wyciągać swój pistolet. Rittenhouse wystrzelił najpierw do Hubera (zmarł wkrótce w szpitalu), a następnie postrzelił w rękę mężczyznę z bronią. Widząc to, reszta demonstrantów, która biegła za nastolatkiem, rozpierzchła się. Chłopak następnie wstał i pobiegł prosto w kierunku policji.

Dla liberalno-lewicowych mediów nie miało znaczenia, że to Rosenbaum rzucił się na uzbrojonego nastolatka, chcąc odebrać mu karabin (w stanie Wisconsin prawo pozwala na poruszanie się w miejscach publicznych z widoczną bronią). Również okładanie po głowie deskorolką i mierzenie z pistoletu według tych mediów nie jest jeszcze wystarczającym powodem do oddania strzałów w samoobronie. Żadnego znaczenia nie miał też fakt, że wszyscy czterej mężczyźni byli biali.

Prokurator Thomas Binger (zdeklarowany demokrata), który żądał dla nastolatka dożywocia, przekroczył granicę absurdu, byleby tylko przekonać ławę przysięgłych, że Kyle Rittenhouse to „udawany żołnierz", który chciał zabijać. Jego zdaniem świadczyć o tym miało m.in. to, że Rittenhouse skorzystał ze swojego gwarantowanego w konstytucji prawa do zachowania milczenia. Binger przekonywał ławę przysięgłych, że 18-latek spędził cały rok na tym, by po cichu ustalić wersję, która da mu wolność. Słysząc te słowa, sędzia Bruce Schroeder bezlitośnie zbeształ prokuratora, wytykając mu, że takie postawienie sprawy to kpina z prawa – zachowanie przez oskarżonego milczenia o niczym nie może świadczyć.

Nie był to jedyny zadziwiający wyskok prokuratora Bingera. Niedługo potem stanął on na sali sądowej z karabinem, którego użył Rittenhouse, i mierząc z niego wprost do ławników, chciał pokazać im, jak niebezpiecznie wygląda ta broń. Thomas Binger pogwałcił wówczas wszelkie standardy bezpieczeństwa posługiwania się bronią, które – wydawałoby się – znać powinny nawet dzieci.

MILIONY ZA ZNIESŁAWIENIE?

Uniewinnienie Rittenhouse'a spowodowało falę protestów w największych amerykańskich miastach. Sympatycy ruchu BLM wyszli na ulice m.in. w Nowym Jorku i Chicago, ale jak zwykle najgoręcej było na ulicach Portland, gdzie żyje wyjątkowo dużo krewkich aktywistów antyrasistowskich. Rittenhouse stał się tym samym uosobieniem całego zła, które działacze BLM upatrują w „białej Ameryce".

„Ta sprawa nie miała nic wspólnego z rasą. Nigdy nie chodziło tu o rasę. To od początku była kwestia prawa do samoobrony" – powiedział Rittenhouse w pierwszym wywiadzie po uniewinnieniu. Chłopak dostał gratulacje od czołowych polityków Partii Republikańskiej, również od Donalda Trumpa, który napisał do niego w liście, że „jeżeli to nie była samoobrona, to nic nią nie jest".

Adwokaci, którzy na antenie Fox News komentowali proces, wieszczą temu pochodzącemu z niezbyt zamożnej rodziny 18-latkowi bardzo szybki awans do klubu multimilionerów. Chodzi oczywiście o pozwy wobec tych wszystkich mediów, polityków i aktywistów, którzy wbrew faktom robili wszystko, by opinia publiczna zobaczyła w Kyle'u Rittenhousie nienawistnego rasistę. Adwokaci specjalizujący się w sprawach o zniesławienie przekonują, że wywalczenie milionów będzie dla uniewinnionego nastolatka niczym bułka z masłem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

FOT. ADOBE STOCK, AL JAZEERA

KOBIETY WYCIĘTE Z SERIALI

Talibowie w Afganistanie mają kolejne pomysły na to, jak wyglądać ma ten kraj. Afgański resort promowania cnót i zapobiegania niemoralności wydał zarządzenie dotyczące tego, co i jak wolno pokazywać w telewizji. Prezenterki i dziennikarki nie będą mogły już występować bez nakrycia głowy. W dodatku zakazano pokazywania kobiet w serialach telewizyjnych. To i tak pestka. W latach 1996–2001 talibowie w Afganistanie w ogóle zakazali telewizji, filmów i wielu innych „niemoralnych" form rozrywki.

JEFFERSON USUNIĘTY PO 187 LATACH

Pomnik Thomasa Jeffersona został usunięty z ratusza w Nowym Jorku po blisko 200 latach. Stał aż do momentu, gdy zaczęto twierdzić, że był powiązany z handlem niewolnikami. Rada miejska przegłosowała więc, że trzeci prezydent stanów musi zniknąć. Statuę, która była plastikowym duplikatem rzeźby Pierre'a-Jeana Davida (oryginał jest na Kapitolu), oficjalnie wypożyczono do New York Historical Society Museum. Podobno na długi czas.

ZABYTEK STOLIKIEM KAWOWYM

Bezcenna rzymska mozaika, która kiedyś zdobiła statek cesarza Kaliguli, zniknęła z włoskiego muzeum po drugiej wojnie światowej. Teraz się nagle odnalazła. Pewni ludzie przez 50 lat używali jej nieświadomie w domu, bo zrobili sobie z niej... stolik kawowy. Sprawa wyszła na jaw, gdy włoski ekspert od marmuru i starożytnych kamieni podpisywał swoje książki. Na okładce widniał fragment zaginionej mozaiki. I para ludzi rozpoznała ten wzór, który mieli na swoim stoliku. Mozaika wróciła do Włoch. Jest teraz w Muzeum Statków Rzymskich w Nemi.

TELEWIZJA CHOWA LOGO

Holenderski nadawca z południa kraju Omroep Brabant zdjął z floty samochodowej logotypy stacji. Powód? Rosnąca niechęć do dziennikarzy. Podczas pandemii koronawirusa pracownicy mediów w tym kraju są regularnie nękani. W ubiegłym roku z tego powodu logotypy z pojazdów usunął ogólnokrajowy nadawca NOS.

ZDJĘCIE Z KROKODYLEM

W parku rozrywki w mieście Cagayan de Oro na Filipinach pewien mężczyzna zapragnął zrobić sobie zdjęcie z plastikowym krokodylem. 68-latek wszedł więc do basenu, gdzie był krokodyl. Tyle że nie plastikowy. Czterometrowe zwierzę złapało turystę za rękę. Zdołał się na szczęście oswobodzić i uciec. Zawieziono go do szpitala, gdzie przeszedł operację ręki. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Ofensywa przed inwazją

Niepewna sytuacja na granicy polsko-białoruskiej i kolejne prowokacje wojsk dyktatora to tylko niektóre zagrożenia dla bezpieczeństwa Polski i Europy. Wywiady państw NATO, a także analitycy z Europy i USA ostrzegają: Moskwa szykuje się do zbrojnej napaści, a sytuacja coraz bardziej przypomina dni przed rosyjską agresją na Gruzję.

W takim okresie szczególnie dobrze jest widzieć ofensywę dyplomatyczną rozpoczętą przez premiera Mateusza Morawieckiego. A także zgodną odpowiedź sojuszników Polski, zwłaszcza Węgier, Czech i Słowacji oraz Litwy, Łotwy i Estonii, deklarujących chęć pomocy Polsce. Dobrze, że premier Polski uzyskuje w Berlinie, Paryżu i Londynie potwierdzenie trwałych sojuszy, zanim jeszcze w Europie rozpocznie się nowa wojna. Zachód nie może bowiem kolejny raz dać się zaskoczyć Rosji.

Musi mieć gotowy plan działań – tylko ryzyko prawdziwych i bardzo bolesnych dla Kremla sankcji może bowiem sprawić, że Władimir Putin zrezygnuje z okazji odzyskania panowania nad kolejnymi ziemiami z dawnej sowieckiej strefy wpływów. Jeśli jednak nowa wojna nie będzie niosła dla Moskwy zbyt dużego ryzyka, to w przyszłym roku nie uda się już jej uniknąć.

Niestety, rosyjski przywódca wie, że Stany Zjednoczone mają teraz słabego prezydenta, a amerykańscy generałowie więcej wagi muszą poświęcać problemom trans- i homożołnierzy niż trosce o realną zdolność wojskową swoich oddziałów. Europa musi więc zapomnieć o dzielących ją mało istotnych sporach i zająć się na dobre wspólną obroną granic. W przeciwnym razie sami skażemy się na powtórkę z lat 1938 i 1939 i nowy okres sowieckiej dominacji na Starym Kontynencie. ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

TAJEMNICA WYROKU NA DOWÓDCĘ MUSZKIETERÓW

Jacek Bartosiak – **Trzecia wojna światowa**
Jan Sadkiewicz – **Koniec Pax Americana?**
Mikołaj Iwanow – **Mord w rodzinie Stalina**
Jakub Polit – **Chiny: z dna na szczyt**
Piotr Zychowicz – **Esesmani w niewoli**
Jakub Ostromęcki – **Prawda o czterech pancernych**
Iain Ballantyne – **Sekrety wojny podwodnej**
Krzysztof Masłoń – **Sylwetka Jana Himilsbacha**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl b04ffff7fd

My walczymy o Polskę, a totalna opozycja – z Polską

Z Grzegorzem Pudą, ministrem funduszy i polityki regionalnej
rozmawia Ryszard Gromadzki

FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

RYSZARD GROMADZKI: W mediach społecznościowych przyznał pan ostatnio, że rozmowy z Komisją Europejską w sprawie uruchomienia środków należnych Polsce w ramach Krajowego Planu Odbudowy są trudne. Co to znaczy? W jakim punkcie tych negocjacji jesteśmy?

GRZEGORZ PUDA: Za każdym razem, gdy rozmawiamy z Komisją Europejską, próbujemy tłumaczyć, że te propozycje, których Komisja od nas oczekuje, w dużej części są bardzo trudne do przeprowadzenia w czasie, który wyznaczają nasi partnerzy w Brukseli. Przypomnę tylko, że Komisja chce, żeby proponowane przez nią zmiany przeprowadzić jeszcze w tym roku, aby zdążyć z wypłatą zaliczki na poczet Krajowego Planu Odbudowy. Negocjacje trwają. Wydaje się, że Komisja zaczyna rozumieć te uwarunkowania. Rozmowy na pewno nie należą do prostych. Jednak cały czas jestem dobrej myśli. Wierzę, że uda nam się porozumieć. Presja czasu jest tu ważną przesłanką. Proszę też pamiętać, że Unia Europejska zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, w której znalazła się Polska w związku z kryzysem na naszej granicy z Białorusią. Chcąc ustabilizować sytuację na granicy, funkcjonować jako spójny organizm polityczny w tak trudnym czasie, Unia musi trzymać się razem. Tylko tak może skutecznie przeciwstawić się zewnętrznemu zagrożeniu. Myślę, że ta świadomość dochodzi do głosu także w Komisji Europejskiej.

Czy świadomość trudnej sytuacji, w której znalazła się Polska w związku z kryzysem na granicy z Białorusią, skutkuje większą gotowością do kompromisu w sprawie Krajowego Planu Odbudowy ze strony Komisji Europejskiej czy raczej daje jej dodatkowy instrument nacisku na polski rząd?

W moim przekonaniu Unia Europejska czuje potrzebę odbudowy naszych relacji, bycia razem w trudnej sytuacji. Myślę, że pomimo występujących różnic wobec kryzysu, który mamy na naszej wschodniej granicy, widać potrzebę jedności wśród państw wspólnoty. Sądzę, że nastawienie przełoży się też na pomyślny wynik naszych rozmów w sprawie Krajowego Planu Odbudowy i pomoże nam w osiągnięciu ostatecznego porozumienia.

Podczas niedawnej wizyty w Warszawie Didier Reynders – unijny komisarz nadzorujący obszar praworządności – nie pozostawił złudzeń co do warunków uruchomienia środków przyznanych Polsce w ramach KPO. Według niego będzie to możliwe tylko wypadku pełnego wdrożenia wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie Izby

eprasa.pl b04ffff7fd

Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Można się tylko domyślać, że to jedynie pierwszy z warunków, za którym pójdą żądania kolejnych ustępstw dotyczących polskiej suwerenności...

Ze strony polityków Unii Europejskiej słyszymy różne wypowiedzi. Ze swej strony staram się odpowiadać na nie merytorycznymi argumentami. Środki z Krajowego Planu Odbudowy do Polski finalnie na pewno trafią. Walczymy o to, żeby trafiły szybciej, żeby zaliczka w wysokości 13 proc. ogółu środków przyznanych nam w ramach KPO trafiła do nas, by już teraz można było uruchamiać te najbardziej potrzebne Polsce inwestycje, priorytetowo przygotowane zadania. Dla nas liczy się teraz czas, zależy nam, żeby tę zaliczkę otrzymać jak najszybciej. Proszę pamiętać, kto będzie beneficjentem Krajowego Planu Odbudowy – przede wszystkim polskie przedsiębiorstwa i samorządy. To one będą w głównej mierze korzystać z tych pieniędzy. Będą mogły samodzielnie wnioskować o środki na inwestycje w obszarach określonych w komponentach Krajowego Planu Odbudowy. A przedsiębiorstwa będą miały przychody jako wykonawcy projektów inwestycyjnych, których beneficjentem będą właśnie samorządy. Ten proces jest blokowany wyłącznie z powodów politycznych. Jako kraj spełniliśmy przecież wszystkie warunki, które zostały przed nami postawione. Od maja negocjujemy temat zatwierdzenia Krajowego Planu Odbudowy. Taka polityka zarówno ze strony polskiej totalnej opozycji, jak i Komisji Europejskiej z pewnością nie służy ani Polsce, ani Unii Europejskiej.

Jak opóźnienie związane z zatwierdzeniem Krajowego Planu Odbudowy przez Komisję Europejską i przekazaniem Polsce zaliczki na poczet tego planu rzutuje na realizację zapisanych w nim najważniejszych projektów? Czy plan będzie musiał być zrewidowany?

Nie ma takiego zagrożenia. Krajowy Plan Odbudowy oparty jest na „kamieniach milowych" dotyczących reform i wskaźnikach dotyczących inwestycji, na podstawie których miały być wypłacane środki finansowe. Nic się nie zmienia. Jesteśmy w terminach. Komisja Europejska potwierdziła ocenę polskiego KPO, wskazując, że jest on dobrze przygotowany. Przy okazji dyskusji na ten temat pojawił się dokument, z którego wynika, że niektóre kraje wspólnoty niewłaściwie korzystały ze środków unijnych. Wśród tych krajów nie było naszego. Polska

Nie dostaliśmy żadnych komunikatów ze strony Komisji Europejskiej na temat wstrzymania pieniędzy z Funduszu Odbudowy

została oceniona bardzo pozytywnie. Weźmy pod uwagę także to, że jesteśmy jednym z liderów, jeśli chodzi o wykorzystanie środków europejskich, a robimy to lepiej niż na przykład Francja czy Niemcy. Pokazujemy ścieżkę innym – jak można dobrze wykorzystywać środki europejskie na podstawie tego, co udało nam się już wypracować, będąc w Unii w ramach polityki spójności. Możemy się w tej chwili odnosić do mechanizmów, które stosowaliśmy wcześniej w polityce spójności.

Nie otrzymaliśmy żadnych oficjalnych komunikatów ze strony Komisji Europejskiej na temat zakwestionowania pieniędzy przyznanych nam w ramach Krajowego Planu Odbudowy. W związku z tym myślę, że KE też ma świadomość, że wstrzymywanie z powodów politycznych wypłaty zaliczki na poczet KPO to jest decyzja, która będzie niezrozumiała dla Polaków, a z drugiej strony może spowodować pewien dysonans w samej UE. Przywódcy państw wspólnoty doskonale zdają sobie sprawę, że sytuacja z bezpodstawnym brakiem wypłaty zaliczki dla Polski w przyszłości może dotyczyć także wypłat dla ich krajów. Wszystkim zależy na tym, żeby po kryzysie covidowym odbudowywać się jak najszybciej. To po to miały być uruchomione środki w ramach krajowych planów odbudowy. My nadal na te pieniądze czekamy. Cały czas musimy walczyć o to, żeby zbić niezrozumiałe dla nas argumenty Komisji Europejskiej.

Czy wdrożony w ostatnim czasie przez Komisję Europejską wobec Polski i Węgier mechanizm „pieniądze za praworządność" rzutuje na negocjacje, które prowadzi pan w Brukseli na temat odblokowania środków związanych z Krajowym Planem Odbudowy?

Oczywiście w integralny sposób dotyczy to tego tematu. Jednak jako resort odpowiedzialny za wdrażanie środków europejskich zarówno w ramach polityki spójności, jak i Krajowego Planu Odbudowy przede wszystkim skupiamy się na tym, aby warunki, na podstawie których te środki są czy będą przekazywane, były dla Polski korzystne. Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej odpowiada przede wszystkim za część merytoryczną. Oczywiście w rozmowach, które prowadzimy z Komisją Europejską, nie da się uniknąć polityki, odniesień do informacji publikowanych w polskich czy zagranicznych mediach; przepływ informacji jest bardzo szeroki, ale koncentrujemy się na merytorycznym aspekcie związanym z transferem europejskich pieniędzy do Polski. Oczywiście staramy się prostować nieprawdziwe doniesienia.

Załóżmy, że na skutek różnych politycznych okoliczności nie uda nam się porozumieć z Komisją Europejską i pieniądze z Funduszu Odbudowy nie popłyną szerokim strumieniem do Polski. Mamy „plan B"? Czy jesteśmy w stanie pozyskać pieniądze na realizację strategicznych inwestycji zapisanych w KPO z rynku? Czy te projekty da się zrealizować bez z pieniędzy z Unii?

Chcę jeszcze raz podkreślić: po pierwsze, Komisja Europejska podkreśliła, że kontynuuje ocenę naszego Krajowego Planu Odbudowy. Pod drugie, nie dostaliśmy żadnych komunikatów ze strony Unii Europejskiej czy Komisji Europejskiej na temat wstrzymania pieniędzy z Funduszu Odbudowy. Z naszej strony zostały dopełnione wszystkie formalności. Złożyliśmy w terminie Krajowy Plan Odbudowy do Komisji Europejskiej i od tego czasu trwa intensywny dialog z Komisją i prace merytoryczne nad KPO. Powiedziałbym, że przebiegają one wzorowo, ponieważ nie było żadnych istotnych problemów na poziomie roboczym. Wszyscy pamiętamy zapowiedzi Komisji Europejskiej, że środki z Funduszu Odbudowy to miały być szybkie pieniądze na walkę ze skutkami pandemii. Przedsiębiorcy, samorządy, społeczeństwo czekają na te pieniądze właśnie z tego powodu. Te pieniądze mają pomóc Polsce wrócić na ścieżkę wzrostu po pandemii koronawirusa. Dlatego tak ważne jest, żeby one jak najszybciej trafiły do polskiej gospodarki. Nie ma możliwości, żeby te środki nie zostały wypłacone. Jedyna kwestia, która jest teraz na agendzie, dotyczy tego, czy Komisja Europejska zechce nam wypłacić transzę środków w ramach zaliczki na KPO. Niestety, w dużej części za problemy, które mamy w tym obszarze, odpowiada tzw. totalna opozycja. Polska jest chyba jedynym państwem, którego przedstawiciele opozycji atakują na forum Unii Europejskiej swój własny kraj. My, jako rząd, walczymy o Polskę, a totalna opozycja walczy z Polską.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl b04ffff7fd

TEST „DO RZECZY": SMARTFON OPPO RENO6 5G

Nowoczesne wzornictwo, świetny wyświetlacz, obsługa łączności 5G, jakość wykonania jak w produktach klasy premium oraz dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety średniaka z ambicjami chińskiej firmy OPPO.

Minimalistyczny, „kanciasty" design OPPO Reno6 5G przyciąga uwagę i przypomina produkty z logo nadgryzionego jabłka. Dwie tafle szkła połączone aluminiową ramką wyglądają elegancko i nowocześnie. Jak na smartfon ze średniej półki testowany model jest też bardzo dobrze wykonany.

Na pochwałę zasługuje także wyświetlacz AMOLED o przekątnej 6,43 cala, rozdzielczości 2400 x 1080 (410 pikseli na cal) oraz całkiem wysokiej częstotliwości odświeżania (90 Hz). Czerń jest czarna jak noc, barwy żywe, kolory ładnie odwzorowane, a obraz wyraźny i czytelny. Również kąty widzenia są bardzo dobre, a dzięki dość wysokiej jasności maksymalnej ze smartfona będzie można korzystać nawet w ostrym zimowym słońcu.

Zaletą – na razie głównie w teorii – jest również obsługa łączności 5G, która wciąż dobrze działa jedynie w centrach dużych miast. Są też oczywiście USB C oraz moduł NFC, który pozwala na dokonywanie płatności za pomocą telefonu.

Sercem urządzenia jest procesor MediaTek Dimensity 900 wspierany przez 8 GB pamięci RAM. Szału nie ma i z najlepszymi flagowcami nie ma co go porównywać, ale jednocześnie wydajność jest na poziomie przyzwoitym i zupełnie

wystarczającym dla przeciętnego użytkownika. Smartfon pracuje pod kontrolą Androida 11 z funkcjonalną nakładką ColorOS 11.3.

Smartfon jest uzbrojony w trzy obiektywy: główny o rozdzielczości 64 Mpix i jasności f/1.7, szerokokątny (8 Mpix, f/2.2) oraz makro (2 Mpix, f/2.4). Fotografie robione za pomocą Reno6 5G w dobrym oświetleniu wyglądają świetnie. Wystarczająco dużo szczegółów, poprawie odwzorowane barwy i stosunkowo niewiele szumów widać też na zdjęciach robionych po zmroku przy użyciu głównego obiektywu. Miłośników robienia selfie ucieszy informacja, że przedni aparat ma matrycę o jasności f/2.4 i rozdzielczości 32 Mpix. Filmy można kręcić teoretycznie w rozdzielczości 4K, ale lepiej obniżyć ich jakość do 1080 p, bo tylko wtedy można liczyć na porządną stabilizację obrazu. Jakość filmów wideo robionych przy dobrym oświetleniu jest przyzwoita, choć gorsza niż zdjęć. Przy kręceniu nagrań we wnętrzach i przy słabym oświetleniu detali jest wyraźnie za mało, a szumów zdecydowanie za dużo. Ciekawym dodatkiem jest za to tryb Dual-View, który umożliwia kręcenie filmu jednocześnie przy użyciu tylnego i przedniego obiektywu.

Plusem testowanego smartfona jest też pojemna bateria (4300 mAh), co sprawia, że ładowarki trzeba szukać przeważnie raz na dwa dni. Kolejną zaletą jest zaś szybkość ładowania akumulatora, w którym energię do pełna można uzupełnić w niecałe 29 minut.

Wady? Po pierwsze, obudowa nie jest wodoszczelna, co w tej półce cenowej jest istotnym minusem. Po drugie, w testowanym modelu brakuje ładowania bezprzewodowego.

Po trzecie wreszcie, smartfon ma tylko jeden głośnik mono, przez co mimo zastosowania standardu Dolby Atmos nie nadaje się do odtwarzania muzyki.

Mimo tych minusów Reno6 5G ma dobry stosunek ceny do jakości i na pewno wart jest rozważenia przy okazji polowania na nowego smartfona. Cena: 1999 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

INTELIGENTNY KASK

Neo Smart Helmet chińskiego koncernu Huawei to gadżet, który może uratować życie niejednemu rowerzyście czy rolkarzowi. Kask wyposażony jest w przednie i tylne oświetlenie LED, które nie tylko sygnalizuje kierunek skrętu, lecz także rozpoznaje hamowanie i wyświetla światło stopu. Dzięki połączeniu Bluetooth i odpowiedniej aplikacji można łatwo zmieniać intensywność oświetlenia, a także ustawić kontakty do najbliższych, którzy zostaną powiadomieni w razie kolizji. Kask ma również wbudowany głośnik, dzięki któremu można słuchać utworów ze smartfona. Użytkownicy Neo Smart Helmet mogą również wykonywać połączenia telefoniczne, numery wybierając głosem. Na razie kask dostępny jest oficjalnie tylko na chińskim rynku. Cena: 799 juanów, czyli ok. 520 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRAŻNIK WAŻNOŚCI

Nudge Tag to gadżet dla tych, którzy nie lubią wyrzucać jedzenia, a którzy mimo to czasem znajdują w lodówce przeterminowane produkty. Niewielkie urządzenie w prosty sposób wskazuje, które produkty należy zjeść najpierw, bo zbliża się termin ich przydatności do spożycia. Nudge Tag składa się z mocowanego na lodówce „centrum sterowania", w którym wprowadza się daty, a także z połączonych z nim za pomocą Bluetooth niewielkich modułów, które za pomocą kolorów ułatwiają szybką identyfikację produktów, które należy pilnie skonsumować. Cena na jednym z portali crowdfundingowych to ok. 450 zł za zestaw. Jeśli pomysłodawcom uda się zebrać wystarczającą ilość pieniędzy na uruchomienie produkcji, to premiera planowana jest na lipiec 2022 r. ©℗ ***Jacek Przybylski***

eprasa.pl b04ffff7fd

Poczta Polska

Poczta Polska
zdobywcą nagrody Strażnik Pamięci 2021 w kategorii Mecenas

Dziękujemy za uhonorowanie działań Spółki na rzecz kultywowania polskiej historii i tradycji

eprasa.pl b04ffff7fd

Tomasz Zdzikot, prezes zarządu Poczty Polskiej S.A., Andrzej Bodziony, wiceprezes zarządu Poczty Polskiej S.A., podczas konferencji prasowej „Otwórz się na Pocztex"

Nowy Pocztex zawalczy na rynku zdominowanym przez zagraniczny kapitał

Rozwój usług kurierskich to ważny element strategii Poczty Polskiej na lata 2021–2023, której celem jest wzmocnienie pozycji spółki na rynku. Pełne wykorzystanie potencjału największej firmy logistycznej w kraju możliwe będzie dzięki zmianom we flagowej usłudze narodowego operatora, którą jest Pocztex. Nowa jakość i wizerunek oraz prostsza oferta i szybsza obsługa, dopasowana do oczekiwań współczesnych klientów, to atuty Poczty Polskiej w dynamicznej walce o prym na zdominowanym przez podmioty zagraniczne rynku kurierskim

Począwszy od września br., Poczta Polska systematycznie komunikuje zmiany wprowadzane w swojej flagowej usłudze kurierskiej. W pierwszej kolejności narodowy operator ujawnił unowocześnione logo Pocztexu. Biało-czerwone skrzydło, widniejące w nowym znaku, z jednej strony symbolizuje dynamikę i szybkość, a z drugiej wyraźnie akcentuje 100-procentowy polski kapitał marki. Odświeżone logo Pocztexu widnieje zarówno na autach kurierów, jak i na ich nowych strojach służbowych. Celem rebrandingu jest nie tylko wzmocnienie pozycjonowania marki w nowoczesnych kanałach komunikacji, lecz także wyeksponowanie zachodzących, rewolucyjnych zmian w tej usłudze.

– Nowa odsłona naszej marki Pocztex to nie tylko odświeżone logo oraz stroje dla kurierów, lecz także kompleksowa odpowiedź na oczekiwania współczesnego rynku – zaznacza Tomasz Zdzikot, prezes zarządu Poczty Polskiej.

SZYBSZE DORĘCZENIE PACZKI

Jednym z elementów, które bezpośrednio przyczynią się do zmiany jakościowej w Pocztexie, jest wdrażana właśnie nowa sieć połączeń. Przemodelowanie kluczowych procesów umożliwi świadczenie usługi w wyższym standardzie, czyli szybciej, taniej i prościej, a także zwiększy jej niezawodność. Uzupełnieniem zachodzących zmian w architekturze sieci logistycznej będzie wdrożenie nowoczesnego systemu informatycznego, wspierającego dynamiczne planowanie transportu. Za jego przygotowanie odpowiada Poczta Polska Usługi Cyfrowe. Warto zaznaczyć, że jest to firma znana klientom narodowego operatora pod nazwą Envelo. Obecny zarząd spółki konsekwentnie stawia na samowystarczalność grupy kapitałowej Poczty Polskiej w zakresie wytwarzania, rozwijania i utrzymania kluczowych dla firmy systemów informatycznych. Nowoczesny system zapewni optymalizację procesów transportowo-logistycznych, co przełoży się na szybkość doręczenia przesyłek do klientów oraz oszczędność wykorzystywanych surowców.

Dla klientów gruntowne zmiany w architekturze sieci logistycznej oznaczają nowy, wyższy standard jakości. Dodatkowo, dzięki uproszczeniu oferty usług paczkowych w obrocie krajowym, Poczta Polska ograniczyła produkty do dwóch głównych kategorii: paczki powszechnej i usługi kurierskiej Pocztex – ze standardem doręczenia D+1 (następnego dnia po dniu nadania) i D+0 (w wybranych miastach w dniu nadania).

Nowy Pocztex oferuje multikanałowość dostaw. Pozwala to klientowi wybrać najdogodniejszą dla niego formę odbioru zamówionej przesyłki. Osoby, które preferują tradycyjne rozwiązania, odwiedzi kurier Pocztexu. Przesyłka zostanie doręczona pod wskazany adres.

W ostatnich latach coraz większą popularnością cieszy się opcja odbioru

eprasa.pl b04ffff7fd

przesyłek w sieci punktów odbioru, przy okazji załatwiania codziennych spraw, np. podczas zakupów w sklepie lub na pobliskiej stacji benzynowej. Klienci doceniają taką możliwość głównie z dwóch powodów: odbiór w punkcie nie ogranicza ich mobilności, gdyż nie muszą oczekiwać na doręczyciela w domu czy w biurze, a także jest znacznie bardziej elastyczny. Przesyłkę można odebrać w dowolnym czasie, często nawet siedem dni w tygodniu. Dostrzegając zmieniające się preferencje konsumentów, spółka stale rozwija opcję dostawy – Pocztex PUNKT. Już teraz przesyłki można odbierać w ponad 17 tys. lokalizacji na terenie całego kraju. Punkty odbioru znaleźć można m.in. w placówkach pocztowych, w sklepach Żabka, Biedronka, ABC, Lewiatan, Delikatesach Centrum czy w kioskach RUCH lub na stacjach ORLEN.

– Obok Pocztex KURIER i Pocztex PUNKT rozwijamy także metodę dostawy Pocztex AUTOMAT, czyli sieć własnych automatów paczkowych, gdyż chcemy być jeszcze bardziej konkurencyjni zarówno dla odbiorców indywidualnych, jak i naszych partnerów biznesowych, zapewniając im oczekiwaną najwyższą jakość realizowanych usług. W 2022 r. planujemy udostępnić klientom sieć obejmującą 2 tys. zewnętrznych automatów paczkowych, z których co najmniej 750 stanie przy sklepach Biedronka – podkreśla Tomasz Zdzikot, prezes zarządu Poczty Polskiej.

OBSŁUGA PACZKI Z POZIOMU SMARTFONA I PC

Kompleksowej zmianie i przebudowie uległa strona internetowa Pocztexu, dostępna pod adresem: www.pocztex.pl. Klienci mogą korzystać z dwóch dedykowanych sekcji: dla klientów detalicznych oraz dla klientów biznesowych. Obsługa strony jest łatwa i przyjemna dzięki intuicyjnemu i przejrzystemu interfejsowi. W związku z udostępnieniem możliwości nadania i opłacenia paczki on-line, nie trzeba już wypełniać ręcznie druków w placówce pocztowej.

Poczta Polska planuje uruchomienie aplikacji mobilnej, zapewniającej m.in. funkcjonalności nadawania przesyłek Pocztex, ich śledzenia oraz odbiór z automatów paczkowych. Wytwórcą oprogramowania, podobnie jak w przypadku wspomnianego systemu klasy TMS, będzie spółka Poczta Polska Usługi Cyfrowe. Zawarta umowa zakłada wdrożenie kompleksowego rozwiązania informatycznego obejmującego, oprócz aplikacji mobilnej na smartfony, dostęp do dedykowanego panelu klienta dla osób korzystających z komputerów.

POCZTA SIĘ ZMIENIA

Obecnie aż 80 proc. przychodów Poczty Polskiej generują usługi uznawane za nierozwojowe, takie jak obsługa wolumenu listowego, a tylko ok. 20 proc. – usługi perspektywiczne. Te proporcje zarząd spółki zamierza konsekwentnie odwracać. Analiza trendów rynkowych wykazuje średnioroczne wzrosty rynku kurierów, przesyłek ekspresowych i paczek (KEP) na poziomie 15–16 proc., co tworzy dogodne warunki do rozwijania tych usług. Stale rośnie liczba transakcji realizowanych drogą on-line, podobnie jak liczba sklepów internetowych. Z analizy przeprowadzonej przez PwC wynika, że w ciągu najbliższych pięciu lat rynek e-commerce w Polsce osiągnie wartość brutto na poziomie 162 mld zł, utrzymując dwucyfrowe tempo corocznego wzrostu.

– Poczta Polska rozwija swoje usługi kurierskie, aby jak najlepiej odpowiadać na potrzeby klientów. Wprowadzane zmiany dotyczą zarówno inwestycji w sortery paczkowe, jak i rozszerzenia sieci punktów odbioru, modernizacji floty samochodów, zmiany w ofercie Pocztex. Jednocześnie przygotowujemy rozwiązania informatycznie dedykowane bezpośrednio klientom, bo bez informatyzacji nie ma nowoczesnych usług we współczesnym świecie – zauważa Andrzej Bodziony, wiceprezes zarządu Poczty Polskiej.

W ciągu kolejnych trzech lat Poczta Polska planuje przeznaczyć imponującą kwotę 1,2 mld zł na inwestycje w zakresie automatyzacji, cyfryzacji i rozbudowy architektury sieci logistycznej. Jeszcze w tym roku spółka zamierza przeznaczyć 400 mln zł na inwestycje w automaty paczkowe, cyfryzację, logistykę i automatyzację procesów. Co warte podkreślenia, poziom inwestycji w relacji do przychodów Poczty Polskiej ma przekroczyć dotychczasowe średnie dla innych operatorów pocztowych. W 2019 r. wyniósł tylko 1,2 proc., ale już rok później (w 2020 r.) wzrósł do 3,4 proc. Strategiczne „przyspieszenie" Poczty Polskiej nabiera jednak rozpędu. W latach 2021–2023 poziom inwestycji w relacji do przychodów wyniesie ok. 5,8 proc. i przewyższy dotychczasowe nakłady ponoszone przez Pocztę Polską. Pozytywne zmiany zachodzące w spółce z pewnością odczują klienci.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl b04ffff7fd

– W Europie jesteśmy świadkami procesu zwiększania partycypacji samorządów w zarządzaniu sferą publiczną – mówi o zbliżającym się EKS Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Karpaczu i pomysłodawca samorządowej konferencji

Większa odpowiedzialność samorządów

eprasa.pl b04ffff7fd

6 i 7 grudnia odbywa się już szósta edycja Europejskiego Kongresu Samorządów. Co przyczyniło się do sukcesu tego wydarzenia?

Na sukces złożyły się dwa elementy. Pierwszy to rozmowa o samorządzie, o tym, co konstytuuje dzisiejszą Europę. Przeświadczenie, że im bardziej proces zarządzania będzie zdecentralizowany, tym lepsze będą jego efekty. Od kilkudziesięciu lat w Europie obserwujemy takie myślenie, że decentralizacja w zarządzaniu ma przynieść zwiększenie efektywności funkcjonowania administracji publicznej. W związku z tym jesteśmy świadkami procesu, w którego ramach w ciągu tych kilkudziesięciu lat w poszczególnych krajach samorządy w coraz większym zakresie partycypują w zarządzaniu sferą publiczną. To oznacza, że dla tradycyjnie funkcjonującego państwa i korporacji pojawia się partner, który jest współodpowiedzialny za jakość zarządzania, a co za tym idzie – za wydawane pieniądze, przede wszystkim za infrastrukturę.

A drugi element?

Forum Ekonomiczne już od kilkunastu lat w ramach tego wydarzenia, które organizowaliśmy najpierw w Krynicy, a teraz w Karpaczu, przygotowywało debaty związane z funkcjonowaniem samorządów. Debaty tak jak całe Forum były przede wszystkim międzynarodowe. Zapewniały otwartość i przedstawianie różnych punktów widzenia. Sześć lat temu zdecydowaliśmy wspólnie z władzami Krakowa, że przygotowujemy już zupełnie niezależnie od Forum Ekonomicznego taką debatę, która będzie zogniskowana na sprawach samorządowych.

Do 2019 r. kongres odbywał się w Krakowie. W tym roku po raz pierwszy samorządowców z całej Europy gościć będą mazurskie Mikołajki. Skąd ta zmiana?

Szybki rozwój tej inicjatywy unaocznił nam, że Centrum Kongresowe ICE Kraków ma swoje ograniczenia, bariery, których, chcąc rozwijać konferencję, nie możemy pokonać. To sytuacja, w której po przebyciu pewnego dystansu okazuje się, że wszędzie zaczyna nam brakować miejsca.

Poza tym, podobnie jak w przypadku Forum Ekonomicznego, podjęliśmy decyzję o tym, aby rozmowy o rozwoju Europejskiego Kongresu Samorządów związane były z pewnego rodzaju przetargiem. Zwróciliśmy się do wybranych samorządów i spytaliśmy ich o warunki, w których możemy wspólnie współpracować nad rozwojem tej inicjatywy. Najlepsze warunki przedstawił Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego, stąd też Europejski Kongres Samorządów, począwszy od tego roku, będzie odbywał się w tym właśnie województwie.

Co będzie hasłem przewodnim tegorocznego kongresu?

W perspektywie krótkookresowej najważniejszym problemem, z którym muszą się uporać samorządy, jest pandemia. Właśnie dlatego hasłem przewodnim tegorocznego kongresu będzie: „Europa po pandemii: Jak odbudować lokalną gospodarkę?". Wszystkim zależy na tym, aby przywrócić witalność gospodarce europejskiej, a także na tym, aby w jak największym zakresie jak najefektywniej wykorzystać te środki publiczne, które na ten cel są przeznaczane. Wszyscy mają nadzieję, że poprzez wydawanie ogromnych publicznych pieniędzy będzie można zażegnać negatywne zjawiska, które mogą być pochodną lockdownów i ograniczenia kontaktów. I w związku z tym samorząd staje się w tym momencie absolutnie najważniejszym partnerem w wypadku zwielokrotnienia skali wydawania tych środków. Przede wszystkim dlatego, że zapewnia, z jednej strony, odpowiednią skalę i z drugiej strony – odpowiednią efektywność wydawania pieniędzy.

Pandemia spowodowała znaczne pogorszenie sytuacji finansowej samorządów, stawiając je w bardzo trudnej sytuacji. Ale samorządy borykają się również z wieloma innymi problemami, które będą poruszane na forum. Jakie będą główne tematy tegorocznej konferencji samorządowej?

W chwili obecnej w agendzie mamy dwa dni i 140 tematów. To tematy, które obejmują wszystko to, co związane jest na przykład ze zdrowiem, współpracą transgraniczną czy z innowacjami i inwestycjami realizowanymi w tym zakresie.

Trudno wskazać jeden konkretny temat, który będzie tym najważniejszym, wokół którego będą odbywały się obrady, bo ludzie, którzy przyjeżdżają, reprezentują tak różne światy i środowiska, a jednocześnie tak różne interesy, że każdy z nich będzie chciał wykorzystać to forum do tego, aby rozmawiać o sprawach, które dla niego są najważniejsze.

Czy na takiej konferencji, współpracując, rozmawiając i dzieląc się doświadczeniami, rzeczywiście udaje się wypracować rozwiązania, które potem są wprowadzane w życie?

To, na czym nam, organizatorom konferencji, zależy, to przede wszystkim stworzenie możliwości posłuchania innych ludzi, zobaczenia, jak dochodzili do sukcesu inni. Stawiamy sobie więc minimalistyczne cele. Nie chcemy żadnych deklaracji, żadnych programów. Chcemy wyłącznie tego, aby uczestnicy między sobą rozmawiali i się od siebie nawzajem uczyli, bo to jest absolutnie najlepsze, co możemy zrobić.

Jak wygląda organizacja międzynarodowego wydarzenia w czasie pandemii koronawirusa?

Po pierwsze, przygotowanie imprezy na taką skalę jest ogromnie trudne. Po drugie, w tej chwili mogę zdradzić, że wysłaliśmy już prawie 5 tys. zaproszeń. To znacznie więcej niż w okresie, kiedy nie było pandemii. Wynika to z tego, że nie każdy z różnych powodów może tu dotrzeć, a chcemy, aby goście, którzy przyjeżdżają na konferencję, mogli być usatysfakcjonowani udziałem w tym wydarzeniu.

Po trzecie, znacznie trudniej zapewnić międzynarodowy charakter tego wydarzenia nie dlatego, że nie chcemy, ale dlatego, że w tej chwili w Unii Europejskiej, ale również szerzej – w Europie – funkcjonują różnego rodzaju ograniczenia nie tylko te wprowadzane formalnie, lecz także te nieformalne, związane z epidemią.

Po czwarte, jeżeli chodzi o stronę organizacyjną, to znacznie więcej czasu musimy poświęcić przygotowaniu wszystkich procedur związanych na przykład z wydawaniem materiałów konferencyjnych, przygotowaniem biura organizacyjnego, przygotowaniem procedur wykluczających możliwość udziału osób chorych, które mogłyby stwarzać zagrożenie dla innych gości. Jednym słowem – liczba tych dodatkowych procedur jest ogromna.

Kogo gościć będzie tegoroczny Europejski Kongres Samorządów? W poprzednim, V Kongresie udział wzięło o. 2,3 tys. uczestników z niemal 40 krajów, w tym samorządowcy z całej Europy, przedstawiciele administracji państwowej oraz biznesu i kultury. Czy w tym roku uda się wrócić do poziomu z roku 2019?

Bardzo byśmy tego chcieli i do tego dążymy. Natomiast czy nam się to uda? Zobaczymy...

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl b04ffff7fd

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska dla nie-Polaków

Dlaczego rząd Polski aż tak bezceremonialnie preferuje przedsiębiorców cudzoziemskich kosztem polskich? Sporządzony przez Związek Przedsiębiorców i Pracodawców raport – „Księga wstydu Ministerstwa Finansów" – to miażdżący dowód na stosowanie przez rząd takiej właśnie praktyki, który byłby druzgocącym aktem oskarżenia w procesie o udowodnienie tezy, że w Polsce opłaca się być przedsiębiorcą niepolskim, a polscy są dyskryminowani. Tylko jeden dowód z tego raportu: „Rażącym przykładem jest Volkswagen Motor Polska, podmiot, który w latach 2016–2020 dostał o ponad 1700 […] razy większą pomoc publiczną niż zapłacony podatek CIT".

A zatem dlaczego rząd aż tak bezceremonialnie preferuje przedsiębiorców cudzoziemskich kosztem polskich? Po pierwsze, czyż nie dlatego, że polski rząd w ogóle przedsiębiorców traktuje niczym zło konieczne i zawsze, gdy może choć odrobinę poprawić sytuację pracobiorców kosztem pracodawców, to nigdy – przenigdy! – ani przez chwilę się nie zawaha, by to uczynić?

Ale to, rzecz jasna, nie wyjaśnia, dlaczego rząd dyskryminuje przedsiębiorców polskich kosztem zagranicznych. A zatem, po drugie, czyż nie dzieje się tak dlatego, że polskich przedsiębiorców rząd ma niejako „na talerzu" – w większości nigdzie mu przecież „nie uciekną", bo są Polakami i wolą robić interesy w Polsce albo/i mają zbyt mało kapitału, umiejętności i/lub odwagi, by wynieść się z Polski i rozwijać swe firmy np. w Estonii, która w rankingu państw OECD z najlepszym systemem podatkowym zajmuje miejsce pierwsze, a Polska – 36., przedostatnie.

I wreszcie – po trzecie. Jak wspomniałem w punkcie pierwszym – jako że rządowi, jak się zdaje, zależy głównie (jedynie?) na polskich pracobiorcach (czyli wyborcach partii tworzących rząd), a na pracodawcach tylko w takim stopniu, by byli oni w stanie dostarczać pracę (i płacę!) pracobiorcom-wyborcom, rząd jest gotów zapłacić za te „pracę i płacę" dla swych pracobiorców-wyborców każde dostępne mu pieniądze, byleby tylko zatrzymać już obecnych w Polsce zagranicznych przedsiębiorców (czyli praco- i płacodawców) i ściągnąć do Polski następnych. A polskimi przedsiębiorcami rząd w ogóle się nie przejmuje, bo oni już tu są i z wyżej opisanych powodów raczej się z Polski – przynajmniej masowo – nie wyniosą.

Rząd jest zatem gotów zapłacić zagranicznym przedsiębiorcom za „pracę i płacę" dla swych pracobiorców-wyborców ulgą podatkową i pomocą publiczną w właściwie dowolnej wysokości. A na zapełnienie powstałej w ten sposób luki w finansach publicznych – idącej co roku w grube dziesiątki miliardów złotych – lekką ręką ściąga haracz od polskich przedsiębiorców, których „ma w garści". Ściąga np. za pomocą Polskiego (!) Ładu. Tak oto działa ten mechanizm „Polski dla niepolskich przedsiębiorców". ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Prawdziwa tarcza antyinflacyjna

Tarcza antyinflacyjna okazała się w dużej mierze – na szczęście – autentyczną tarczą, a nie „tarczą" w cudzysłowie. W pierwotnych planach była mowa po prostu o dołożeniu ludziom pieniędzy. Do tych uboższych miały trafić dopłaty do rachunków przede wszystkim za energię i ciepło, a więc prąd i gaz. Tak pomyślana „tarcza" nie tylko nie miałaby działania antyinflacyjnego, lecz przeciwnie – wzmacniałaby jeszcze inflację, dorzucając do obiegu więcej pieniędzy. W koncepcji zaprezentowanej przez premiera niestety taki element wciąż jest w postaci dziwacznego świadczenia osłonowego. I to jest poważny błąd – kolejne rozdawnictwo dla własnego elektoratu.

Obniżenie opodatkowania to zabranie ludziom mniej, a zatem pozostawienie więcej w ich kieszeniach

Szczęśliwie większość elementów tarczy ma polegać na obniżaniu opodatkowania nośników energii. W tym benzyny, której cena, ostatnio pompowana słabością złotówki, jest jednym z najpotężniejszych czynników napędzających inflację. Władza postanowiła ograniczyć własną fiskalną pazerność i jest to mały przełom w sposobie prowadzenia przez nią polityki gospodarczej. Na zmniejszeniu opodatkowania nośników energii zyskają nie tylko wybrane grupy, lecz także wszyscy, w tym również przedsiębiorcy.

Natychmiast rząd zaczął również mówić o tym, ile budżet na takiej operacji straci. Takie stawianie sprawy to jednak kompletne nieporozumienie i ma wartość wyłącznie propagandową. Popatrzcie – powiada władza – jacy jesteśmy szczodrzy: odejmujemy sobie sami od budżetowych ust, byle dać obywatelom.

Otóż – nie. Władza niczego sobie od ust nie odejmuje. Obniżenie opodatkowania nie jest oddaniem czegokolwiek ludziom, bo władza nie ma co oddawać. Jak powiedziała Margaret Thatcher podczas konferencji torysów w Blackpool w 1983 r.: „Nie ma czegoś takiego jak pieniądze publiczne, są jedynie pieniądze obywateli". Obniżenie opodatkowania to zabranie ludziom mniej, a zatem pozostawienie więcej w ich kieszeniach. Zamiast wydać te pieniądze na prąd czy benzynę, ludzie będą je mogli wydać na inne dobra. To nie zwiększa ilości pieniądza w obiegu, a zmniejsza presję inflacyjną na całą gospodarkę. Cieszmy się zatem, ale bez przesady, bo niestety obniżki mają być tylko czasowe. I to jest podstawowy błąd rządowego programu. ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

Naramowice – dzielnica nowych inwestycji w Poznaniu

Anna Mojsiuk
– dział nowych inwestycji Poznań

W Poznaniu codziennie z przestrzeni miejskiej korzysta ok. 700 tys. osób. Są to osoby mieszkające w mieście na stałe, osoby przebywające w Poznaniu tymczasowo i osoby dojeżdżające w celu nauki lub pracy oraz turyści i biznesmeni zatrzymujący się w mieście. Prawie 635 tys. osób codziennie nocuje w Poznaniu. Poznań zajmuje piąte miejsce pod względem ludności w Polsce i cały czas się rozwija! Jest miastem chętnie odwiedzanym przez turystów, miastem, do którego duże firmy przenoszą swoje siedziby, oraz miastem, w którym wiele osób decyduje się osiedlić na stałe.

Aktualnie na rynku nieruchomości zaobserwować można ogromny popyt, chętnych na zakup mieszkań jest coraz więcej, a lokali dostępnych – coraz mniej. Mimo trwającego tzw. boomu mieszkaniowego należy pamiętać, że zakup mieszkania wymaga przemyślanej decyzji. Jedną z istotniejszych kwestii, którą należy brać pod uwagę przed wyborem swojego wymarzonego „M", jest lokalizacja.

Naramowice to dzielnica Poznania położona w jego północnej części. Dzielnica ta stale się rozwija pod względem budownictwa mieszkaniowego. Pierwotnie pełniła funkcję rolno-przemysłową, natomiast aktualnie jest dzielnicą typowo mieszkalną z ogromnym potencjałem. Znajdują się tutaj liczne firmy, markety, restauracje oraz placówki edukacyjne. Wszystko, co potrzebne do życia, znaleźć można w zasięgu ręki. Warto również wspomnieć, że Naramowice są dzielnicą, w którą aktualnie miasto Poznań inwestuje najwięcej środków. Jedną z największych inwestycji i tą najbardziej znaczącą dla Poznania jest kompleksowa budowa trasy tramwajowej wraz z modernizacją ulic. Celem tej inwestycji jest poprawienie komfortu życia mieszkańców Naramowic przez usprawnienie komunikacji zbiorowej, zmniejszenie emisji zanieczyszczeń do powietrza oraz poprawa bezpieczeństwa uczestników ruchu ulicznego. Kolejną już zrealizowaną inwestycją, ale niewątpliwie wartą uwagi, jest budowa zespołu szkolno-przedszkolnego w rejonie Naramowic. Celem tego projektu była zmiana standardów edukacyjnych oraz stworzenie szerokiej oferty edukacyjnej, sportowej i rekreacyjnej dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Należy również mieć na uwadze liczne inicjatywy lokalne, dotyczące m.in. budowy placów zabaw. Naramowice przez długi czas były niedoceniane, teraz można śmiało stwierdzić, iż jest to jedna z najatrakcyjniejszych lokalizacji do zamieszkania przez młodych, kształcących się ludzi, rodziny z dziećmi czy też seniorów. W okolicy znajdują się liczne tereny zielone, przez co odnaleźć tutaj można spokój i harmonię, będąc jednocześnie blisko centrum miasta.

W tym zielonym zakątku miasta zlokalizowana jest inwestycja Grupy Inwest – Horyzont Naramowice. Składa się ze 159 mieszkań o optymalnych metrażach i układach, które odpowiadają zróżnicowanym potrzebom mieszkańców. W ofercie znaleźć można nie tylko mniejsze mieszkania inwestycyjne czy idealne na start, lecz także większe, rodzinne, w tym także dwupoziomowe o powierzchni powyżej 100 mkw.

Biorąc pod uwagę zjawisko wcześniej wspomnianego tzw. boomu mieszkaniowego, warto wspomnieć, że inwestycja Horyzont Naramowice jest idealnym produktem inwestycyjnym. Według raportów ponad 30 proc. klientów zakupuje nieruchomości w celach inwestycyjnych. Niskie stopy procentowe kredytów hipotecznych, nadwyżki finansowe oraz rosnąca inflacja zachęcają klientów do lokowania kapitału w mieszkania. Jest to teraz jedna z najbezpieczniejszych metod inwestycji.

Aktualnie w ofercie dewelopera pozostały ostatnie kawalerki oraz mieszkania dwupokojowe w promocyjnych cenach. Więcej informacji znaleźć można na stronie:
www.horyzont-naramowice.pl.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl b04ffff7fd

MAKARON Z DOMOWYM PESTO MARTY PIASECKIEJ

W naszym domu, oprócz tych tradycyjnych polskich smaków, takich jak pierogi czy rosół, królują włoskie potrawy. Wśród tych ostatnich prym wiodą: zupa krem z pomidorów i papryki, włoskie makarony, np. z sosem bolognese lub z pesto domowej roboty! Pasty to dania idealne dla zabieganych, zapracowanych, a także dla smakoszy! Przygotowanie zabiera mało czasu, a do tego smakują także dzieciom. Robiąc pesto przez kilka lat, metodą prób i błędów stworzyłam nasz domowy przepis. Oto ulubieniec mojego męża i naszych przyjaciół: makaron z domowym pesto bazyliowo-pomidorowym.

Składniki (porcja dla 5–6 osób):

- świeża bazylia
- 2 ząbki czosnku
- suszone pomidory zalane olejem (słoik 280 g)
- wiórki sera grana padano
- orzechy nerkowca (250 g)
- pomidorki koktajlowe (ok. 20 szt.)
- oliwa
- makaron penne (500 g)
- sól
- pieprz

Przygotowanie:

Do miski wlewamy pół szklanki oliwy, mieszamy ze szczyptą soli i pieprzu. Odcinamy łodygi bazylii i razem z oliwą wrzucamy do blendera. Dodajemy także pomidory suszone z olejem ze słoika, dwa obrane ząbki czosnku oraz orzechy nerkowca i dwie łyżki sera grana padano lub parmezanu. Wszystko blendujemy i tak oto powstaje nasze domowe pesto!

Wstawiamy wodę na makaron, do której dolewamy łyżkę oliwy i dosypujemy sól – wtedy makaron się nie zlepi. Gotujemy oczywiście al dente.

Odlewamy wodę i we wspólnym naczyniu mieszamy gorący makaron z pesto. Podajemy, ozdabiając listkami bazylii, pomidorkami koktajlowymi i posypujemy wiórkami sera grana padano. Smacznego! ©℗

oprac. raw

Marta Piasecka jest dziennikarką, prezenterką TVP, prowadzi „Trójkę przed południem" w Programie 3 Polskiego Radia.

FOT. ARCHIWUM MARTY PIASECKIEJ

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Rimbi, rimbi, rimbi

Ten zabawny refren piosenki z reklamy sprzed paru lat zachwalał bodajże herbatę imbirową.

A może piwo? – Czy my nie śpiewamy przypadkiem imbir? – zastanawiały się trzy sympatyczne panie z chórku…

To mi przypomniało, że znów trzeba zacząć kupować imbir i zamiast zwykłej herbaty z cytryną po powrocie do domu z zimna pić na rozgrzewkę herbatę zimową: plasterek cytryny, pomarańczy, kawałek świeżego imbiru, parę goździków, sok malinowy. Dla amatorów – coś bardziej procentowego. Ja przez całą zimę imbir dodaję do soku z marchewki, jabłka i cytryny, wyciskanego w wolnoobrotowej wyciskarce. Przekonałam się, że chroni przed przeziębieniem.

FOT. ADOBE STOCK

Nie w postaci proszku z torebki, a w postaci świeżego kłącza imbir (Zingiber officinale), taki jaki go znamy dziś, został u nas oswojony, a potem modny dość niedawno. Potem jego kariera poszybowała i teraz jest w każdym supermarkecie. Zalecany nie tylko dla smaku, lecz także dla zdrowotności: jako środek przeciwzapalny, antyoksydacyjny, ma wspomagać leczenie licznych chorób – od zwykłego przeziębienia aż do nowotworów. Internet wylicza jeszcze sto i jedną dolegliwość, na którą działa to panaceum.

Imbir ma przyjemnie ostry, cytrusowy, ziołowo-słodkawy zapach i lekko piekący smak. Za smak odpowiada żywica zingeron, ten sam składnik, który występuje w spokrewnionej z imbirem kurkumie. Podobno już w starożytności stał się sztandarową przyprawą chińskiej kuchni – kurkuma zresztą też. Korzeń imbiru jest bardzo twardy i trzeba go rozetrzeć (wkładam do minimalaksera z drobnym nożem), ale w kuchniach wschodnich widziałam, jak się go serwuje w plasterkach, razem z kaczką i liśćmi amarantusa. No tak, ale uprzednio rozgotowany i usmażony. My najlepiej chyba znamy marynowany imbir, jeden z komponentów sushi, być może także jeden z powodów dobrego zdrowia i długowieczności Japończyków.

Dobry imbir powinien być gładki, soczysty, mieć lekko żółtawy kolor i nie mieć twardych włókien. Znajoma doradziła mi, żeby go kupić na wiejskim targu, kiedy byliśmy na Sri Lance. I rzeczywiście taki był. Ten z naszych sklepów bywa często siny i włóknisty. Ale jak to sprawdzić, skoro na zewnątrz nie widać.?

W piwie imbirowym jest imbiru bardzo niewiele, za to aromatyzowany napój orzeźwiający kombucha, który robi od pewnego czasu zawrotną karierę na Zachodzie, zawiera go sporo. No, a ponieważ za chwilę startujemy ze świątecznymi piernikami, to bez imbiru nie da rady. Tym razem w proszku. ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

ZACZNIJ DZIEŃ Z TV REPUBLIKA

Polska
NA DZIEŃ DOBRY

REPUBLIKA

od poniedziałku
do soboty
7:30

#włączprawdę
Oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl b04ffff7fd

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Śmierć króla w Knyszynie

JACEK KOMUDA

Knyszyn i pobliska puszcza w naszej polskiej tradycji są miejscem szczególnym. Tu znajdował się myśliwski dwór królów polskich, tutaj też 7 lipca 1572 r. zmarł król Zygmunt August, ostatni męski potomek rodu Jagiellonów. Jego rezydencja nie była jednak zamkiem obronnym. Rozbudowywana od 1553 r. składała się z drewnianych zabudowań połączonych gankami i być może otoczonych wałem. Był to myśliwski dworzec królewski, który Zygmunt August upodobał sobie tak bardzo, że przebywał tutaj łącznie kilka lat razem z ukochaną żoną Barbarą. W 1553 r., kiedy na Litwie panowała zaraza, mieszkał w Knyszynie z trzecią żoną, Katarzyną Habsburżanką, polował w ukochanej puszczy. W dowód wdzięczności za dobre przyjęcie w 1568 r. nadał osadzie prawa magdeburskie, ustanowił targi i jarmarki, zbudował łaźnię, kazał wybrukować ulice, zbudować ratusz. Aleksander Gwagnin opisywał Knyszyn tak: „Miasto drewniane, w równinie między jeziorami i kałużami błotnymi leży. Dwór w nim królewski i ogród bardzo szeroki, który pospolicie zowią zwierzyńcem, sadzawek w nim pełno i zwierząt rozmaitych, albowiem tam wszelakie łowy zwierzynie najczęściej bywają". W królewskim dworcu, bogato urządzonym, znajdowały się przez długi czas legendarne arrasy. Przy folwarku był piękny park i zwierzyniec, w którym trzymano sarny i zające. Za kolejny cud uznawano stadninę królewską. Marian Czapski podaje, że w 1560 r. liczyła 2 tys. koni, a w roku 1565 już 3 tys. Pod koniec życia monarchy stado podupadło, jako że było w nim tylko 1228 koni, z czego większość trzymano w Knyszynie. Czegóż tam nie było? 120 koni pocztowych, 24 fryzy, 19 dzianetów hiszpańskich, 30 koni łowczych – czyli przyzwyczajonych do polowania i woni dzikich zwierząt, 364 konie pociągowe, czyli 64 cugi poszóstne, składające się z sześciu koni takiej samej maści i urody. I wiele innych…

FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. PEGAZ

Śmierć króla Zygmunta, ostatniego Jagiellona na polskim tronie, nastąpiła w atmosferze skandalu i licznych afer, do których doprowadzili Jerzy i Mikołaj Mniszchowie. Wraz z Jakubem Piwnicznym stali się bliskimi powiernikami króla, w rzeczywistości zaś jak rajfurzy stręczyli mu dziewki i kochanki, sprowadzali magów i planetników. Pod koniec życia schorowany władca miał tylko jedną obsesję – za wszelką cenę chciał pozostawić męskiego potomka, którego nie dała mu żadna z trzech małżonek – Elżbieta i Katarzyna Habsburżanka ani też Barbara Radziwiłłówna. Król więc pod koniec życia utrzymywał liczne kochanki, a z jedną z nich – Barbarą Giżanką, znienawidzoną przez szlachtę i senatorów – postanowił się związać. Śmierć jego ostatniej żony 28 lutego 1572 r. sprawiła, że mógł bez kłopotów planować ślub. Zwołał sejm, na którym zapytał szlachtę, jak chce opatrzyć jego potomka, którego przecież nie miał. Zygmunt powoli tracił rozum, chcąc, aby posłowie uznali za jego sukcesora dziecko, które jeszcze nie narodziło się ze związku z Giżanką. „Choroba czyniła go zgrzybiałym, ale w przygotowaniach do ślubu niczego nie zaniedbywał. Szalona miłość do tego stopnia ogarnęła jego duszę, że nie dopuszczał do siebie żadnych rozsądnych rad. Oczy jego gasły, policzki bladły i nikło chude ciało, a jednak Barbarę [Giżankę] miał nieustannie w sercu i jej imię na ustach. Żadnego słowa tak dźwięcznie i wyraźnie nie wymawiał jak imię Barbary. Ustawicznie u niej przesiadywał i oczu nie mógł od niej oderwać" – pisała o tym królewna Anna Jagiellonka.

Kiedy z początkiem czerwca 1572 r. szlachta postanowiła siłą nie dopuścić do kompromitującego małżeństwa, król wysłał Barbarę w bezpieczne miejsce, a sam pojechał do ulubionego Knyszyna. To właśnie tutaj miał odbyć się jego kolejny ślub. I tutaj ostatecznie uległ chorobie – w nocy z 6 na 7 lipca przebudził się i zapytał, czy we dworze jest może szkarłatne sukno, w jakim składano do grobu monarchów. Rano wstał, zjadł posiłek, położył się do snu i po południu, ok. godz. 18, odszedł. Historycy do dziś spierają się, czy zmarł na podagrę, suchoty czy też choroba weneryczna przyśpieszyła jego zgon. Być może też śmierć spowodowało zażycie afrodyzjaku. Wkrótce rozpoczął się dziki rabunek kosztowności, strojów i koni pozostałych po zmarłym, w czym przodowali Mniszchowie. „Jedno kochankowie pobrali, pierzynki uwiązując, z okna wyciekali, drugie się kur.om rozdało, jako się już Giżanka zna, że ma 10 000 w zachowaniu czerwonych złotych przy sobie" – pisał o tym Kacper Irzykowicz, podkomorzy mielnicki.

Dziś nie wiadomo, gdzie dokładnie mieścił się dwór myśliwski Zygmunta Augusta. Prawdopodobnie w miejscu, gdzie ulica Białostocka zbliża się do potoku Jaskranka, a folwark, zwierzyniec i stadnina znajdowały się w miejscowości Knyszyn-Zamek, zachowały się tam zresztą resztki parku i dawnego starostwa. ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Umierali w domach

Rok temu dane o zgonach niecovidowych wyskoczyły w górę i uświadomiłem to sobie wtedy w Lesie Kabackim, bo tam, przy symbolicznym grobie ofiar katastrofy lotniczej, odpoczywam w przerwie w nordic walkingu. Uderzyło mnie wtedy, że przecież codziennie spadało sześć takich iłów-62. Bo tyle mieliśmy dziennie ponadnadmiarowych zgonów w Polsce, z czego tylko 3–5 proc. to były ofiary COVID.

To wtedy, od października 2020 r., rozpoczął się proceder ujednoimienniania służby zdrowia, przerywano kuracje, odkładano operacje, wywalano chorych do domu, po to, by zrobić miejsce dla covidowców. To tworzy tzw. dług zdrowotny, którego efekty już do nas docierają. Do tej pory naliczono już ponad 140 tys. takich ofiar, skokowy wzrost z okresu październik–listopad zeszłego roku jest zaś fenomenem, którego istoty nikt nie ważył się do tej pory wytłumaczyć, bo trzeba byłoby się z niego tłumaczyć. Takie gwałtowne wymieranie ponad średnią jest niespotykane, da się wytłumaczyć tylko wojną. Ale to nie była wojna.

Mamy już statystyki z tego okresu, które pokazują nam, jakie to były zgony. Ludzie umierali po domach, w czym ujawniona statystyka potwierdza ogólną intuicję. Chorzy wyrzucani ze szpitali, z przerwanymi procedurami, zestresowani swoją sytuacją i podkręcani w tym przez media umierali poza służbą zdrowia. W dodatku – w izolacji kwarantannowej, w samotności i z reakcją służby zdrowia sprowadzoną do teleporad. Statystyki opracował jeden z „lekarzy wyklętych", dr Paweł Basiukiewicz. Zaczyna się w kwietniu 2020 r.: skok o 21 proc., czyli umierają 4284 osoby więcej poza szpitalami niż w zeszłym roku. No i śmiertelny IV kwartał: październik – 13 489 pozaszpitalnych zgonów więcej rok do roku (wzrost o 82 proc. do średniej), listopad – 28 112 zgonów więcej (wzrost 176 proc.) i grudzień – 17 734 zgony ponad normę (+100 proc.).

Te dane dotyczą tylko wzrostów zgonów pozaszpitalnych, z całą resztą zaś tworzą te ok. 140 tys. zgonów ponad średnią. Kłopot w tym, że ta krzywa się nie zatrzymuje w 2021 r. No bo co mamy w statystyce na dzień 11 listopada, czyli jakie są skumulowane zgony po 45 tygodniach z poszczególnych lat? W 2021 r. do tego czasu (praktycznie trzy kwartały) zmarły 43 782 osoby więcej niż w covidowym roku 2020, czyli mamy wzrost o 139 zgonów dziennie, a do roku bezcovidowego umiera nas więcej 227 osób. Dziennie. A idzie kwartał czwarty, najgroźniejszy, tu nieliczony. Wzrost zgonów obecnego roku do 2020 jest szybszy niż roku covidowego 2020 w stosunku do roku 2019, bez COVID. Słabo. „Przez" COVID, a właściwie przez nasze błędy w walce z nim, spada jeden pełny boeing z pandemicznego nieba. Codziennie. Pamiętajmy o tym, kiedy widzimy kolejne relacje z otwierania covidowych szpitali. Teraz wiemy, kto robi tam miejsce. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Gra na zwłok(i)ę

Mnie też dopadło. Od tygodnia doświadczam tej najpopularniejszej choroby. Jestem w wieku 65+ i nie przyjąłem szczepienia przeciw COVID-19, co sytuuje mnie w grupie ryzyka. Przy pierwszych symptomach złego samopoczucia skorzystałem z teleporady i zanim pojawiły się typowe objawy, jak np. utrata powonienia, zacząłem brać antybiotyk. Gdy test wykazał odczyt pozytywny, rozpocząłem kurację amantadyną, cały czas biorąc antybiotyk i zwiększone dawki witamin: C, D3, K2 i cynku. Dziś wygląda na to, że najgorsze mam już za sobą, pozwolę sobie więc na kilka subiektywnych spostrzeżeń.

Po pierwsze, nie jest to zwykła sezonowa infekcja. Mimo że od trzeciego dnia brałem już leki według zaleceń dostępnych na stronie przychodni Optima dr. Bodnara, to dotkliwie odczułem zjadliwe działanie wirusa.

Po drugie, jeżeli nie ma chorób współistniejących, to wirus leczony od początku jest do pokonania.

Po trzecie, amantadyna sama nie jest cudownym środkiem. Konieczne jest dokładne badanie przez lekarza. Gdy tylko ustąpiła gorączka, znalazłem w Warszawie prywatną przychodnię, gdzie przyjmują pacjentów covidowych. Zostałem osłuchany, zmieniono mi antybiotyk, zachowując leczenie amantadyną (już w rzadszych dawkach, co 12 godzin) i zalecono leki na rozrzedzenie krwi, wyznaczając kontrolę płuc po pięciu dniach.

Po czwarte, są lekarze, którzy nie uciekli przed pacjentami. Gdy zapytałem lekarza, czy się nie boi, odparł, że jest ozdrowieńcem, że wyleczył się amantadyną, nie przyjął szczepionki, a teraz, przyjmując chorych, ma dwukrotnie wyższy poziom przeciwciał niż zaraz po chorobie. Mówił też, że zdarzają mu się pacjenci po dwóch, a nawet i po trzech dawkach.

Po piąte, gdy rozeszła się wieść, że dopadł mnie COVID, z kilku miejsc jednocześnie dostałem schematy leczenia, propozycje amantadyny, liczne świadectwa skuteczności tego specyfiku. Zauważyłem też, że Internet pełen jest ogłoszeń, ofert amantadyny i przepisów dawkowania. Świadczy to o popularności terapii opisanej nie tylko przez dr. Bodnara, lecz także m.in. przez prof. Konrada Rejdaka i prof. Cezarego Pakulskiego. Popularność ta to probierz sprawdzonej przez ludzi skuteczności.

Gdy cała Polska dzieli się poradami, jak walczyć z COVID-19, oficjalne badania nad amantadyną, zlecone przez ABM, idą jak po grudzie. Największe szpitale miesiącami ociągają się z przystąpieniem do badań. W czasie epicentrum jesiennych zakażeń i zgonów ten prosty i tani lek, w oficjalnych protokołach leczenia zakażeń wywołanych SARS-CoV-2 nadal jest zabroniony. Widać w tym nie tylko siłę lobby szczepionkowego, lecz także cynizm i demoralizacje decydentów odpowiedzialnych za ten stan rzeczy. ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Szyderstwo i chwała

Były to dni szyderstw i chwały. Za mocno dociśnięty pedał, gazu pedał, stał się utrapienia źródłem dla Tuska, Donalda Tuska. Były premier nieco się autem rozpędził w terenie zabudowanym, a nawet bardzo za nieco i przypolowała go drogówka suszarką, czy tam radarem, z wynikiem 107 km/h, gdzie można było 50. Sprawca poinformował na Twitterze uczciwie, że mandat przyjął, nie kręcił, że kierowała teściowa czy że pędził do kantoru, bo złotówka spadała tak gwałtownie, że ratował sumę wymiany.

Z tym zdarzeniem w związku podzielona Polska ukazała znowu swoje podzielenie. Sympatycy Platformy Obywatelskiej i samego Donalda gratulowali mu wprost, że taki odważny, że jak błąd popełnił, to się przyznał i z podniesioną przyłbicą światu w gały zerka. Takie gratulacje to mi się wydały pewną przesadą. Antypatycy PO i samego Donalda grzmieli, że to pirat drogowy jest, że to hańba jest, a znalazło się nawet paru umysłowo rozpędzonych śmiałków, którzy żądali w związku z nadmiernym dociskiem pedała usunięcia się Donalda z życia publicznego. To mi się wydało pewną przesadą. Umiar się tutaj zaleca, gdyż przesada dobra jest tylko w robocie na akord. Jeden taki drobiazg w całej tej sprawie zwrócił moje skojarzenia. Otóż Donald Tusk jechał skodą. Skodą jechał. Skodą. On, który zarabia i zarobił ciężką i konsekwentną pracą pieniądze wysoką tworzące kupkę, w skodzie? Hm. Skojarzyło mi się to z akcją byłego premiera Waldemara Pawlaka, który nie chcąc narodu drażnić, jeździł polskim polonezem (był taki samochód, Polska kiedyś produkowała samochody). Problem z owym polonezem polegał na tym, że podobno wszystko w nim było włoskie, od silnika do tapicerki, oprócz karoserii i samego Waldemara Pawlaka, jak wsiadał.

Bo się rozgadałem. Teraz o dniach chwały na Twitterze. Otóż Aquaman objawił się nam w Bugu. W naszym polskim pływał Bugu. Opowiedziała o tym Katarzyna Wappa w TVN24. Otóż Aquaman (według słów pani Kasi) sześć dni pływał w lodowatej rzece, nocami wychodząc, żeby się ogrzać, ale nie mógł się ogrzać, bo nie rozpalał ogniska ze strachu, żeby go nie zauważono, ponieważ Aquaman jest podobno uchodźcą. Oczywiście na TT znaleźli się kijoszprychowcy, którzy zaraz zaczęli krytykować, „że to niemożliwe, umarłby po godzinie pływania w wodzie o takiej temperaturze, bzdury wygadujesz i et cetera". Wtedy padł argument prawdy nie do obalenia. Pani Kasia ujawniła otóż, że nie ma wątpliwości, że wszystko to prawda, gdyż „Ibrahim sam mi to wszystko powiedział". Hm. Wiemy przynajmniej, że Aquaman ma na imię Ibrahim. Dobre i to. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Lekcja z miłosierdzia dla naiwnych

Małgośka, mówią mi, żadni z was katolicy, skoro patrzycie obojętnie na los uchodźców. I tu, przyznam, mowa mego ciała emituje taki komiksowy dymek z napisem: „Nie chce mi się z tobą gadać". Bo już naprawdę wystarczy tych specjalistów od cudzego sumienia. Kongres Katolików w Madrycie pomógł mi uświadomić sobie, że to wzmożenie moralne katolewicy w Polsce jest czymś, co ignorują od lat Hiszpanie i Francuzi, bo zwyczajnie zostało to już skompromitowane przez życie. Ale u nas idą w zaparte i ze stachanowską wydajnością publikują odezwy, przy okazji przypinając samym sobie ordery najjaśniejszych obrońców wiary. Nudne to już, bo wystarczyłoby puścić ich w delegację na Wyspy Kanaryjskie, które w ciągu jednego roku przestały przypominać Europę, a stały się miejscami przedłużeniem niespokojnej Afryki.

Gdy papież Franciszek parę lat temu wezwał, aby każda parafia przyjęła rodzinę uchodźców, pierwszym księdzem, który odrzucił wezwanie, był mój katecheta z lat młodości – ks. Ryszard Winiarski, którego list „Dlaczego nie przyjmę uchodźców" wciąż można przeczytać w Internecie. Mieszkańcy Krasnegostawu nigdy nie zapomną, ile zrobił dla pokrzywdzonych ludzi, budując kuchnię dla ubogich i wydając posiłki w trudnych latach transformacji i upadania kolejnych fabryk w naszym regionie. Nie był to rzadki widok zobaczyć ks. Winiarskiego biegającego z taczką po budowie, gdzie powstawała Kuchnia im. św. Teresy. Był po prostu praktykiem Ewangelii, której nauczał: nie tylko grzmiał z ambony, lecz także zawsze był tam, gdzie już innym się odechciewało.

Swego czasu ks. Winiarski wpadł na pomysł, aby parafianie przyjęli na ferie biedne dzieci z okolic Czarnobyla. Jak się prędko okazało – ku zdumieniu wszystkich ofiarujących darmo swój dom i serce – Ukraińcy wcale nie wysłali niedożywionych małolatów, ale dzieci aparatczyków partyjnych, które za nic miały naszą gościnność i wymykały się z domów, aby wspólnie pić na umór. Przy tej okazji moi rodzice otrzymali dość szczególną lekcję w temacie ordo caritatis: 15-letnia Irmina z okolic Czarnobyla wywiozła cichcem na pamiątkę z naszego domu wszystkie kosztowności, jakie oni zbierali latami, aby móc wykształcić w przyszłości dzieci.

No cóż, proszę mnie źle nie zrozumieć: złoto i kosztowności to marności tego świata, którymi oczywiście należy się dzielić z biednymi, choć najlepiej, gdy przebiega to świadomie i bez stanów zawałowych. No i gdy potrzebujący nie włamuje się do twego domu przez okno z pomocą granatów hukowych, tylko puka legalnie do drzwi… ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

Z INNEJ PERSPEKTYWY

O prawdziwym człowieku

JOANNA SIEDLECKA

Książka „Piórem i pazurem" Jarosława Abramowa-Newerlego, ciepłe pozornie wspominki starszego pana, to bezwstydna, pełna fałszów, przemilczeń i lukru gloryfikacja PRL i jej „bohaterów", nawet tych z list dekomunizacyjnych – np. Lucjana Szenwalda, u Newerlego nadal „bohaterskiego poety-żołnierza poległego w 1944 r. na froncie", choć był fanatycznym, przedwojennym członkiem partii komunistycznej, ochotnikiem Armii Czerwonej i armii Berlinga, a w swoich wierszach szkalował m.in. powstanie warszawskie i zginął pijany w samochodowym wypadku. Alina Szenwaldowa, wdowa po nim, przedwojenna żarliwa komunistka, trzęsła radiem od 1945 r. Swą pozycję zawdzięczała wyłącznie mężowi. Newerly natomiast w rozdziale „Szelma-wdowa" przechwalał ją jako życzliwą opiekunkę nie tylko jego, lecz także Włodzimierza Odojewskiego.

Krajowa Rada Narodowa to w „Piórem i pazurem" „wielkie, pamiętne, historyczne wydarzenie", a jej członkowie, tacy jak pisarka Wanda Żółkiewska, pierwsza żona Stefana, „przyzwoita i niezależna", mieli cieszyć się z tego powodu zaufaniem władz oraz środowiska. A przecież „Kran", jak przezywali Polacy samozwańczy parlament komunistów, pepeerowców, ludzi Stalina (na czele z Bolesławem Bierutem), był po prostu zdradą, a przedwojenni, nieliczni wśród pisarzy członkowie zbrodniczej partii, którą była PPR, nie cieszyli się wcale sympatią kolegów, wręcz przeciwnie. Newerly błędnie podaje też datę powstania „Kranu". Stało się to w noc sylwestrową 30 grudnia 1943 r. U niego natomiast – w 1942 r. Błędów rzeczowych jest zresztą więcej – syn poety Jarosława Marka Rymkiewicza ma na imię Wawrzyniec, a nie Przemysław.

Włodzimierz Sokorski jako minister kultury twardo egzekwował wprowadzany przez siebie socrealizm, zwłaszcza w latach stalinowskich, niszcząc niezależnych twórców, m.in. Strzemińskiego, Szaniawskiego. Nie przedstawiając na to dowodów, Newerly utrzymywał natomiast, że Sokorski „po cichu wypłacał Szaniawskiemu comiesięczną skromną rentę z puli ministerstwa". Pisałam o Szaniawskim, wiem o nim sporo i moim zdaniem to kłamstwo. Nie potwierdza tego nikt i nic. Sokorski wydał później wiele wspomnieniowych książek, chwaląc się tymi, którym rzeczywiście pomógł. Nigdy jednak Szaniawskim.

Dobre serduszko ma też u Newerlego inna celebrytka PRL – Nina Andrycz, która grywała w jego sztukach. „Po byłą żonę premiera wysyłano nadal samochód do teatru, mimo to była miłą koleżanką, załatwiała mieszkania pracownikom teatru. A jej mieszkanie w alei Róż wcale nie było luksusowe" – pisał.

Żadnej wartości nie mają też rozdziały o Związku Literatów. Newerly nie zagląda bowiem do akt IPN i nawet najgorliwsi TW są u niego fajnymi kolegami – Szczypiorski, Siesicka, Kuśniewicz. Nadużywa też lukru, od którego po prostu mdli. „Iwaszkiewicz i Słonimski tylko się ostatnio poróżnili" – pisał, choć był to wielki konflikt opozycjonisty i reżimowca. Pisał też np.: „Zebranie zakończyło się w koleżeńskiej atmosferze". Pisarska konfraternia bardzo się u niego kocha i chwali, a najbardziej autora, Abramowa-Newerlego, nawet jego żenujące skecze, których nie wstydził się przypomnieć: „Ale aleje leje jeleń", wodewile, grane na drugorzędnych scenach. Swemu ojcu, Igorowi Newerlemu, dorobił natomiast nowy, opozycyjny życiorys, wspominając tylko jego „Zostało z uczty bogów" (ostatnią książkę, wydaną w 1986 r. u Giedroycia, u kresu życia), a wygumkowując to, co do opozycyjności nie pasowało: trzy sztandarowe socrealistyczne agitki – „Pamiątkę z Celulozy", „Chłopca z Salskich Stepów", „Archipelag ludzi odzyskanych"; scenariusz do sowieckiego filmu o Leninie; podpis pod Listem 600 potępiającym odważnych sygnatariuszy Listu 34, a do tego – wliczając Komsomoł – niemal całe życie spędzone w partii (m.in. w Egzekutywie), z której wystąpił jako jeden z ostatnich. Pominął też polowania organizowane przez niego jako szef koła myśliwskiego ZLP, nie tylko Steinbeckowi, lecz także głównie pisarzom sowieckim, m.in. Borysowi Polewojowi. Kreował też ojca na bohatera opowieści o prawdziwym człowieku – że mimo braku nogi tańczył, chodził po górach – nie zająknąwszy się o tym, że już w 1951 r. Igor Newerly otrzymał pozwolenie na zakup ze swego konta dewizowego, tak różnej od topornych polskich, wygodnej i lekkiej protezy szwedzkiej, wymienionej później na francuską i niemiecką.

Włodzimierz Odojewski żył lat 87. Zmarł osiem lat po tym, gdy napisałam o jego współpracy z SB. Miał dużo czasu, aby w wypadku niewiarygodności dowodów pozwać do sądu mnie, moje wydawnictwo, IPN, ale tego nie zrobił. Mimo to Abramow-Newerly wie najlepiej, że jego przyjaciel nie był TW, i wytacza wobec mnie zarzuty najcięższe, żenujące i nie fair, oskarżając mnie o… jego śmierć. Choć tak niedawno na swoich „Aliantach" napisał mi w dedykacji: „Joannie Siedleckiej z prawdziwym szacunkiem dla trudnej, niezależnej pisarskiej drogi, z najlepszymi życzeniami, J. Abramow-Newerly". ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

MILION TIRÓW

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Minister gospodarki każe robić zakupy świąteczne już teraz, bo pewnych produktów może zabraknąć. Ludzie obawiają się reglamentacji, a rząd uspokaja. CHA, CHA, CHA – uspokaja.

A w jakim to kraju? W Chinach, w USA, w Wielkiej Brytanii, w Polsce – wszędzie dokładnie te same słowa z ust ministra gospodarki.

Czyli pewnych towarów może zabraknąć, będzie konieczna reglamentacja, mamy komunizm. Zasada działania w komunizmie: kupuje się wtedy, gdy akurat jest towar, bo potem nie będzie. I kupowało się różne rzeczy na zapas, z wyprzedzeniem, na handel lub na wymianę (barter jest cechą charakterystyczną gospodarek prymitywnych).

Pamiętam to wszystko doskonale, więc sobie poradzę. W latach 80. kupiłem w naszym sklepie GS 20 czajników z gwizdkiem. Czajniki były mi kompletnie niepotrzebne, ale akurat rzucili, więc kupiłem. A potem sprzedawałem lub wymieniałem barterowo. Przebitka w tysiącach procent i żaden bank tyle nie daje.

***

Obecnie w USA radzę sobie jak ryba w wodzie, bo Amerykanie nie znają komunizmu ani reglamentacji. W garażu mam magazyn pieluch dziecięcych PO SUFIT. Tu, na prerii, wszyscy mają dzieci, a rodzina wielodzietna zaczyna się od szóstego dziecka w górę. Przewidując przerwy w dostawach z Chin (w USA nie produkuje się już ani jednej pieluchy, bo w Chinach było taniej), najpierw uczciwie poradziłem wszystkim moim wielodzietnym sąsiadom, by zrobili zapasy, a gdy oni mnie wyśmiali i nie zrobili zapasów, zrobiłem to ja – za nich i dla nich.

Teraz zaczynamy się wymieniać. Paczka pieluch za paczkę amunicji (ostatni towar produkowany jeszcze w stu procentach w USA). Przebitka w tysiącach procent i żaden bank tyle nie daje.

Amunicja na prerii jest lepsza niż chowanie kapitału w złotych monetach. Monety trudniej sprzedać, wolniej rotują. Amunicja… ZAWSZE W CENIE. A w dodatku możesz ją trzymać latami i się nie psuje – doskonała lokata w czasach galopującej inflacji. Ponadto rząd nie wtrąca się do prywatnego handlu paczkami amunicji, natomiast gdy sprzedajesz złote monety, władza „obserwuje" transakcje i wyciąga łapę po podatki.

***

A skąd przerwy w dostawach towarów w USA, GB oraz RP i w zasadzie we wszystkich krajach rozwiniętych?

Najpierw przenieśliśmy produkcję do Chin, bo tam jest niewolnicza siła robocza, czyli taniej.

Potem przestaliśmy produkować cokolwiek u siebie, bo wszystko da się zrobić w Chinach.

Następnie uruchomiliśmy potężną flotę kontenerowców kursujących pomiędzy Chinami a resztą świata. Transport morski najtańszy, kontenery to w gruncie rzeczy standardowe paczki w dwóch rozmiarach, łatwe do przerzucania ze statku na tiry i fabryka w Chinach nawet nie musi mieć własnego magazynu, bo pakuje całą produkcję od razu w kontenery, które natychmiast po zapakowaniu jadą na statek i płyną do USA, GB lub RP.

Logistyka tego transportu to wyczyn. Taśma produkcyjna w Chinach produkuje stale, szybko i masowo. Adidasy zjeżdżają z taśmy wprost w kontener, a potem podstawia się kolejne. Nieprzerwany łańcuch dostaw, wszystko da się policzyć, wiadomo, że statek z Chin płynie 32 dni, a potem dzień w porcie, trzy dni na tirze i jesteśmy w sklepie. Można planować życie, czyli można zaprojektować i zamówić jesienną kolekcję mody, bo wiadomo, że na jesień dojedzie do sklepu. Chyba że...

***

Doktor Fauci wraz ze swoim kumplem dr. Daszakiem postanowili kontynuować badania na wirusach zakazane w USA. W USA są laboratoria mające pięć gwiazdek bezpieczeństwa, ale jednocześnie są tam ludzie, którzy pomimo tych pięciu gwiazdek nie ważyli się prowadzić pewnych najbardziej niebezpiecznych eksperymentów. Fauci z Daszakiem znaleźli więc w Wuhan wojskowy ośrodek zajmujący się produkcją broni biologicznej, ośrodek mający zaledwie trzy gwiazdki w międzynarodowej skali. Przed pandemią kontrola WHO wskazywała na to, że gumowe uszczelki w laboratoryjnych lodówkach nie trzymają, bo się odklejają. A potem najwidoczniej któraś z tych uszczelek przepuściła COVID.

***

W styczniu 2020 r. zaspawano wejścia do bloków w Wuhan, zatrzymano samoloty, fabryki, kontenery i porty – wszystko stanęło na miesiąc. Gdy znów ruszyło, zamykały się właśnie miasta, porty i sklepy docelowe w UE oraz USA. Mimo to Chińczycy wypychali zamówione wcześniej towary, choć wiedzieli, że się wszystko zakorkuje. Wiosenna kolekcja mody najpierw stała miesiąc w Chinach, potem miesiąc lub dwa w portach docelowych. Miliony kontenerów pełne towaru, a towar opóźniony o kwartał. Niektóre dostawy tracą sens. Wyobraź sobie, że zamówiłeś z Chin lampki na choinkę, a one docierają w marcu.

***

Tego opóźnienia nie da się nadrobić, a jego konsekwencje to bankructwa mniejszych importerów oraz puste półki w sklepach.

W głównym amerykańskim porcie odbierającym kontenery z Chin stoi na redzie i czeka na rozładunek prawie sto statków. Na każdym ponad 20 tys. kontenerów małych lub 10 tys. dużych. Normalny tir bierze na siebie dwie kostki małe lub jedną długą – dwa kontenery długości 20 stóp lub jeden 40-stopowy. Czyli żeby rozładować jeden statek, potrzebujesz 10 tys. tirów, a żeby rozładować korek złożony ze stu statków, potrzebujesz milion tirów. Milion do tego jednego portu, a ich jest więcej.

I to jest obecny problem Bidena – skąd wziąć nagle milion tirów, milion kierowców, czym te tiry zatankować, skąd wziąć dodatkowe cysterny do transportu paliwa oraz którędy oni wszyscy mają jeździć, żeby się autostrady nie zakorkowały.

Kierowców brakuje, gdyż wielu zbankrutowało, gdy zarządzono lockdown. Nie mieli czego wozić. Kierowców brakuje w USA i w RP, do tego korek w portach, puste półki, bo towar nie dojechał na czas i nie dojedzie jeszcze długo, bo w Chinach brakuje statków i pustych kontenerów – skoro te nierozładowane nie wracają. Braki towaru oznaczają wzrost cen na towar, który jeszcze jest. Minister gospodarki zalecił zakupy, „bo pewnych produktów może zabraknąć". Kupuj towar, bo forsa bez towaru nic nie warta. Wracamy do barteru. ©℗

eprasa.pl b04ffff7fd

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

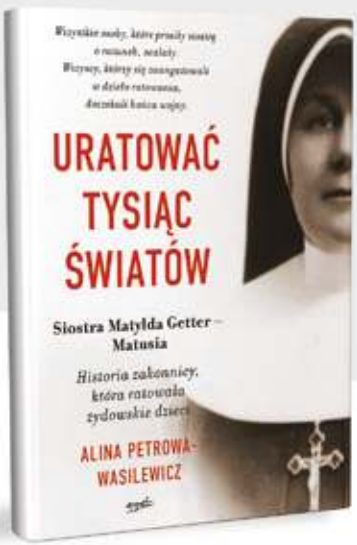

W PREZENCIE KSIĄŻKA

ALINA PETROWA-WASILEWICZ
„URATOWAĆ TYSIĄC ŚWIATÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

311,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 400 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl b04ffff7fd

40-LECIE

STANU WOJENNEGO
W POLSCE OPISANE
TWÓRCZOŚCIĄ
PRZEMYSŁAWA
GINTROWSKIEGO

13.XII.21

MECENASI:

Enea PGNiG KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNERZY GŁÓWNI:

Bank Polski TOTALIZATOR SPORTOWY 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

PARTNERZY:

centrum historii zajezdnia ORLEN

eprasa.pl b04ffff7fd